

White William Chapman

W pogoni za miłością

Katie i Johnny spotkali się na portowej ulicy w Brooklynie. On był marynarzem i właśnie dostał przepustkę na dwanaście godzin. Postanowił spędzić ten czas w mieście, z dziewczyną - a los sprawił, że Kate, śliczna Irlandka o jasnych włosach, szła, jak każdego poranka, do pracy.

Zwykła historia - chłopak i dziewczyna poznali się i zapragnęli być razem... Ale wtedy nagle stało się coś dziwnego: o czymkolwiek Katie i Johnny pomyśleli oboje jednocześnie - to się spełniało. Działo się tak aż do chwili, gdy pokłócili się i chłopak w dziwny sposób zniknął.

Od tego dnia Katie wciąż czeka na ukochanego i szuka go wszędzie. Tajemnicza blondynka o błyszczących oczach w niewyjaśniony sposób pojawia się na okrętach w najbardziej nieoczekiwanych miejscach i sytuacjach, pytając o swego marynarza.

"W pogoni za miłością" to wzruszająca, a zarazem opowiedziana z dużą dozą humoru historia uczucia, którego nic nie jest w stanie zniszczyć.

Po części historię tę zna wielu żeglarzy. Nie chcą jej jednak opowiadać, w obawie, że ktoś zacznie ich wypytywać, co oni sami wówczas robili...

* * *

Kapitan statku wojennego *Kansas* widział ją pewnego wieczoru, kiedy układał pasjansa, siedząc samotnie w swojej kabinie. Głównemu mechanikowi na krążowniku *Syracuse* ukazała się w chwili, gdy wydawał komendę: „cała naprzód”, by dotrzeć przed świtem do portu. Widziało ją dwóch marynarzy na niszczycielu *Manasquan*, co jednak nie zdziwiło ich wcale, każdy bowiem wie, że na tej starej łajbie straszy. Na niszczycielu *Milton* ujrzał ją nocą pewien oficer, gdy z plikiem papierów podążał w stronę mostku kapitańskiego. Papiery wyfrunęły mu z ręki. Całą godzinę musiał się potem tłumaczyć, dlaczego upuścił je na tak silnym wietrze. Nikt nie chciał mu wierzyć, że widział na pokładzie jasnowłosą kobietę, która zadała jakieś pytanie, chwilę

czekała na odpowiedź, po czym znikła. Bosmanmatowi na stawiaczu min *Licon* ukazała się w ładowni; usiłował wepchnąć tajemniczą nieznaną między dźwigary, lecz wówczas doznał najsilniejszego wstrząsu w życiu. Widział ją trzeci mechanik na *Qunte-launee* i opowiadał o niej później towarzyszom podnieconym szeptem. Zawsze miał w zwyczaju snuć pełne chępliwości opowiastki o kobietach, więc nikt mu nie wierzył — choć przez następne trzy dni przeszukiwał cały statek. Oficer dowodzący lądowaniem na *Crown Point* zaklinał się, że widział ją nocą na pokładzie lotniczym, dokładnie w chwili gdy lądował jeden z „hornetów”. Krzyknął, zamachał rękami i na moment stracił ją z oczu. Kiedy samolot wylądował, oficer znów ujrzał dziewczynę. Jej jasne włosy powiewały na wietrze. Wtedy, przerażony, zaczął krzyczeć.

To samo zdarzyło się na *Wyomissing*, *Tuscaloosie*, *Gruntonie*, *Biloxi*, *Asquantee*, *Pensacoli*, *Albuquerque* i wielu innych statkach. Na każdym z nich widzieli ją jacyś ludzie. Większość była w stanie opisać dziewczynę, choć wymieniane przez nich cechy różniły się między sobą. Tylko niewielu nazwałoby ją piękną. Prawie wszyscy by powiedzieli, że jej włosy są koloru bladozłotego zachodu słońca nad Pacyfikiem w owe rzadkie wieczory, kiedy schodzi ono za horyzont spokojnie, skromnie, utraciwszy obfitość kolorów, i kładzie się, okrągłe i złote, na płachtę z płynnej zieleni i roztopionej miedzi tuż-tuż nad głębokim błękitem morza. Ci, co ją widzieli, umieliby także opisać jej oczy — nie kolor, lecz buchający z nich żywy płomień, jak bucha żar z rozpalonych kotłów parowych w huczącej maszynowni statku.

Ale nie powiedzą ci nic — bo nikt nie lubi, kiedy ludzie wyśmiewają się z jego opowieści.

* * *

Sands Street ciągnie się od głównej bramy portu do stacji metra i biegnie przez dolny Brooklyn niczym ogromna żyła, z gruzłami szynków, pralni, gabinetów tatuażu, sklepów spożywczych, noclegowni i kafejek. W sklepach sprzedają tu ubrania, błyskotki, zegarki, zdjęcia, słowem — wszystko, co marynarz może kupić za swoje parę groszy. Napis nad każdym punktem usługowym głosi: „Wykonujemy na miejscu”. Wąską jezdnią przetaczają się z łoskotem trolejbusy. W oknach wyższych pięter domów powiewają zniszczone, brudne zasłony. Lśnią gołe żarówki — znak, że można tutaj tanio spędzić noc. Z piwnic starych budynków, których fundamenty nasiąkły słoną wodą, dobywa się kwaśny odór wilgoci.

Takie jest pierwsze spotkanie z Ameryką dla wielu marynarzy, schodzących na ląd po miesiącach żeglowania. Tym, co spieszą w kierunku metra i Manhattanu, Sands Street wyda się ulicą długą; innym, odbywającym ostatni spacer do portu pod rękę z dziewczyną — najkrótszą ulicą świata. Zazwyczaj ma ona w sobie równie mało piękna, co napisy świetlne w oknach sklepów albo sparszywiałe koty, wiecznie krążące wokół piwnic, które nęcą je swym rybim zapachem. Ale niekiedy, w letnie poranki, gdy mgła nadpływa miękko od strony przystani i układa się w srebrnoszare fałdy, to samo

miejsce wydaje się stworzone do cudów i niezwykłych, wielkich wydarzeń.

Takiego właśnie poranka, gdy na niebie świeciły jeszcze gwiazdy, ulicą szła Katie, krokiem lekkim jak oddech. Ubrana w szary kostium, wydawała się częścią mgły, która na mgnienie oka zgęstniała w czyjąś prześliczną, wysmukłą postać. Po przeciwnej stronie ulicy wyłonił się z białych oparów marynarz. Szedł szybkim krokiem żeglarza schodzącego na ląd z przystani. Wąziutki w biodrach, wysoki i smukły niczym młoda topola, lekko kołysał się na nogach, jakby wciąż jeszcze miał pod stopami pokład. Czapka na bakier oraz sposób poruszania się ujawniały bezwstydną pewność siebie i siłę młodości, która nie zna brzemienia lat.

Mijając Katie, zagadnął przyjaźnie:

— Hej!

— Cześć, marynarzu! — Głos miała niski, gardłowy.

— O! — Najwyraźniej zdziwił się, że ktoś mu odpowiedział. — Dokąd idziesz?

— Do pracy — odrzekła; jej zachowanie nie zdradzało szczególnego pośpiechu.

— O tej porze?

— Pracuję w restauracji. Ludzie muszą czasem wcześniej zjeść.

— Jak się nazywasz?

— Katie Morrison. A ty?

— Johnny, Johnny Smith. — Stał z rękami opartymi na biodrach, kołysząc się na piętach, niezdecydowany co ma dalej robić, co chciałby robić. Wreszcie zaśmiał się cicho. — W każdym razie to jakiś cud.

8

Katie spodobało się ciepłe, wesołe brzmienie jego głosu.

— Jaki cud?

— Dopiero co przybiliśmy i mam przepustkę tylko na dwanaście godzin. Pierwsze, co chciałem zrobić, to porozmawiać z dziewczyną — ciągnął z szerokim uśmiechem. — Skarbie, ty nawet nie wiesz, co to znaczy dla marynarza. — Przystąpił z nogi na nogę. — No i proszę, rozmawiam z dziewczyną.

— Mówisz to jak modlitwę. Johnny potarł dłońmi ramiona.

— Zimno mi. Chodźmy się czegoś napić.

— O szóstej muszę być w restauracji.

— No to starczy ci czasu na filiżankę kawy — odparł tonem człowieka przywykłego podejmować decyzje. — Może nawet na śniadanie. Jeszcze nie spotkałem kobiety, co by mi odmówiła, gdy ją zapraszałem na śniadanie.

Katie wahała się tylko chwilę. W słabym świetle nie widać było wyraźnie twarzy Johnny'ego, ale jego głos był po chłopięcemu ciepły i przyjazny. Powiedziała:

— To śmieszne wybierać się z dziewczyną na śniadanie.

— Marynarze zawsze robią śmieszne rzeczy — skwitował Johnny i bardzo stanowczym ruchem wziął Katie pod rękę.

Oto jak zaczyna się ta opowieść, bynajmniej nie oryginalna ani odkrywczą. Marynarz spotyka dziewczynę, zagaduje ją i dalej idą razem. To samo zdarza się niezliczoną ilość razy w Brooklynie, Antwerpii, Manili bądź Valparaiso, w deszcz lub w słoneczną pogodę, pod rozgwieżdżonym czy bezgwiezdnym niebem.

Szli ramię w ramię opustoszałą ulicą, a ich kroki niosły się echem. Na wschodzie ukazało się pierwsze

jasne światło poranka, wciąż jeszcze blade i wypłukane z kolorów. Na odgłos ich kroków od czyichś drzwi podszedł pies, drapiąc się sennie po brzuchu.

— Chodź tu, Burku-Azorku — zawołał nań Johnny. Do Katie zaś powiedział: — Na pokładzie nie ma dziewczyn, więc się za nimi tęskni, ale za psami także się tęskni, bo też ich nie ma.

Pies podszedł bliżej, machając ogonem. Kiedy chłopak nachylił się w jego stronę, dał drapak.

— Hmm — mruknął Johnny — widać nie ma marynarzy w specjalnym poważaniu.

Za rogiem znajdowała się czynna całą noc kawiarnia, o ścianach poszarzałych jak brudny fartuszek pokojówki. Johnny wskazał to miejsce palcem:

— Wygląda byczo.

— To tylko jakieś espresso.

— Wszystko jest w dechę, byle tylko nie stać w kolejce po żarcie. Wchodzimy.

Samotny barman czytał właśnie gazetę i jednocześnie notował coś na bloczku papieru; wyraźnie nie lubił, gdy mu przeszkadzano. Nawet nie odpowiedział na przywitanie Johnny'ego.

— Nie wygląda na to, żebyś się strasznie ucieszył na nasz widok — zauważył marynarz.

— W dzisiejszych czasach klienci nie są żadnym rarytasem. — Niechętnie odłożył ołówek i papier.

Johnny spojrzał na Katie w oczekiwaniu, że coś powie.

— Nie zagrałby długo miejsca u nas, u Lushmana, lokal 82, tam gdzie pracuję — powiedziała.

— Podaj nam kawę i jajka sadzone na boczku — zamówił Johnny.

— Na jajka za wcześnie. Jeszcze nie przyszły.

— Wobec tego dwa razy boczek.

— Na boczek za późno. Już wyszedł. Marynarz uśmiechnął się do Katie:

— Lepiej zapchajmy się kawą i bułkami.

— Jak chcesz, Johnny. — Od dawna już jadała śniadania tylko na stojąco, za ladą u Lushmana.

Chłopak zsunął czapkę tak nisko na tył głowy, że zdawała się trzymać na samych włosach. Zapalił papierosa i uśmiechnął się.

— To niezłe. Kto by się tego spodziewał jeszcze sześć godzin temu, kiedy płynęliśmy cieśniną. Na ulicy poznałem po twoim głosie, że jesteś ładna. Masz fajne oczy i włosy też. Nigdy nie widziałem włosów w takim kolorze.

— Jestem Irlandką — odparła Katie.

— Byłem w Irlandii i nigdy nie widziałem nikogo takiego jak ty — powiedział. — Chyba cały tłum facetów mówił ci, że jesteś ładna.

— Jeśli ty tak mówisz, nikt więcej już nie musi — zapewniła go Katie.

Zapra gnęła zachować głęboko w pamięci rysy jego twarzy. Była to twarz młoda, prawie bez zarostu i promieniała siłą. Jego szare oczy wydawały się niemal za łagodne w zestawieniu z wyrazistą linią podbródka i stanowczością czoła. Miał delikatne usta i uśmiech, który rozjaśniał całą twarz. Bez tego uśmiechu wydawał się poważny i surowy. Gdy się uśmiechał, wyglądał jak mały chłopiec.

— Nie jesteś chyba bardzo stary.

— Mam dwadzieścia cztery lata.

— To nie jest dużo.

Johnny, z wyrazem niesmaku na twarzy, zsunął czapkę tak, że z trudem trzymała się na jego ciężkich, czarnych lokach.

— W marynarce człowiek starzeje się szybko, mój skarbie. Założę się, że widziałem już tyle, co niejeden gość w cywilu, gdy ma pod sześćdziesiątkę. Założę się, że wiem więcej o różnych rzeczach niż faceci, którzy pracują w sklepach albo w fabrykach, a nawet w wojsku.

Barman przyniósł tacę z kawą i bułeczkami i energicznie postawił ją na stole.

— Ej, ty, interesujesz się końmi?

— Co? — Johnny spojrział na niego ze zdumieniem.

— Słuchaj, jak myślisz, ile koni widuję na statku?

— Kobiet też tam za dużo nie widzisz, a o niczym innym przecież tam nie gadacie — zauważył barman.

— Skorzystaj z mojej rady, stary: konie są lepsze od kobiet. Zawsze liczysz się z tym, że koń może cię zawieść, więc kiedy nawali, nie jesteś zdziwiony. Czasami jednak nie zawodzi i wtedy jesteś mile zaskoczony. A znowu po kobiecie nigdy się nie spodziewasz zawodu, no więc jak cię zdradzi, to jak się wtedy czujesz? Dlatego właśnie kobiety są gorsze od koni.

— A mężczyźni? — parsknęła Katie.

— Mężczyźni! Słuchaj, naprawdę chcesz, żebym ci zaczął mówić o mężczyznach?

-*- O nie, dziękuję — ucięła.

Odesłany z kwitkiem barman wycofał się za ladę.

Dziewczyna odprowadziła go spojrzeniem:

— Ci faceci w restauracjach wszyscy są tacy sami. Konie i kobiety to jedyne, na czym się znają.

Nieważne, czy koń, czy kobieta, zawsze kombinują, na co by postawić.

Pomyślała o Joe, barmanie od Lushmana. W tej chwili na pewno parzy już kawę; będzie bardzo zły, jeśli Katie się spóźni.

Tamten ponownie odezwał się zza lady:

— Siostró, znam się nie tylko na koniach i kobietach.

— Czy zrobi to panu wielką przykrość — spytała

— jeśli poradzę, żeby pilnował pan swoich spraw i zajął się typowaniem koni na dzisiaj?

— Znam lepszy sposób robienia forsy na koniach niż zakłady — odparł barman, biorąc do ręki papier i długopis.

Johnny spojrział na dziewczynę z podziwem:

— Ty rzeczywiście wiesz, jak z nim rozmawiać. Ale jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś o mężczyznach, zapytaj mnie.

Uśmiechnęła się do niego.

— O kobietach też — ciągnął Johnny. — Rany, my, marynarze, dobrze znamy nasze kobiety. — Szybko wypił kawę i odstawił filiżankę. — Tak trzeba, powinniśmy je znać. Tyle o nich myślimy.

— Lubię marynarzy — powiedziała Katie.

— Zauważyłem to. — Był wyraźnie zadowolony.

— Na świecie są dwa rodzaje kobiet: te, które wiedzą, jak postępować z marynarzami, i te, które nie wiedzą — mówił z wielką pewnością siebie. — Kiedyś byłem na Trynidadzie. Są tam śliczne dziewczyny. Różne typy: hiszpański, chiński, murzyński, hinduski — wszystkie pomieszane ze sobą. Znałem tam taką jedną małą, najbardziej wyglądała na Chinkę. Odbiłem ją jakiemuś żołnierzowi po piekielnie ostrej walce. Byłem tak poobijany, że wzięła mnie do siebie, żeby mnie opatrzyć, i niech to diabli, wszystkie jej rzeczy pochodziły z amerykańskich statków, marynarze je przynosili. Już jak ją pierwszy raz zobaczyłem, domyśliłem się, że to była dziewczyna marynarza.

Katie przyglądała mu się uważnie. Sposób, w jaki chłopak opowiadał tę historię, zupełnie nie pasował do wyrazu jego twarzy. W końcu uśmiechnęła się widząc, jak bardzo jest z siebie zadowolony.

— Kłopot z marynarzami polega na tym — stwierdziła z powagą — że odprowadzasz ich do bramy na Sands Street i nigdy więcej już nie widzisz.

— Tak to jest z marynarzami — zgodził się Johnny. Zawołał na barmana: — Jeszcze jedna kawa! Wtedy spostrzegł zegar na ścianie.

— Dopiero piąta trzydzieści, mam cały dzień wolnego. No, może nie cały dzień, w każdym razie dwanaście godzin.

— Tak szybko musisz wracać?

— O piątej po południu.

Przez dziesięć minut dziewczyna z trudem odsuwała od siebie myśl, że wkrótce trzeba będzie się pożegnać. Miała nadzieję, że może spotkają się wieczorem. I wtedy usłyszała swój własny głos:

— Muszę już iść. Joe będzie się bardzo gniewał, jeśli się spóźnię.

Uśmiech znikł z twarzy Johnny'ego.

— Zostań na jeszcze jedną kawę.

Ghwila wahania i Katie się zgodziła. Przez tak wiele poranków, kiedy szła do pracy szaroróżowym świtem, marzyło się jej, że podchodzi do niej jakiś mężczyzna i mówi: „Panno Morrison, panno Katie Morrison, pan kapitan przesyła pani wyrazy szacunku; czy nie zechciałaby pani łaskawie zjeść z nim śniadania na jego jachcie, dokładnie o wpół do szóstej?” Marzenie to nigdy się nie spełniło; gdyby jednak któregoś dnia tak się stało, Lushman-82 musiałyby obejść się bez jednej ze swych pracownic.

Lecz ka-

wa z Johnnym była lepsza niż najwspanialsze śniadanie z najwspanialszym kapitanem. Spojrzała na zegar marszcząc brwi.

— Muszę zaraz iść.

— Chyba rzeczywiście — przytaknął Johnny. Barman przyniósł kolejną kawę.

— Przepraszam, że przerywam, ale pani złośliwa uwaga na temat mojego typowania koni jakoś utkwiła mi w głowie.

— Co pan właściwie robi z końmi? — spytała Katie. — Śpiewa im piosenki?

— Za każdym razem, kiedy koń wygra wyścig, widać wyraźnie, że musi być po temu jakaś przyczyna, nieprawdaż? — odparł barman wyniośle, z politowaniem. — Gdyby udało się ją znaleźć, byłoby się w posiadaniu tajemnicy wartej całe mnóstwo pieniędzy, co?

Katie prychnęła z pogardą:

— Ci faceci przeważnie pracują na stojąco i dlatego muszą sobie pomarzyć, żeby zapomnieć o bolących odciskach.

Mężczyzna zbył tę uwagę milczeniem.

— Otóż właśnie ja próbuję znaleźć tę regułę. To może być jedna z tysiąca rzeczy albo kombinacja paru czynników: waga konia, stan toru, inicjały dżokeja, liczba liter w nazwisku trenera — wyliczał z zapartym tchem — przyczyn mogą być dziesiątki. Kto wie, a może nawet wpływ księżyca albo temperatury. To chyba całkiem jasne, no nie?

— Być może jakąś rolę odgrywają uczucia konia — dodała Katie. — Tylko jak się ich domyślić?

— Od sześciu miesięcy pracuję nad tym — ciągnął barman poufałym tonem. — Jejku, byle tylko na

wszystko znaleźć metodę, wtedy ma się sposób na robienie forsy. Metoda — oto, czego nam trzeba na tym świecie, ale, psiakrew, najpierw należy ją wymyślić. Konie, dla przykładu...

— Weź je pan ze sobą za ladę — przerwała mu

— i uwiąż mocno. Konie... całymi dniami słyszę to samo.

Barman pokręcił głową.

— To właśnie jest złe na tym świecie, że nikt nie chce słuchać. Wszyscy zawsze chcą mówić. — Cofnął się za ladę, wciąż smutno kręcąc głową. — Nikt nie chce słuchać.

— Nie rozumiem, o czym on mówi — odezwał się Johnny. Bujając się na tylnych nogach krzesła, zsunął czapkę na tył głowy i uśmiechnął się do Katie:

— O rany, jak ja się fajnie czuję. Po pięciu miesiącach pływania miło posiedzieć z dziewczyną, nawet w takiej obskurnej norze. Na statku myśli się tylko o tym, co się będzie robiło po zejściu na ląd.

— A co chciałbyś zrobić?

— Tym razem zszedłem na ląd, żeby zrobić pięć rzeczy.

— Jakich rzeczy?

O, różnych — odrzekł Johnny, rad, że jest

w posiadaniu małej tajemnicy. — Pierwsza rzecz_

to poznać dziewczynę. Nie spodziewałem się, że stanie się to tak prędko. Niełatwo znaleźć dziewczynę o piątej nad ranem.

— Też tak myślę.

— Mój kumpel ze statku, Lardlips...

— Przepraszam, jak?

— To obce nazwisko, wymawia się coś jak Lardlips, więc tak go nazywamy. Lardlips powiedział, że

w Nowym Jorku nie znajdzie się dziewczyny wcześniej niż w południe. Chyba właśnie wtedy ten rodzaj panienek, jaki on zna, wstaje z łóżka.

Wyjrzał przez okno. Na ulicy było jeszcze bardzo mało ludzi — Sands Street dopiero budziła się do życia.

— Chciałbym, żeby właśnie teraz przechodził Lardlips.

Katie pokiwała głową. Zdażyła już zapamiętać różne odcienie jego głosu: głęboki ton, po którym następował serdeczny wybuch śmiechu, stanowczą nutę dumy i niefrasobliwe rozbawienie, a także chłopięcy zapach, gdy o czymś opowiadał.

— Jest jeszcze coś, co mi się marzyło na statku — wyznał Johnny — ale będziesz się śmiała.

— Wcale nie będę się śmiała — zaprzeczyła Katie, zapisując w pamięci chwilę, gdy jego twarz rozjaśniła się uśmiechem.

— Ale to strasznie dziecinne.

— Na pewno nie.

— Trawa.

— Trawa?

— Tak, właśnie o niej czasami marzę. — Johnny zniżył głos. — Na statku nie ma ani źdźbła trawy, a na farmie, gdzie się wychowałem, wszędzie było jej pełno, jak wody wokół statku.

— Nigdy nie byłam na farmie — wyznała Katie.

— A ja już nigdy nie będę — odparł Johnny z nieoczekiwaną goryczą w głosie. — Nie mogłem tego znieść, że naokoło nic tylko pola i pola, trawa

1 trawa, ale wygląda na to, że kiedy ich zabrakło, znowu zacząłem o nich myśleć.

Katie ze zrozumieniem pokiwała głową.

2 — W pogoni za miłością

17

— To zupełnie jak z Lushmanem-82. Kiedyś wzięłam trzy dni wolnego, bo już miałam wszystkiego dość, i prawie cały ten czas myślałam tylko, co się tam dzieje.

— Tak, tak — powiedział Johnny i wypił ostatni łyk kawy.

Katie znowu spojrzała na zegar.

— Strasznie mi przykro, ale muszę już iść. Johnny gwałtownie zerwał się z miejsca, usiadł przy niej i spojrzał jej prosto w oczy.

— Nigdy przedtem, u żadnej dziewczyny nie widziałem takich oczu. Masz takie świecące oczy: jakby w środku nocy ktoś zapalił zapalniczkę.

Przez moment na twarzy Katie zagościł uśmiech, lecz zaraz znikł, ustępując miejsca smutkowi.

— To okropne, że muszę iść do restauracji, ale jak praca, to praca.

— Masz szare oczy, prawda?

— Tak, coś w tym rodzaju — odrzekła, lecz po chwili stwierdziła stanowczo:

— Naprawdę, muszę iść.

— Masz falujące włosy, prawda? Katie pokiwała głową.

— Jeśli nie masz nic specjalnego do roboty, mógłbyś odprowadzić mnie do Lushmana. To niedaleko stąd.

— Poważnie chce ci się tam iść? — Głos Johnny'ego stał się ochrypły.

— Oczywiście, że mi się nie chce! — odparła. Jakże prawdziwe były te słowa! Któż mógłby o tym wiedzieć lepiej niż ona?

— A co by się stało, gdybyś nie poszła?

— Myślę, że nic takiego.

— Nie wylaliby cię?

— W dzisiejszych czasach, kiedy bardzo trudno znaleźć ludzi do obsługi, nie wyrzucają tak łatwo z pracy.

— Jeżeli teraz pójdziesz, to nigdy już się nie zobaczymy — stwierdził ponuro.

— Wiem — przyznała Katie, uświadamiając sobie całą grozę tych słów. Naraz uśmiechnęła się. — Czasami, gdy idę do pracy, bawię się w grę, którą nazywam „Jeżeli”.

— Nigdy w to nie grałem — zaciekał się Johnny. — Nawet nie słyszałem o niczym takim.

— Na pewno nie. Sama ją wymyśliłam. Gra polega na wyobrażaniu sobie, że zamiast pójść drogą, którą powinienes, zaczynasz iść inną, od najbliższego rogu ulicy. W ten sposób mógłbyś się przekonać, co by się stało, gdybyś nie poszedł tamtędy, którą musisz iść.

— No i co wtedy? — spytał z trudem nadszając za jej myślami.

— Tego się nigdy nie dowiesz — z powagą wyjaśniła Katie — bo przecież nigdy tamtędy nie pójdziesz. Po prostu tylko wyobrażasz sobie, co by się mogło zdarzyć, a w rzeczywistości idziesz tą drogą, którą musisz iść. Zawsze nią idziesz.

Johnny pokręcił głową.

— Nie znam się za dobrze na grach. Jedyne, co wiem, to, że muszę być z powrotem na statku o piątej.

— Chciałbyś, żebym spędziła z tobą ten dzień?

— Najbardziej w świecie! — odparł z wielkim zapałem.

W jednej chwili Katie podjęła decyzję:

— Wobec tego udam, że idę dzisiaj do pracy, a naprawdę nie pójdę.

— Poważnie? — Twarz chłopaka rozjaśnił uśmiech pełen wdzięczności. — No to możemy spędzić razem cały dzień i pójść, dokąd zechcemy.

— Dokąd zechcemy — powtórzyła Katie uszczęśliwiona.

Perspektywa całego dnia wolnego od rutyny, wypełnionego leniwą włóczęgą po mieście, pojawiła się przed nimi nagle i nieoczekiwanie jak cudowny skarb.

Barman podszedł do ich stołu.

— Przepraszam, ale mimo woli słyszałem, o czym mówiliście. Jeśli chcecie mojej rady...

— Nie chcemy — ucięła Katie.

— Kiedy moja dziewczyna i ja mamy wolne — ciągnął barman niezrażony — wybieramy się poszukać jakiegoś miejsca, gdzie po wojnie będzie można zapuścić korzenie.

Sprzątnął ze stołu filiżanki po kawie.

— Żeby jakoś żyć na tym świecie, musisz znaleźć metodę. Bez metody życie to nieustanna nerwówka. Jedną z dobrych metod jest kurza ferma. Radziłbym poszukać.

— Słyszałeś kiedyś o kokcydozie? — odezwał się nagle Johnny.

Barman zrobił zdziwioną minę.

— Gada o kurzych fermach, a nigdy nie słyszał o kokcydozie — powiedział z wyniosłą miną Johnny.

— To choroba, co zabija drób. Zamiast karmić

i pić jakieś brojlery tylko po to, żeby któregoś ranka zobaczyć wszystkie z wyciągniętymi nóżkami, lepiej już trzymać się restauracji.

Katie spojrzała na chłopaka z uznaniem.

— Posłuchaj go, on wie, co mówi.

— Nie chcę spędzić reszty życia na parzeniu kawy

— uskarżał się barman.

— To dobra kawa — zapewnił go Johnny.

— Niezła — przyznała Katie — ale u Lushma-na...

— Lushman? — Barman zaczął niemal krzyczeć.

— Kim wy, u diabła jesteście, kontrolerami, czy co? My sprzedajemy temu waszemu Lushmanowi nasze grunty.

Katie gniewnie wstała z miejsca.

— Chodźmy, Johnny. — Wzięła go pod rękę. — Wszyscy barmani mają fioła. Oj, nie poszłabym teraz do Joe. On też ma fioła.

Wyszli na ulicę. Mgła już się podniosła; promienie słońca jaśniały złotem. Ludzi i samochodów wciąż było niewiele. Ze zgrzytem przejechał trolejbus; jakiś Włoch zamiatał chodnik przed swoim sklepikiem; ktoś taszczył puste beczki z piwnicy do szynku. Wąskim, błękitnym strumyczkiem napływali do portu marynarze, mijając powracających z nocnej zmiany robotników stoczniowych, którzy niczym brunatna strużka wysączaali się z bramy.

— Dziś będzie piękny dzień — powiedziała Katie.

— Zapowiada się ładna pogoda — zgodził się Johnny, wciągając powietrze.

— Marynarze dobrze znają się na pogodzie i na innych rzeczach, prawda?

— O, marynarze cholernie dużo wiedzą — odparł skromnie.

— Na wielu sprawach znają się jak diabli. Katie mocniej przytuliła się do jego ramienia.

— Byłam z ciebie dumna, kiedy mówiłeś o tych kurzych fermach.

— Nic dziwnego, że znam się na kurczakach, w końcu porzuciłem farmę dla morza.

Szli ulicą w kierunku metra.

— Dokąd idziemy? — spytała Katie.

— Na Manhattan — wyjaśnił Johnny. Szli ramię przy ramieniu.

— Aż przez dwanaście godzin cały ten słoneczny świat będzie należał do nas — powiedziała Katie w zadumie.

— Jedenaście — poprawił ją, swoim zwyczajem zsuwając czapkę na tył głowy. — Pierwsza rzecz, którą chciałem zrobić na ładzie, to znaczy spotkać dziewczynę, już załatwioną, ale zostają jeszcze cztery inne. Może zrobimy je razem, co?

— Wszystko, czego sobie życzysz — odrzekła Katie z promienną twarzą.

Lekki powiew wiatru niósł zapach morza. Szli szybko, tak jak Katie lubiła; wydawało się jej, że wkracza w jakiś nieznany, tchnący świeżością świat, w którym wszystko, nawet Sands Street, ma cudowny urok nowości.

— Lubię spacerować — oznajmił Johnny. — Nawet nie wiesz, jaka to frajda, kiedy człowiek dla odmiany może przez dłuższy czas po prostu iść przed siebie.

Katie pokiwała głową.

— Na statku to musi wyglądać podobnie jak u mnie w pracy, gdzie setki razy biega się do suszarni naczyń, a czasami jeszcze do ekspresu z kawą.

Johnny słuchał ze zrozumieniem.

— A ludzie! Na statku nie da się przed nimi uciec.

— To jak u Lushmana. — Katie nie posiadała się z radości, że mają ze sobą coś wspólnego.

Każda minuta coraz bardziej nasycala się treścią; gwałtownie pulsowały sekundy; oddech gonił za oddechem. Katie czuła, jak wszystkie te minuty, sekundy i oddechy głęboko zapadają w jej pamięć.

Jakiś marynarz minął ich z uśmiechem.

— Hej, bracie, jeżeli wracasz z wieczornej przepustki, już jesteś spóźniony.

— Nie, to dopiero początek dnia — odrzekł z dumą chłopak.

— Szkoda, że nie dla mnie! Szli dalej, Johnny zaś mówił:

— Może to dlatego, że od miesiąca nie rozmawiałem z żadną dziewczyną, ale wydaje mi się, że do tej pory z nikim tak dobrze mi się nie gadało. — I, widząc, że Katie się uśmiecha, dodał: — O czym myślisz?

— O tym, jak to wspaniale być marynarzem i patrzeć na morze — odrzekła.

— To rzeczywiście fajne — zgodził się. — W Południowej Dakocie — tam, skąd pochodzę, nie widziałem nic, tylko pługi, trawę i pola, czasami tak wysuszone, że kurz osiadał na nich jak brudny śnieg.

— Chciałabym zobaczyć chociaż Południową Dakotę — rozmarzyła się Katie. — Moi rodzice przywieźli mnie tu z Irlandii jako małą dziewczynkę i nie licząc tej podróży, byłam tylko w Nowym Jorku, Brooklynie, no i jeszcze w Perth Amboy. Jeździłam tam kiedyś w odwiedziny do siostry.

— A ja obiecałem sobie, że jeśli uda mi się wyjechać z Południowej Dakoty, to już nigdy nie porzucę statku. Nigdy.

Katie posmutniała.

— Nie chcesz mieć domu, dzieci?

— Co?! — Johnny aż przystanął. — Na Boga, nie!

— Dlaczego? — Głos dziewczyny załamał się. Johnny obrócił się na pięcie i spojrzał jej w twarz.

— Wszystkie panny zawsze pytają o to marynarzy. A co mogą dać marynarzowi dom, żona, dzieci? — Spostrzegłszy jednak, że dziewczyna jest bliska płaczu i jakby przerażona, że nagle przepada coś pięknego, dodał, już łagodniej: — Może kiedyś, gdy się zestarzeję, znajdę sobie żonę, założę rodzinę, zbuduję dom.

Lękając się zerwania słabej nici, która zaczynała ich łączyć, Katie wycofała się natychmiast.

— Ależ oczywiście, oczywiście, Johnny! — zawołała ze źle udawaną beztroską. — Marynarze nie powinni mieć żadnych zmartwień.

— Wiedziałem, że to zrozumiesz — udobruchał się, po czym dodał poufałym tonem: — Wiesz, jak marynarze nazywają małżeństwo? Wpadaniem w przepaść. Takie mają zdanie na temat małżeństwa! Właśnie w takich chwilach, kiedy, po chłopięcemu zadziorny, straszył się niczym młody kogut, stawał się tak rozbijający, że czuła ciepło w sercu. I by-łapewna, że to ciepło długo, długo w niej pozostanie. — Tak, proszę państwa! — zakończył ni stąd, ni zowąd Johnny.

Szli dziarskim krokiem, wdychając ożywcze powietrze poranka, jakby wiedzieli, że każdy krok niesie ich w świat rzeczy nowych, wspaniałych i radosnych.

— Była kiedyś w Norfolk pewna dama — odezwał się po chwili Johnny beztrosko — która osza-

łała na moim punkcie. Na imię miała Nellie. I ciągle mnie pytała: „A dom, dzieci?”. Za każdym razem, kiedy spotykaliśmy się w knajpie, pytała o to samo. Więc w końcu zacząłem myśleć, że to na poważnie. I raz w nocy zaprosiła mnie do domu, a wtedy, zgadnij, kto właśnie wszedł? Jej mąż. Masz pojęcie? — Na twarzy Johnny'ego odmalowała się dezaprobata. — Ona przez cały czas miała dom, może nawet dzieci. Wiesz, co wtedy zrobiłem? Zapamiętałem jej adres i polecałem ją każdemu marynarzowi: „Jak chcesz się naprawdę byczo zabawić, to udaj się na ulicę Borron 232 i pytaj o Nellie”. — Roześmiał się. — Założę się, że od tej pory nie mieli z mężem chwili spokoju, marynarze walili w drzwi dniami i nocami.

— Jak mogłeś zrobić coś takiego, Johnny? — skrzywiła się Katie z niesmakiem.

— W marynarce trzeba być twardym — odparł z wyższością i ścisnął rękę dziewczyny, by podnieść ją na duchu. — Zasłużyła sobie na to damulka, no nie? W końcu miała już jednego męża. A ilu ich jeszcze chciała mieć?

Katie wcale nie było do śmiechu. Wciąż czuła, że tego typu historia po prostu nie pasuje do jego miłej twarzy i chłopięcego uśmiechu.

— Chyba masz rację, Johnny — powiedziała z roztargnieniem.

— Pewnie, że mam — odparł i nagle zmienił temat: — A wiesz, jaka jest druga rzecz, którą chcę dziś zrobić na ładzie? Marzyłem o tym na statku. Kiedyś oglądałem na filmie elegancki hotel: wszystko cacy, bajery, aż się roi od kelnerów, superzarcie i tak dalej. Co prawda tym razem nie będę mógł

zostać na łodzi na obiad, ale chciałbym przynajmniej zjeść śniadanie w jakiejś wdechowej knajpie.

— To nie będzie trudne — stwierdziła, rozbawiona jego stanowczym postanowieniem.

— Znasz takie miejsce?

— Tak, na przykład Waldorf. Kiedyś byłam tam pokojówką. Raz nawet sprzątałam sypialnię po parze gwiazd filmowych. Jeden wielki bałagan.

— Nie bujasz? — Johnny był bardzo przejęty. — W takim razie musisz dobrze znać to miejsce.

Chodźmy tam.

Spostrzegłszy wahanie na twarzy dziewczyny, szybko dodał:

— Nie martw się o pieniądze. Mam w kieszeni pięciomiesięczną wypłatę.

— Och, nie o to chodzi. Nie mam odpowiedniego stroju.

— Za to mój strój jest właściwy w każdym miejscu — zauważył Johnny beztrąsko. — Jak nie będą chcieli cię wpuścić, schowam cię pod kołnierz.

— W porządku — roześmiała się Katie — jedźmy do Waldorfa.

Z naprzeciwka minęli ich marynarz i dziewczyna idący pod rękę; szli wolnym krokiem w stronę portu

— ostatnie dwieście metrów wspólnego świata, ostatnie dwieście metrów milczenia.

Johnny zerknął na nich i zmarszczył brwi.

— Tak samo my będziemy wyglądać dziś wieczorem.

— O, jeszcze dużo czasu przed nami — uspokoiła go Katie. Wydawało się jej, jakby znała Johnny'ego od lat; nie chciała uwierzyć, że nadejdzie chwila, kiedy będą musieli się rozstać.

Zaraz za rogiem było zejście do metra — długie rzędy schodów ruchomych, wiodących na perony. Na stacji czekali już pierwsi podróżni: jedni drzemali, inni, oparci o słupy, czytali ilustrowane czasopisma. Dwaj marynarze rozłożyli się na ławce. Wyglądali jak podróżnicy, którzy przebyli szmat drogi i nie mają gdzie jechać dalej.

Johnny uśmiechnął się na ich widok.

— W marynarce człowiek uczy się spać w każdym miejscu.

— Gdy tak śpią, wyglądają jak dzieci.

— Szkoda, że nie widziałas, jak te dzieci strzelają z sześciocalowych dział — obruszył się Johnny.

Katie przyznała, że to co innego, i po chwili dodała:

— Za każdym razem, gdy patrzę na marynarzy, mam jakieś dziwne uczucie, ale nie wiem, jak je nazwać. Myślę, że to zazdrość. Zazdroszczę im, że mogą uciec od wszystkiego, i nic ich nie goni.

— To nie tak — zaprzeczył Johnny z powagą. — Zabiera się ze sobą na pokład mnóstwo rzeczy. Czasami, gdy jestem na statku, pamiętam nawet, jak wiosną pachniała Południowa Dakota, jak pięknie pachniała...

— Po dniu w restauracji — powiedziała Katie z zazdrością — kompletnie nic już nie czuję. — To wywołało w niej pewne wspomnienia. — Nie, to nie całkiem tak. Po skończeniu pracy ciągle mam w uszach słowa: „Proszę jeszcze fasolkę. Proszę gulasz bez marchewki. Słaba kawa, mocna kawa...”

Johnny w zamyśleniu pokiwał głową. Rozejrzał się po peronie i podszedł do lustra z boku automatu do biletów. Wyjął z kieszeni grzebyk, przeczesał się, po czym ostrożnie włożył czapkę, by nie naruszyć

włosów, układających się nad czołem w bujną falę. (Odnosiło się wrażenie, że za chwilę czapka spadnie mu z głowy). Na koniec obciągnął błękitną bluzę i poprawił krawat.

— Ludzie mają tyle zachcianek — podjęła na nowo dziewczyna, gdy wrócił. — Na przykład: „tę drożdżówkę proszę zamienić na tort z wiśniami, zresztą nie, niech będą lody waniliowe”. Czasem z klientami można oszaleć.

Marynarz słuchał z roztargnieniem. Znowu rozejrzał się po peronie.

— Wierzyć mi się nie chce, że tu jestem. O tym się właśnie marzy, gdy jest się na statku: miasto, metro i tak dalej.

— A ja — powiedziała Katie — marzę o miejscu, gdzie nie ma ani parujących kotłów, ani wyciągających się nad nimi rąk, ani głosów, co wrzeszczą na ciebie ze wszystkich stron.

— Albo dajmy na to zasypianie na statku — nasunęło się Johnny'emu odległe skojarzenie. — Leżysz w ciemności, a obok ciebie pełno ludzi. Oczywiście fajnie jest być na statku, ale kiedy wszyscy marzą o powrocie na ląd, to człowiek czuje się trochę samotnie.

— To jak w restauracji — odrzekła ze zrozumieniem. — Nawet w godzinach największego ruchu zapominasz czasami, gdzie się znajdujesz i wyobrażasz sobie, że jesteś gdzie indziej, dopóki zapach jedzenia nie sprowadzi cię z powrotem na ziemię.

Stacja wypełniła się nagle łoskotem nadjeżdżającego pociągu. Kilku pasażerów wysiadło z zatłoczonych wagonów. W środku było tyle ludzi, że Johnny i Katie musieli stać bardzo blisko siebie. Wagonami

zarzucało na zakrętach i Katie co chwila wpadała na Johnny'ego. Uśmiechał się wtedy, ona zaś odwzajemniała jego uśmiech. Dobrze było czuć mocny uścisk męskiej ręki.

Marynarz promieniał. Odczytywał tablice na stacjach, gapił się na ludzi, wydawał jakieś okrzyki, które ginęły w huku pociągu, i na każdej stacji wyglądał przez okno, zupełnie jak dziecko, które nie może się doczekać, aż dojedzie na upragniony piknik.

— Nigdy przedtem nie jechałem metrem. Fajne uczucie, no nie?

— Wsiadamy — oznajmiła Katie na skrzyżowaniu Ósmej Alei i Czterdziestej Drugiej Ulicy.

Wyszli na ulicę, brudną i ponurą w bladym świetle poranka. W swej nagiej brzydocie przypominała pokrytą brudem wannę.

— Czy jesteśmy w pobliżu Times Square? — spytał Johnny, nastawiając się, że nie zobaczy niczego nadzwyczajnego.

— O, tam.

Johnny spojrział we wskazanym kierunku.

— Wcale nie widzę tu nic takiego, o czym można by marzyć — powiedział. — Prawie wszyscy marynarze, których znam, wciąż powtarzają: „Psiakrew, śniło mi się, że byłem na Times Square”.

— Ładniej jest tu nocą — odparła Katie niemal ze złością, pragnąc w przypływie matczyńskich uczuć, by Times Square wywarł na Johnnym dobre wrażenie.

Po drugiej stronie ulicy ujrzeli biały budynek restauracji Lushmana. Na jej widok Katie poczuła wyrzuty sumienia: w lokalu numer 82 Joe na pewno teraz dwoi się i troi, przeklinając wszystkie kobiety z powodu jej, Katie, nieobecności.

— To jedna z zespołu restauracji, gdzie pracuję — powiedziała.
— Wygląda czysto.
— Tak, bardzo dbają o czystość — zgodziła się Katie — i do tego pachnie świeżością. Założę się, że kupują hurtem odświeżacz powietrza i rozpylają go w nocy.
— Zaraz zapomnisz o tej dziurze, gdy znajdziemy się w eleganckim hotelu. Jak się tam dostać?
— Pieszko albo taksówką. Johnny zatrzymał taksówkę.
— Do Waldorfa — rzuciła Katie. Taksówkarz odwrócił głowę i chrząknął znacząco:
— Hmm! Jesteś pewna, że cię tam wpuszczą, siostrzyczko?
Katie ogarnął nagle wojowniczy nastrój.
— Co chcesz przez to powiedzieć?
— Lepiej spróbuj z marynarzem w hotelu na Dziewiątej Alei. Dobrze znam to miejsce.
To jeszcze bardziej podsyciło jej złość, jak podmuch wiatru podsycający płomień ogniska.
— Słuchaj pan, panie Janie Bucefale Frajerski, nikt nie potrzebuje rady od takich jak ty.
Okej, okej, siostró — odparł taksówkarz pojednawczo. Chciałem tylko powiedzieć, że w Waldorfie nie dostaniesz pokoju. Johnny posłał jej dumny uśmiech.
— Nie ma co, dobrze go potraktowałaś!
W pierwszym odruchu chciał otoczyć dziewczynę ramieniem, szybko jednak zmienił zdanie i usadowił się wygodnie w kacie.
— Naiwniacy nie są jeszcze tacy najgorsi — zauważyła Katie, po czym wygłosiła wielką prawdę:

— Specjalnego podejścia wymagają dopiero ci, co nigdy nie byli naiwniakami, a od razu urodzili się za cwani. Poza tym, taksówkarze wcale nie chcą źle. Po prostu pragną służyć radą i pomocą.

— Nigdy nie miałem do czynienia z taksówkarzami, w Południowej Dakocie nie widziałem ani jednego.

— Moglibyśmy kazać temu tutaj zawieźć się do Południowej Dakoty — westchnęła tęsknie dziewczyna.

Johnny pokręcił głową:

— Nie zrobiłbym tego nikomu, nawet taksówkarzowi.

— Czasem w metrze marzę o tym, żeby pociąg pojechał nagle jakąś inną drogą — rzekła Katie. — Byłoby śmiesznie, gdyby następnym przystankiem po Czterdziestej Drugiej Ulicy nie okazała się jak zwykle Trzydziesta Czwarta, ale na przykład jakieś miejsce w Pittsburgu albo Chicago.

— Byłem w Chicago — odparł Johnny z wyższością. — Nie widziałem tam nic, co byłoby warte złamanego grosza.

Gdy taksówka podskakiwała na wybojach, Johnny chłonał oczami widok, zafascynowany jak dziecko, które ogląda jakieś nowe cuda.

Twarze ludzi przemykających ulicami o siódmej rano nie są bynajmniej radosne ani upojone wolnością. Ich świt — to nie różana jutrzienka, lecz ostry, metaliczny dźwięk dzwonka. Katie aż nadto znany był widok tych twarzy; patrzyła na nie teraz ze współczuciem. Jakże niewiele przechodniów miało przed sobą cały dzień beztroskiej, swobodnej włóczęgi!

Taksówka skręciła w Park Avenue i po kilku minutach zatrzymała się przed hotelem.

— To tutaj — oznajmiła dziewczyna, uświadamiając sobie nagle, że nigdy nie wchodziła do hotelu głównymi drzwiami. Z uśmiechem dodała: — Może kierownik wyjdzie nam na powitanie?

— Byłoby dla niego lepiej, żeby wyszedł — powiedział Johnny z groźną miną — i to z kwiatami. Pewnym ruchem wziął Katie pod rękę i wprowadził przez otwarte drzwi do dużego, słabo oświetlonego hallu. Sprzątano tam właśnie i meble były poprzestawiane.

— Nie ma kierownika — zauważyła Katie. — Pewnie jeszcze śpi.

— Gdybym wiedział, gdzie jest, zaraz bym go obudził — zażartował Johnny.

W hallu pracowało kilka sprzątaczek. Na widok kubłów i szczotek chłopak powiedział:

— Czuję się, jakbym wciąż był na pokładzie, chociaż do tego czasu już byśmy skończyli robotę. Katie rzuciła okiem na sprzątaczkę i nagle uśmiechnęła się szeroko, unosząc brwi:

— Popatrz, to pani O'Geoghan, moja znajoma! Spostrzegłszy Katie, jedna z kobiet, najwyższa i najtęższa, otworzyła ze zdumienia usta. Podeszła do przybyłych, kiwając się jak kaczką. Miała na sobie jakiś długi, powiewny strój, wyglądający jak płaszcz kąpielowy. W rękę, niczym berło, dzierżyła wielką szczotkę.

— Pani O'Geoghan pracowała tu razem ze mną — wyjaśniła Katie Johnny'emu. — Czyściła podłogi na osiemnastym piętrze.

— Katie Morrison! — Pani O'Geoghan pokazała w uśmiechu garnitur złotych zębów. — Co za kojący widok dla starych opuchniętych oczu! — Przełożyła

szczotkę do drugiej ręki. — Czyżby ten przystojny chłopak był twoim mężem?

— To mój przyjaciel, Johnny — odparła Katie z dumą.

— Trudno o męża lepszego niż marynarz! — oznajmiła pani O'Geoghan, uśmiechając się do chłopaka.

— Marynarze są zawsze daleko, to jest tam, gdzie powinni być mężowie.

— Pani O'Geoghan miała trzech mężów — wyjaśniła dziewczyna.

— I trzy razy owdowiała, z łaski miłosiernego Boga! — dodała pani O'Geoghan nabożnym tonem. —

Pięciu synów, wszyscy w marynarce, niech ich Bóg ma w swojej opiece. Nie zna pan przypadkiem — zwróciła się do Johnny'ego: — Dennisa, Patricka, Michaela, Francisa i Liffeya O'Geoghanów?

Johnny pokręcił głową: — Może pani powtórzyć to ostatnie imię?

— Liffey, nikt nie prześcignie go w gadaniu. Pod tym względem wdał się w swojego ojczulka. Paple tak, że najsprośniejszym capom wędzną uszy. Nazwałam go Liffey, od rzeki, w której utonął jego stary. Wydawało mi się, że powinnam jakoś uczcić jego pamięć, Panie, daj pokój jego duszy; ho ho, dawniej nigdy bym tak nie powiedziała, co zresztą dowodzi, że przez te lata poszerzył mi się nie tylko tyłek, ale i horyzonty... — Po czym zwróciła się do Katie: — Przymykałaś mi, moje dziecko, że będziesz mnie odwiedzać, żeby posłuchać ploteczek o tym całym, psiamać, hotelu. Mieszkamy przecież w Brooklynie dwa kroki od siebie.

— Wiem, wiem, droga pani O'Geoghan!

3 — W pogoni za miłością

— Możesz się przekonać na własne oczy: dali mi awans! — Szeroka twarz pani O'Geoghan jaśniała dumą. — Z osiemnastego piętra do głównego hallu.

— To wspaniale. — Głos Katie był pełen ciepła.

— Pamiętasz panią Potocką, tę, którą przezywaliśmy Płetwonóg? Ciągle czepiała się mnie za zostawianie mokrych szczotek. Nadal tkwi na osiemnas- tym piętrze — opowiadała pani O'Geoghan, śmiejąc się tak hałaśliwie, że siedzący w pobliżu recepcjonista rzucił jej surowe spojrzenie spod zmarszczonych brwi. — Powiedz tym w recepcji — zniżyła głos — że jesteś mężatką. Oni są strasznie sztywni w tej norze, ale nie będą od ciebie wymagać dowodu. Taki już jest ten świat: wiecznie samotny i nieżyczliwy dla kochanków.

Katie spostrzegła, że Johnny mrugnął do niej, i roześmiała się:

— Przyszliśmy tylko na śniadanie.

Pani O'Geoghan z niedowierzaniem pokręciła głową:

— Tylko na śniadanie, z takim pięknym kawalerem? Kiedyś, kiedy sama spotykałam się z takimi kawalerami, owszem, jadłam śniadanie, ale dopiero p o, i to bynajmniej nie kaszkę na mleku z filiżaneczką herbaty, ale porządny befszyk i sześć kufli mocnego portera! I miałam siły na następny dzień! — Popłątane kosmyki na głowie i szczotka, którą kobieta trzymała w ręku, aż zatrzęsły się od jej serdecznego śmiechu.

Wtem zauważyła lekkie zniecierpliwienie Johnny'ego.

— No, wracam do szorowania — rzekła. — Wiedz, młody człowieku, że lepszej dziewczyny od Irlandki nie spotkasz na całym świecie, więc nie masz co patrzeć. Wspanialszej dziewczyny niż Katie Morrison nie znajdziesz, choćbyś szukał nie tylko w ca-

łym hrabstwie Clare, ale i w hrabstwie Limerick, albo tutaj, na Trzeciej Alei, gdzie mieszka całe towarzystwo z Clare i Limerick.

— Jesteśmy z Johnnym tylko przyjaciółmi — oznajmiła Katie nieco ostrzejszym głosem.

— Wpadnij i opowiedz mi o nim, a powiem ci, co zrobić, żeby to zmienić — odparła pani O'Geoghan.

— Pamiętaj, że on cię opuści, jak każdy marynarz, i zostawi we łzach i rozpacz. A dokąd ma pójść kobieta ze swoim bezgranicznym żalem, jeśli nie do drugiej kobiety?

Przez moment Katie pomyślała o mającym nadejść wieczorze, o pożegnaniu z Johnnym i przerażającej pustce, która ogarnie ją po odejściu chłopaka.

— Jeśli dziś wieczorem będzie pani w domu, chętnie wpadnę.

— Przychodź, kiedy chcesz, Katie, i niech was, moje dzieci, Bóg ma w swojej opiece. — I, biorąc Johnny'ego pod rękę, szepnęła mu na ucho: — Jeśli nie znasz Irlandczyków, to pozwól, że ci coś wyjaśnię: kiedy Irlandczyk mówi „nie”, ma wtedy zazwyczaj na myśli: „Jestem otwarty na twoje racje i oczekuję, że uda ci się mnie przekonać”.

— Nigdy nie spotkałem kogoś takiego — zauważył Johnny, prowadząc Katie przez hall.

— To najwspanialsza kobieta na świecie. Kiedy tu pracowałam, była dla mnie jak matka.

— Tak myślę. Nawet wygląda jak matka. Rozejrzył się po hallu, który świecił poranną pustką:

— Psiakrew, do diabła i trochę tutaj pokładu do szorowania dla takich starszych pań.

— Poczekaj, aż zobaczysz salę jadalną — odparła Katie, w nadziei, że będzie już otwarte. Ale najpierw

przystanąła, by przypudrować policzki, umalować usta i poprawić swój szary żakiet.

— Och, daj spokój — zniecierpliwiał się Johnny — przecież i bez tego wyglądasz ślicznie!

Salę jadalną już otwarto, ale jeszcze nie było w niej gości. Jeden z kelnerów przygotowywał stoły.

Przez zaciągnięte kotary przesączało się trochę światła. Johnny z wrażenia przystanął w drzwiach.

— Hmm, wygląda jak hangar na lotniskowcu — mruknął z uznaniem.

Kelner, mały człowieczek o mysich włosach i krzaczastych brwiach, podszedł do nich i skłonił się z uśmiechem.

— Niech nam pan rzuci na tacę najfajniejsze śniadanie, jakie pan ma.

— Oczywiście — uśmiechnął się kelner — tędy, madame.

— Słyszałaś? — syknął Johnny ze złością — on nazwał cię „madame”!

— Po prostu jest bardzo wytworny — uspokoiła go Katie.

Johnny pokręcił głową:

— W Norfolk to wcale nie jest wytworne słowo. Kelner posadził ich przy oknie i odsłonił kotary.

Johnny przesunął grzebieniem po włosach, zapalił papierosa i usadowił się wygodnie w fotelu, Katie zaś znów użyła pudru i szminki, po czym przygładziła niesforną falę swoich jasnych włosów nad czołem.

Johnny przyjrzał się badawczo sufitowi, ścianom, lampom i dywanom. Inspekcja wypadła pomyślnie.

— Właśnie o czymś takim marzyłem, i z dziewczyną właśnie taką jak ty.

Uśmiechnęła się do niego. Ten stół, obrus, miękka, wysłana dywanami cisza, szeroka, dobrodusznawa twarz chłopca, taka prawdziwa i bliska, przypomniały jej czas, kiedy siedziała przy stole bez Johnny'ego — całe minione życie, w którym nie było Johnny'ego.

Pośpieszne, nerwowe połykanie byle czego na zapleczu u Lushmana; pochłanianie, razem z siostrą, słodczy w Perth Amboy, przy akompaniamencie wody kapiącej z rur w korytarzu; obiad z koleżanką w chińskiej restauracji przy brooklińskiej Atlantic Avenue, kiedy wiedziało się dobrze, że to, co w tajemniczym półmroku wydaje się oryginalną egzotyczną potrawą, przy pełnym świetle okaże się najzwyczajniejszą smażoną cebulą z dodatkiem duszonej łodygi selera — za jedyne sześćdziesiąt pięć centów.

Ale teraz wszystko, nawet ciężka serweta rozpostarta na kolanach, wydawało się jakby z innego świata.

Johnny również był w świetnym humorze, choć prawie nic nie mówił. Widząc go takim szczęśliwym, jak chłonie wszystko, co go otacza, szeroko otwartymi oczami, Katie poczuła, że ona sama jest częścią tego nowego świata, i że służy Johnny'emu — zafascynowanemu przybyszowi — za przewodniczkę. Kelner przyniósł karty z menu i przystanął z boku, trzymając w ręce ołówek. Johnny spojrział na jadłospis i zagwizdał z wrażenia.

— Fiu, ileż tu żarcia. Muszą je trzymać między bryłami lodu, jak na statku wojennym. Powiódł palcem po napisach:

— Proszę przynieść wszystko, co jest w karcie.

— Johnny!

— Życzy pan sobie jedną czy dwie porcje? — spytał kelner niewzruszonym głosem.

— Nie zdołamy tego wszystkiego zjeść — powiedziała Katie surowo.

— Ale ja przecież mówiłem, że chcę najfajniejsze śniadanie, jakie tu mają.

— W takim razie zamów wszystko to, czego nie dostałbyś u siebie na statku.

To wydało się marynarzowi rozsądne.

— Okej, zobaczmy: omlet z kurzymi wątróbkami, szynka, paszteciki — co to takiego?, cynadry w sosie śmietanowym...

Kelner notował szybko, z malującym się na twarzy triumfalnym uśmiechem.

— Podlicz pan od razu — zażądał Johnny. — Czy to wszystko wynosi ponad trzynaście dolarów?

— Prawie piętnaście, proszę szanownego pana.

— Świetnie! Bombowo! — Chłopak uśmiechnął się, nie wyjawiając powodu swej wielkiej radości.

— Jeśli szanowny pan nie ma nic przeciwko, to chciałbym, jako śniadanie dla nowożeńców...

— Jakie śniadanie dla nowożeńców?! — przerwał mu Johnny, zerkając przy tym na Katie. —

Dlaczego wszystkim się wydaje, że jesteśmy małżeństwem?!

— Pewnie taka pora dnia...

— Właśnie — zgodził się kelner — i twarze łaskawych państwa mają taki wyraz...

— My wcale nie jesteśmy małżeństwem — oznajmił Johnny z rozdrażnieniem. — I posłuchaj pan: gdy się widzi marynarza z dziewczyną, to najczęściej nie są małżeństwem. Nawet gdy marynarz jest żonaty, to owa panna nie jest jego żoną. — Kładąc

kartę na stole, zapytał: — Nie macie przypadkiem piźmoszczurów?

— Najmocniej przepraszam?... Katie otworzyła szeroko oczy.

— Kto słyszał, żeby jeść piźmoszczury, zwłaszcza na śniadanie!

— To piekielnie smaczne mięso. Obtacza się w mące i smaży na patelni — wyjaśnił chłopak z promiennym uśmiechem. — Sądziłem, że w takim miejscu powinno być wszystko.

— Zapytam szefa kuchni — odparł kelner z niezmaconym spokojem.

— Okej — zgodził się marynarz — powiedz mu pan, że jeśli będzie je miał w zapasie, będziemy tu zawsze przychodzić na śniadanko.

— Nawet bez piźmoszczura — roześmiała się Katie. Gdy kelner udał się do kuchni, Johnny powiedział z nostalgią:

— Często jadaliśmy piźmoszczury u nas, w Południowej Dakocie.

— Nigdy nie słyszałam o czymś podobnym.

— Ho, ho, musisz się jeszcze sporo o mnie dowiedzieć, skarbie — rzekł Johnny. — Dużo, dużo rzeczy.

— Z największą przyjemnością — odparła Katie z prostotą.

Chłopak roześmiał się, jeszcze raz przeczesał włosy, zapalił papierosa i rozparł się w fotelu. I długo nie mówił nic, delectując się w milczeniu nowością i luksusem.

Katie patrzyła nań i napawała się promieniującym z niego ciepłem. Jedno wiedziała na pewno: to był mężczyzna, z którym mogłaby spędzić całe życie,

mierzone nie latami, a dniami, minutami, sekundami. To ten, dla którego mogłaby spędzać noce na oczekiwaniu i zrywać się o świcie; dla którego rada by gotować i szyć; o którego by dbała i martwiła się, i byłaby zazdrosna... Dla niego, z nim mogłaby pracować, rodzić mu dzieci, trudzić się, urabiać ręce do łokci. Oto główny problem w życiu: znaleźć tę właściwą osobę. Zbyt wielu ludzi idzie na kompromis — łączą się z kimś p r a w i e właściwym, pobierają się — i zastygają w milczącej nudzie, usychając z nigdy nie zaspokojonego pragnienia.

Wreszcie, pierwszy raz w życiu, Katie wiedziała, c z e g o chce, wiedziała, ż e chce, i była John-ny'emu wdzięczna za tę wiedzę. Jednocześnie zupełnie niespodziewanie zrodziło się w niej pragnienie czegoś, z czego istnienia wcześniej nie zdawała sobie sprawy.

Johnny wpatrywał się w nią uporczywie:

— Wyglądasz cholernie ładnie, Katie. Nie masz chyba jeszcze dwudziestu lat.

— Kiedy byłam małą, bawiłam się w wyobrażanie sobie, że jestem w coraz to innym wieku. Gdybym chciała, mogłabym wyglądać nawet na trzydzieści lat. Czasem wiek można poznać tylko po fryzurze.

— Wyglądasz za młodo jak na dwadzieścia lat — upierał się chłopak.

— Moi przodkowie byli czystej krwi Irlandczykami, z hrabstwa Galway. Wszystkie Irlandki przez długi czas dobrze się trzymają, a potem nagle się starzeją.

— Myślę, że ty nigdy nie będziesz stara — powiedział Johnny. — Wszystko zależy od tego, jak człowiek myśli.

— Czasem czuję się tak staro, że już starzej nie można. Starość to też samopoczucie — Katie uśmiechnęła się. — Ale dziś nie czuję się staro; o, popatrz, jak dobrze, że nie muszę nieść takiej ogromnej tacy!

Przy stoliku pojawił się kelner; taca ugiwała się od potraw w naczyniach ze srebrnymi pokrywkami. — Szef osobiście chciał przyjść do jadalni, ledwo udało mi się go powstrzymać. Koniecznie chciał uścisnąć rękę człowiekowi, który był łaskaw zamówić prawdziwe, tradycyjne śniadanie — mówił kelner, zdejmując srebrne pokrywki. — Czy łaskawi państwo życzą sobie dania osobno?

— Wszystko razem — zdecydował Johnny — po prostu postaw pan to.

Kelner zostawił przyniesione dania i poszedł po następne. Marynarz z przyjemnością patrzył na obficie zastawiony stół.

— Na statku podają inaczej, prosto z kotła. I nigdy nie dostajemy takiego jedzenia, no może kapitan w swojej kabinie, ale ja nigdy z nim nie jadłem.

Katie wyraziła głębokie współczucie wszystkim kapitanom, że omija ich okazja spożycia posiłku w najwspanialszym towarzystwie, jakie tylko można sobie wymarzyć.

Johnny jadł w sposób, który uniemożliwiał mu prowadzenie jakiegokolwiek rozmowy, więc powiedziała tylko:

— To wspaniałe, nie musieć nareszcie wdychać wszystkich zapachów z kuchni.

Johnny nalał sobie drugą filiżankę kawy i, opróżniając talerz z resztek kurzych wątróbek, stwierdził . dumą:

— Na naszym statku biję rekordy w jedzeniu.

— Dobrze być takim rekordzistą.

— Uhm — zgodził się Johnny z ustami pełnymi jedzenia. — Na statku zdobywałem też różne inne rekordy.

Dziewczyna ruchem głowy wskazała wstążeczkę na jego piersi.

— Czy to za pobicie jakiegoś rekordu?

— Nie wiesz, co to takiego? — zdziwił się Johnny.

— Nie. Powiedz mi.

Zawahał się przez chwilę, po czym dotykając palcem kolorowej wstążeczki rzekł:

— To za uratowanie życia. Katie poczuła dumę.

— Wiedziałam, że to coś w tym rodzaju. Jak ją zdobyłeś?

— Ach, nic szczególnego — powiedział, sięgając po ostatni pasztecik. — Jeden z młodszych oficerów wypadł za burzę. Skoczyłem i wyciągnąłem go.

— Och, Johnny! — Oczy dziewczyny były szeroko otwarte z podziwu. — I za coś takiego dali ci tylko nędzną, małą wstążeczkę?

Johnny wzruszył ramionami:

— Tyle mniej więcej warte jest życie młodszego oficera.

Na twarzy dziewczyny odbił się niepokój, pomieszany z ciekawością.

— Jaka szkoda, że nic nie wiem o marynarce; o tym, jak wygląda twoje życie. Nawet nie wiem, na jakim statku pływasz.

— No więc — Johnny dopił kawę — każdemu, kto o to pyta, mamy rozkaz odpowiadać: „Mój statek nazywa się: NTZI — Nie Twój Zasmakany Interes”.

— Nie pytam o nazwę. — W oczach Katie zapłonęły na chwilę ogniki gwałtownego irlandzkiego

temperamentu. — Dobrze wiem, że nie pyta się o takie rzeczy. Zastanawiałam się tylko, jak wygląda twoje życie, co robisz.

— Większość tego, co robię, ze względów bezpieczeństwa objęte jest tajemnicą. — Sięgnął po cynadry w sosie śmietanowym, które zostały mu jeszcze na talerzu.

Katie zrobiła sceptyczną minę.

— Czy to, gdzie sypiasz, o której wstajesz, co robisz w wolnym czasie, także jest tajemnicą? Chciałabym to wiedzieć, żebym, jak odjedziesz, mogła wyobrazić sobie, gdzie w danej chwili jesteś i co robisz.

Johnny, wyraźnie przekonany tym argumentem, zaczął mówić:

— Spię w koi przymocowanej do ściany działowej. Wstaję w zależności od tego, na której jestem wachcie: albo o północy, albo na przykład w południe, a kiedy nie ma nic do roboty, nie robię nic. Po prostu siedzę, palę albo chodzę i marzę, żeby być na lądzie. Czasami mamy wykłady, to pomoże nam w przyszłości dostać wyższy stopień.

Nadszedł kelner z pełną tacą.

— Mam nadzieję, że jest pan nadal głodny.

— Dobrą pan ma nadzieję — odparł chłopak. Odpoczął chwilę i zabrał się za jedzenie. Katie skończyła na długo przed nim, lecz w końcu i on musiał się poddać. Popatrzył na stół.

— Przynajmniej teraz wiem — powiedział — że posiłek za piętnaście dolarów wystarczy, żeby rozchorować się z przejedzenia.

Wyjął papierosy z kieszeni bluzy, zapalił jednego i schował z powrotem paczkę, starannie zagiąwszy

papierowe końce. Po chwili namysłu sięgnął głębiej do kieszeni, poszperał chwilę i z uśmiechem zadowolenia wydobył jakąś paczuszkę owiniętą w papier. Ostrożnie ją rozpakował. Oczom dziewczyny ukazał się płaski, metalowy krążek.

— To pamiątka — rzucił niedbale Johnny.

— Co to?

— Nie wiem. Kupiłem w Belfaście, kiedy raz tam zawinęliśmy. W Północnej Irlandii.

Katie prychnęła:

— Chyba masz na myśli sześć hrabstw, które powinny być częścią wolnego państwa.

— Sądząc po tym, co niektórzy ludzie tam mówili, miało się wrażenie, że oni chcą przeholować swoją wyspę przez Atlantyk i zakotwiczyć na przystani w Bostonie — rzekł Johnny, podając krążek dziewczynie. — Zawsze przywożę pamiątki. Ostatnim razem przywiozłem orzech kokosowy z wyrzeźbioną na nim ludzką twarzą. Wyglądała jak żywa. Dałem go jakiemuś barmanowi w Norfolk.

— Po czym spytał Katie: — Chcesz to?

— Z przyjemnością, jeśli sobie tego życzysz — odrzekła radośnie.

Z czułością trzymała krążek w dłoni. Johnny powiedział z żalem w głosie:

— Szkoda, że nie mam komu dawać w prezencie pamiątek, bo wtedy kupowanie byłoby jeszcze przyjemniejsze. Żałuję, że nie możesz zajrzeć do mojej szafki na statku. Mam tam wypchaną rybę latającą, papucie, które nazywają się *alpagratas*...

— Jak myślisz, co to jest? — przerwała mu Katie, głęboko zamyślona.

Johnny pokręcił głową.

— Jakiś medal albo moneta, nie wiem. Kupiłem to w sklepie ze starymi rupieciami. W tym Belfaście nie było nic specjalnego do kupienia, więc wziąłem to. Sprzedawca powiedział, że to medal przynoszący szczęście. — Potem dodał, pogrążając się we wspomnieniach: — Belfast to okropne miejsce. W ogóle nie było tam gdzie kupić pamiątek.

Katie uważnie przyglądała się krążkowi. Powierzchnię miał tak wytartą, że z trudem można było rozpoznać wytłoczony wzór: na jednej stronie jakiś pomnik, a wokół niego napis w nie znanym dziewczynie alfabetcie, na drugiej — czyjaś głowa i takie same dziwne obce litery.

— Wydaje mi się, że to coś pochodzi z Irlandii — odezwała się po chwili. — Wygląda podobnie jak stara irlandzka moneta, którą miał kiedyś mój ojczulek. Mówił, że przynosi szczęście, ale nigdy w życiu nie słyszałam, żeby szczęście kiedykolwiek mu dopisało.

— Sklepiarz powiedział, że jest zrobiona ze srebra — powiedział Johnny.

— Wszystko jedno. Najważniejsze, że mi się podoba.

Ostrożnie włożyła monetę do torebki. Kiedy Johnny odjedzie, będzie mogła jej dotknąć, aby się upewnić, że wszystko, co wspomina, naprawdę się wydarzyło, że naprawdę istniał ten Johnny, z którym spędziła cały dzień.

Z kuchni nadszedł kelner, pytając ze zdziwieniem:

— Już państwo skończyli?

— Więcej nie daliśmy rady.

— Doprawdy, dzielnie się państwo spisali. Marynarz skromnie wysłuchał komplementu i rzekł:

— Poproszę o rachunek. — A kiedy płacił, dodał, bardzo czymś uradowany: — I jeszcze poproszę o pokwitowanie.

— Hmm, dosyć drogie śniadanko — powiedziała Katie, gdy kelner odszedł.

Johnny był wyraźnie czymś bardzo uradowany.

— To zatkanie Lardlipsa na fest.

— A co on ma z tym wspólnego?

— Widzisz — wyjaśnił, po chłopięcemu rozbawiony — Lardlips zawsze opowiada, jak raz zapłacił trzynaście dolarów za obiad w jakiejś superknajpie we Frisco. Mówi o tym tak, jak gdyby dzięki temu został co najmniej admirałem.

— Czasami, gdy opowiadasz o Lardlipsie, wydaje mi się, jakbyś bardzo go podziwiał — zauważyła Katie.

— Tę grubą bekę? Do diaska, wcale nie. Ale to trzeba mu przyznać, że wie od cholery i trochę.

— Na przykład o czym?

— O, o całej masie różnych rzeczy — odpowiedział Johnny bardzo ogólnikowo i roześmiał się, tak jak to miał w zwyczaju, jasnym, beztroskim śmiechem dziecka. — Ale się zdziwi, jak wrócę na statek i pokażę mu rachunek na piętnaście dolarów, i to tylko za śniadanie!

Johnny triumfował, a Katie cieszyła się jego radością. Odsunął fotel od stołu.

— No tak. Zostają jeszcze trzy rzeczy, które chciałbym zrobić.

— Pamiętam. — Katie pokiwała głową. — Czy zamierzasz wymieniać je po kolei?

— Po kolei.

— Więc jaka będzie następna?

Chłopak pomyślał chwilę.

— Jak daleko stąd jest Broadway?

— Nie tak znów daleko, ale o tej porze dnia nie będzie tam ciekawie. Przecieliśmy Broadway jadąc tutaj.

— Marzyłem o tym, żeby zobaczyć Broadway.

— Dobrze — zgodziła się Katie i sięgnęła do torebki po szminkę, którą wyjęła wraz z irlandzkim medalem. Popatrzyła nań przez chwilę i uśmiechnęła się:

— Strasznie się z niego cieszę.

— Niestety, to wcale nie to, co chciałem kupić. Myślałem, że w tym całym Belfaście są lepsze pamiątki.

— Och, ja i tak się cieszę. — Nagle wyjrzała przez okno i powiedziała zmartwionym głosem: — Och, Johnny, popatrz, pada deszcz!

Johnny spojrzął na niebo, które niespodziewanie powlokło się szarością, i stwierdził tonem znawcy:

— Wygląda na to, że będzie padało cały dzień. Katie ściągnęła brwi i lekko spuściła oczy. Długie, gęste rzęsy rzuciły cień na policzki.

— A tak chciałam, żeby dzisiaj było bezchmurnie i słonecznie.

— Dla mnie, marynarza, trochę deszczu to żaden problem — zażartował.

— Chciałabym, żeby przestało padać — oznajmiła z powagą Katie. — A ty?

— Pewnie, że chciałbym. Mamy tyle rzeczy do zrobienia. — Wyjął z kieszeni grzebyk i w zamyśleniu przesunął nim po włosach.

W tym momencie snop światła słonecznego przebił się przez chmury. Przez chwilę deszcz zalśnił tęczą, a potem przemienił się w drobną mżawkę.

— Popatrz — powiedziała Katie uszczęśliwiona. — Oboje zapragnęliśmy tego — i stało się.

— Myślę, że po prostu miało przestać padać — stwierdził Johnny.

Katie z ulgą zagłębiła się w fotelu.

— To wspaniale, przeżywać taki dzień, kiedy pogoda jest czymś ważnym. Zwykle nie sprawia mi różnicy, czy pada czy nie.

— Nie ma co martwić się o to przez cały dzień — uspokoił ją Johnny. — Jak trzeba, to osobiście zadbam o pogodę — dodał żartem.

Nadszedł kelner, przynosząc rachunek z pokwitowaniem. Chłopak ostrożnie włożył go do kieszeni spodni.

— Do zobaczenia, panie marynarzu — powiedział kelner. — I niech pan zawsze przychodzi do nas, kiedy tylko pan zgłodnieje.

— Wobec tego za godzinkę lub dwie będę tu z powrotem — uśmiechnął się Johnny. Kiedy zaś opuścili salę, szepnął do Katie: — To było nawet lepsze niż w marzeniach. — I dodał w zaufaniu: — Wszystko jak dotąd jest o wiele, wiele lepsze, niż mi się śniło, a śniło mi się przez całe pięć miesięcy. Wiesz, jeżeli sen trwa aż pięć miesięcy, to jest to cholernie długi sen.

Poranek nabrał świeżości. Perłowoszare niebo mieniło się tęczą — zwiastunką słońca i ciepła. Johnny głęboko wciągnął powietrze.

— Ale rześko, zupełnie jakbym stał na dziobie statku. Ale, ale, gdzie jest Broadway? Czy bierzemy taksówkę?

— Nie musimy, chyba że ci się śpieszy — powiedziała Katie. — To niedaleko, a rano jest taki piękny.

Johnny wziął Katie pod rękę i rozpoczęli wędrówkę po mieście. Katie zerknęła na zegar na Dworcu Centralnym. Była właśnie ósma. Mieli przed sobą jeszcze tyle godzin. To będzie jeden z niewielu w jej życiu jasnych poranków, o którym nigdy nie zapomni. Kiedy tak szli, krok za krokiem, przypominała sobie każde najdrobniejsze wydarzenie z udziałem Johnny'ego: głęboko w pamięci utkwiły jej jego ciepłe dłonie, młodzieńczy śmiech, cudowny, swobodny, rozkołysany chód. Z łatwością mogła sobie wyobrazić, że znowu nastał czas pokoju, i oto oboje idą do pracy, by z tym większą radością spotkać się wieczorem. Oczywiście zawsze byłoby jej ciężko rozstawać się z Johnnym; pociechę jednak stanowiłaby pewność, że chociaż wszystkie długie dni musieliby spędzać oddzielnie, przez wszystkie krótkie noce będą razem.

Ludzie przechodzili obok nich śpiesznym krokiem, podążając wydeptanymi ścieżkami w sobie tylko znanych kierunkach. Twarze mieli przygaszone, jak stare, wypalone żarówki. Katie witała ten poranek radosnym uśmiechem, choć zastanawiała się, czy i ona zacznie odtąd chodzić do pracy z takim udęczonym wyrazem twarzy. Być może tak, ale nawet wtedy stać ją będzie na uśmiech; a dzisiaj ma przed sobą cały dzień z Johnnym, i może robić, co zechce — nie tak, jak ci nieszczęśliwcy, którym godziny, dni, lata całe przeminą bez jednego mocniejszego drgnienia serca.

— To śmieszne, ten kelner myślał, że jesteśmy małżeństwem — zaczął głośno myśleć chłopak. —
Jejku, on rzeczywiście mało wie o marynarzach.

— Dlaczego ciągle mówisz o unikaniu małżeństwa? — spytała nieśmiało.

46 — W pogoni za miłością

49

— Jak wszyscy marynarze — odpowiedział Johnny — żeby pokazać, że są sprytniejsi od babek.

— Takie słowa jakoś do ciebie nie pasują — stwierdziła Katie.

Rzeczywiście, nie bardzo pasowały. Nawet jego głos się zmienił: nabrał niemiłego, ostrego brzmienia.

— Nie pasują do mnie? — Johnny zdziwił się szczerze i po chwili namysłu dodał: — A właśnie że pasują. To z winy kobiet marynarze tak myślą o małżeństwie. Wszystkim kobietom wydaje się, że ich mężusiowie, tak jak niemowlęta, powinni być częścią ich samych, jakby i mężom dawały życie, nie tylko dzieciom. Mężczyzna musi czuć się wolny. Ale kobiety nie chcą, żeby tak się czuł.

— Czy sądzisz, że wszystkie kobiety są właśnie takie?

— Wszystkie, które w swoim życiu spotkałem albo o których słyszałem — stwierdził z przekonaniem.

— Muszą być takie. To ich natura.

Katie pokręciła głową.

— Uważam, Johnny, że żona powinna dać swemu mężowi wspaniały dar: poczucie wolności — rzekła z powagą. — Sądzę, że mężowie powinni czuć się tak wolni, jak my teraz, gdy idziemy sobie bez celu.

— I dodała, nie doczekawszy się odpowiedzi: — Podobałoby ci się coś takiego?

— Podoba mi się to, jak sobie razem spacerujemy

— odpowiedział ostrożnie.

— Lubisz mnie? — spytała.

— Pewnie. Polubiłem cię od pierwszej chwili, gdy tylko usłyszałem twój głos. Przypominasz mi moją matkę, może trochę żonę...

— Żonę? — Głos dziewczyny załamał się.

— Tak, kogoś, z kim się kiedyś ożenię, gdy będę stary. — Roześmiał się, i Katie zorientowała się, że wyczuł w jej głosie niepokój. — Większość marynarzy planuje ustatkować się i osiąść gdzieś na starość.

Katie omal nie spytała: „A kto będzie ich chciał, kiedy się zestarzeją?” Zamiast tego powiedziała:

— Najwięcej radości ma się z małżeństwa, gdy się jest młodym.

Johnny pokręcił głową.

— Mogę robić tysiąc innych rzeczy, dopóki jestem młody.

Dziewczyna lekko zacisnęła usta, ale nic nie powiedziała. Zanim nadejdzie chwila rozstania, znajdzie jeszcze okazję, by umożliwić mu zrozumienie przepełniających ją uczuć.

Uwagę Johnny'ego przykuły okna sklepów. Podprowadził ją do wystawy z męską odzieżą.

— Zabawne jest patrzeć na te wszystkie rzeczy — powiedział. — Jak gdyby należały do innego świata. Już nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio miałem na sobie cywilne ciuchy, a nawet w cywilu nie nosiłem na przykład czegoś takiego. — Wskazał na szary garnitur w zieloną kratę. — Przeważnie chodziłem w ogrodniczkach.

— Chciałabym cię zobaczyć w tym garniturze. Chłopak zawahał się przez moment:

— Eee, nie, głupio bym wyglądał. — Uśmiechnął się. — Poza tym on kosztuje siedemdziesiąt pięć dolców. Tam, skąd pochodzę, można było się za taką forszę wystroić jak na bal. Jeszcze długo nie będę nosił takich rzeczy; może nawet nigdy.

— Nie będziesz przecież zawsze służył w marynarce? — zauważyła Katie pytającym tonem.

— Może będę chciał — odparł Johnny. — Tego także kobieta nigdy nie zrozumie: czemu mężczyzna chce zostać marynarzem i zachować wolność. — Wskazał ręką na przechodzących ludzi. — Dlaczego ci wszyscy faceci tak się spieszą? Bo są żonaci, przynajmniej większość z nich. Gdyby nie mieli żon, dzieciaków, czynszu do zapłacenia, łachów do kupienia, czy myślisz, że wstawaliby tak wcześnie i miotali się jak... jak...

— Wesz w ukropie?

— O, właśnie.

— A może oni to lubią?

— Więc nigdy nie byli marynarzami. — Tym stwierdzeniem zakończył dyskusję.

Większość z tego, co mówił Johnny, doszła do wniosku Katie, sprawiała wrażenie, jakby powtarzał czyjeś słowa. Chyba naprawdę tak nie myślał, chociaż głęboko w to wierzył. Może zresztą wcale nie był taki młody, na jakiego wyglądał.

Od czasu do czasu mijały ich dziewczęta — młode, wesole, urodziwe. Johnny zerkał na nie i niekiedy aż gwizdał z zachwytem.

— Jejku, ale dużo w Ameryce ładnych dziewczyn!

— A za granicą, w Belfaście, nie widziałeś żadnych ładnych dziewcząt?

— Wszystkie przystojne irlandzkie panny przeniosły się do Ameryki — odpowiedział. — Zabawna rzecz. Kiedy w Belfaście szliśmy z kolegą ulicą, zapytał mnie: „Ty, czy widziałeś kiedy tyle irlandzkich twarzy?”

— A jakie inne twarze miał widzieć?

— Właśnie tak go spytałem — zachichotał Johnny w odpowiedzi.

Od czasu do czasu jakiś przechodzień oglądał się za nimi z uśmiechem, tyle mieli w sobie świeżości i spokoju — zupełnie jak ów lekki poranny wietrzyk, który zdawał się towarzyszyć im w tej wędrówce.

— Czy Broadway jest niedaleko Central Parku? — zapytał Johnny.

— Tak. Idziemy tam?

— Uhm.

— Weźmiemy łódkę?

— Jaką łódkę?

— Wszyscy marynarze, kiedy są w Nowym Jorku, wypożyczają łódki.

— Jak jestem na łądzie, to na łądzie — stwierdził chłopak stanowczo. — Mam co innego do roboty w Central Parku.

— Już nie pamiętam, kiedy ostatnio mogłam sobie pozwolić na leniuchowanie w dzień roboczy o dziewiątej rano — zauważyła Katie radośnie, czując w powietrzu przedsmak przygody.

— Na statku czas płynie inaczej niż na łądzie — powiedział Johnny. — Czasami idę spać dopiero o dziewiątej. — Zamyślił się. — Chociaż dzisiaj rzeczywiście inaczej odczuwa się czas. Jest prawie dziesiąta, to znaczy mam jeszcze jakieś osiem godzin.

Przypomnienie o tym natychmiast zmąciło wesołość Katie, jak dziób statku mąci gładką tafłę wody.

Te godziny miną niepostrzeżenie — wyczerpią się aż do ostatnich sekund, aż do rozstania gdzieś przy bramie portu. Jak ciężkie będą te ostatnie sekundy, napięte do ostateczności, tego żadne słowa nie zdołają wyrazić. Ale godziny, które nastąpią tuż potem, ze świeżo odcisniętym w jej sercu śladem obecności chłopca — te będą jeszcze straszniejsze. A mimo to

ani jutrzejsze godziny, ani dni, ani lata, które mają jeszcze nadejść — nigdy nie będą takie jak dawniej, gdyż na zawsze pozostanie w nich Johnny, i to z każdym dniem coraz bardziej obecny — w niepokoju, bólu, nadziei, w każdej części jej duszy — choć nie spotkają się już więcej.

— Dochodzimy do Broadwayu — oznajmiła.

Johnny przyspieszył kroku, lecz na rogu gwałtownie przystanął z wyrazem wielkiego rozczarowania na twarzy.

— Jezu — jęknął — jak ohydnie!

Istotnie, była to brzydka ulica. Wyglądała jak brudny pokój hotelowy z nie zasłanym łóżkiem, ze skłębionymi ręcznikami i gazetami rozrzuconymi w nieładzie. Dwie stare kobiety szły wolno do bistro na poranną kawę. Jedna z nich ciągnęła na smyczy jakiegoś wy miętoszonego, sparszywiałego pekińczyka. Na rogu kłóciło się trzech taksówkarzy w brudnych, rozchełstanych koszulach. Grupka niechlujnych podlotków w prochowcach i szerokich spodniach śpieszyła na jakąś próbę czy ćwiczenia.

Johnny był niepokieszony.

— Broadway! Lardlips tyle mi naopowiadał, że Bóg wie co można tu zobaczyć, a teraz widzę, że po prostu bujał. To miejsce wygląda jak woda w porcie, gdy się wywali do niej śmieci ze statku.

— Może po południu będzie tu ładniej — starała się go pocieszyć Katie.

— Lardlips opowiadał, że na Broadwayu jest pełno ślicznych latarenek i ładnych lalun — on tak nazywa kobiety — o każdej porze dnia i nocy.

— Może po prostu ma inny sposób patrzenia na świat — odrzekła Katie z uśmiechem.

— Nie wiem, ale on wie strasznie dużo i przeważnie ma rację. Zwłaszcza na temat kobiet. Jedyne kłopot to to, że zawsze robi wokół nich za dużo szumu.

Przez kilka minut stali na rogu; Johnny rozglądał się po brudnej, zaniedbanej ulicy.

— Może chciałbyś pójść w jakieś konkretne miejsce? — spytała Katie.

— Och, po prostu przejdźmy się Broadwayem. Przynajmniej będę mógł powiedzieć, że tu byłem, ale jak dorwę Lardlipsa...

W powietrzu unosiła się mieszanina najprzeróżniejszych zapachów: pasty do butów, spalonej gumy, skórek pomarańczowych, hamburgerów, sztucznej przyprawy ananasowej — i poranna woń barów.

Johnny wciągnął powietrze.

— Jedno jest pewne: pachnie inaczej niż morze.

— To prawda — zgodziła się Katie. — Nawet gdyby naraz wyzdychały wszystkie ryby, ocean i tak pachniałby ładniej.

Gdy przechodzili obok sklepu z pamiątkami, Johnny podprowadził Katie do okna wystawowego.

Oczom ich ukazała się brudna, zakurzona wystawa: zleżałe poduszki, lalki, talerz z gwarantowanego dziesięcio-karatowego złota, płyty gramofonowe, plastikowe broszki.

— Kupię ci, co zechcesz — powiedział.

— Niczego mi nie trzeba.

— Myślałem, że babki zawsze czegoś chcą — zdziwił się.

— Pewnych rzeczy, których pragnie kobieta, nie można kupić w sklepie — odrzekła cicho.

Johnny zamyślił się nad jej słowami.

— O, a tu jest coś, czego ja chcę! — zawołał nagle podwyższonym z przejęcia głosem. Wskazał na punkt usługowy z szyldem: „Fotografia artystyczna — wywołujemy na oczekaniu”.

— Słyszałem, że na Broadwayu mają takie zakłady. Żeby tylko było otwarte. Chciałbym mieć nasze zdjęcie. — I uśmiechnął się do siebie, jakby ciesząc się z urzeczywistnienia jakichś ukrytych zamiarów.

Katie była zadowolona z pomysłu zrobienia wspólnego zdjęcia i nawet nie pytała o przyczynę tak nagłej chęci sfotografowania się. Weszli; w środku siedział mały człowieczek, z wianuszkami przerzedzonych włosów wokół tysej czaszki. W koszuli rozpiętej pod szyją i szelkach wyglądał jak właściciel jakiegoś wiejskiego składu towarów. Na ich widok natychmiast odłożył gazetę, rozjaśniając twarz w szerokim profesjonalnym uśmiechu. Przywitał ich familiarnym tonem:

— Moje nazwisko Porkel, do usług. Pierwszym klientom dnia zawsze przynoszę szczęście. Państwo życzą sobie fotografie ślubne, jak sądzę?

Johnny spojrzał nań okrągłymi ze zdumienia oczyma, jakby chciał spytać: „Czy w Nowym Jorku nie mówi się o niczym innym tylko o ślubach i małżeństwach?” i rzekł ostro:

— Chcę się tylko sfotografować z dziewczyną.

— Narzeczeni, jak sądzę?

— Nie — odparła Katie równie stanowczo, pragnąc przyjść Johnny'emu z pomocą.

— To fatalnie! — Porkel pokręcił głową. — Świat jest stworzony dla kochanków. Czy też raczej kochankowie to jedyni szczęśliwi ludzie na tym świecie. — Podszedł leniwym krokiem do wielkiego aparatu skrzynkowego starego typu. — Zbyt zaśle-

pieni miłością, by widzieć jego plugawą stronę, jak sędzę.

Z przyjemnością popatrzył na dziewczynę.

— Trzeba powiedzieć, że pani jest uroczym wyjątkiem wśród moich zwykłych pierwszych klientów. Zazwyczaj ludzie, którzy zjawiają się tu o tak wczesnej porze, wyglądają koszmarnie; nie mogę wprost pojąć, czemu, u licha, zdecydowali się uwiecznić dla potomności właśnie o dziewiątej rano, kiedy są w stanie tak żalonym.

— Jeśli za to płacą, co za różnica? — zauważył Johnny.

Porkel wzruszył ramionami.

— Ponieważ w głębi duszy jestem artystą. — Podszedł do białej ściany ze zrolowanymi płótnami u góry. — Czy chcecie, moi kochani, jakieś specjalne tło?

Marynarz nie zrozumiał pytania.

Porkel rozwinął jedno z płócien. Była na nim przedstawiona scena z dzikiego zachodu, z górami w tle, zagrodą na pierwszym planie oraz porzrzucanymi wokół siodłami i szkieletami bydła.

— Nie, nie to — powiedział Johnny ku radości Katie.

Wówczas fotograf rozwinął płótno z fragmentem nadbudówki statku w głębi i wycelowanymi w widza lufami dział na pierwszym planie. Chłopak znowu pokręcił głową, chociaż obraz mu się spodobał.

— Gdybym był sam, odpowiadałoby mi to, ale do dziewczyny nie pasuje. Nikt nigdy nie widział kobiety na pokładzie. — I dodał wspaniałomyślnie: — Ale to świetny obraz. Statek wygląda prawie jak prawdziwy.

— Tak, to udane obrazy — zgodził się Porkel. — Sam je namalowałem.

Johnny z wrażenia cofnął się o krok.

— Nigdy przedtem nie spotkałem artysty, z wyjątkiem jednego. Kumpel ze statku. Ale on rysuje tylko nagie kobiety.

Porkel pokiwał głową:

— Najpowszechniejsza forma sztuki marynistycznej. — I oddał się wspomnieniom: — Tak, moi drodzy, kiedyś byłem artystą. Zacząłem od malowania obrazów na lustrach w knajpach, ale prohibicja mnie zrujnowała!

— Prohibicja była dawno temu — zauważył Johnny.

— Tak, byłem zrujnowany już dawno temu — zgodził się Porkel z prostotą. Rozwinął płótno, na którym był namalowany pejzaż hawajski z ogromnym księżycem i palmami o strzępiastych liściach.

— Marynarze często wybierają to tło, bracie, zwłaszcza pod wieczór. Wieczorami zatrudniam tu dziewczyny, jako towarzystwo do zdjęć.

— Towarzystwo do zdjęć? — spytała podejrzliwie Katie.

— Tak — odrzekł Porkel. — Bardzo wielu marynarzy chce się sfotografować z panienką, żeby potem wysłać zdjęcia do domu i wzbudzić zazdrość u miejscowych dziewczyn.

Katie pomyślała, że Johnny również przyprowadził ją tu w tym celu.

— A nie masz nic stąd, z Nowego Jorku? — spytał chłopak.

— Ach, ty realisto! — zawołał Porkel i rozwinął płótno z widokiem miasta na tle nieba.

Malowidło spodobało się Johnny'emu.

— Świetnie! Co ty na to, Katie? Pokiwała głową na znak zgody.

— Straszna szkoda, że nie ma obrazu z widokiem Lushmana-82.

Porkel ustawił ich do zdjęcia, zmienił trochę oświetlenie, po czym wycofał się za aparat i popatrzył przez pryzmat. Wreszcie uniósł twarz znad aparatu z wyrazem pełnej satysfakcji.

— Szanowna młoda damo, twoje włosy są przepiękne, ale masz także coś takiego w oczach... Gdybym zdołał uchwycić to na zdjęciu, oboje stalibyśmy się sławni.

Katie nie wiedziała, czy Porkel mówi poważnie, czy żartuje, ale z radością spostrzegła, że jego uwaga zrobiła na Johnnym wrażenie.

— To właśnie ciągle jej powtarzam — rzekł tonem eksperta.

— Ach, gdyby jakaś kobieta popatrzyła na mnie kiedyś w taki sposób... — westchnął fotograf i ponownie pochylił się nad aparatem.

Katie posłała Johnny'emu uśmiech pełen dumy. Nagle powiedziała:

— Poczekaj, Czapkę masz źle założoną — i poprawiła ją troszeczkę.

Znad aparatu znów ukazała się twarz Porkela. Pokręcił głową:

— Typowa kobieta. Żaden chłop nie jest dla niej dość dobry. Koniecznie musi go naprawiać.

— Naturalnie, i większość mężczyzn tego potrzebuje!

Fotograf roześmiał się.

— Gdybym był tobą, ożeniłbym się z nią, chłopie.

Zakłopotany Johnny zmarszczył brwi, aż Katie zrobiło się go żal.

— No, dobra! — powiedział Porkel, gdy aparat był już ustawiony. — Nie tak, stańcie bliżej siebie.

Czyżbyś się jej bał, marynarzu?

— Nie, mój panie! — Chłopak niezręcznie objął Katie ramieniem.

Jego dotyk był delikatny, a zarazem stanowczy; oblała ją fala gorąca, a serce zabiło gwałtowniej.

Starła się uśmiechnąć, aby ukryć wzruszenie.

— Doskonale! — ucieszył się Porkel. Wprawnym ruchem odślonił obiektyw i zrobił trzy zdjęcia. —

Świetnie! — powiedział z niespodziewaną ulgą w głosie. — Pięknie wyszło. Gdybyście byli małżeństwem, wasze dzieci podziwiałaby te zdjęcia.

Johnny zbliżył się do fotografa z wojowniczą miną.

— Słuchaj, gdzie tylko dzisiaj pójde, każdy gada o ślubach i małżeństwach. Dlaczego?

Nie znając jeszcze wszystkich nastrojów chłopaka, Katie nie była pewna, co oznacza ów wojowniczy wygląd. Lecz bez względu na to, co oznaczał, fotograf, bynajmniej nie przestraszony, uśmiechnął się szeroko.

— Myślisz, marynarzu, że jestem tylko marnym broadwayowskim pstrykaczem? W pewnym sensie tak, ale to moje uboczne zajęcie. Moim głównym fachem jest pośrednictwo w sprawach sercowych.

— A co to takiego? — zainteresował się natychmiast Johnny. Katie zaciekawiła się również.

Porkel leciutko pogładził koszulę na piersi:

— Bylibyście zdumieni, jak wielu zakochanych potrzebuje pomocy. Więc im pomagam.

— A w jaki sposób? — spytał podejrzliwie marynarz.

— Czasami pierścioneczek albo suknia ślubna; bywa że i drużba, gdy w ostatniej chwili okazuje się, że go zabrakło. Czasem chcą się żenić już, zaraz, a w stanie Nowy Jork jest przepis, że trzeba poczekać co najmniej trzy dni, aby dać krew do badań. A dzięki małemu ominięciu prawa i burmistrz musi troszeczkę popracować, i lokalne gazety wychodzą w zwiększonej objętości.

— Ale dlaczego ludzie nie mogą poczekać tych trzech dni? — spytał Johnny.

— Nie uwierzyłbyś, jak wiele młodych par, takich jak wy, idzie sobie pod rączkę Broadwayem w piękny letni wieczór, bez żadnego ważnego celu, tylko po to, żeby się rozerwać. I nagle — buch! Decydują się, że najlepszą rozrywką byłoby w danym momencie wziąć ślub, no i chcą się pobrać, ot tak. Niczego na świecie nie pragnie się bardziej, niż wziąć ślub, kiedy właśnie nie pozwalają tego zrobić. Tak, tak, marynarzu. Po prostu coś zaczyna się z tobą dziać. Może facetowi za parę godzin skończy się urlop. A może jest dopiero czwarta nad ranem. Gdzie w Nowym Jorku ożeniłbyś się o tej godzinie?

— Diabli wiedzą — przyznał Johnny — ale jeśli tak strasznie chciałbym się ożenić — chociaż nigdy w życiu to mi się nie zdarzy — jakoś bym znalazł sposób.

— Jasne, że byś znalazł — zgodził się wspaniałomyślnie Porkel. — I gdybyś był wtedy w Nowym Jorku, najmądrzej byś zrobił, przychodząc do mnie. Jesteśmy otwarci całą noc. W każdej chwili mamy ze współnikiem wszystko gotowe: taksówkę do Jer-

sey, gdzie z miejsca dają ci ślub, świadectwo ślubu, księdza, pastora, rabina — do wyboru, do koloru — taksóweczkę z powrotem do Nowego Jorku, dwie godzinki albo ile tylko sobie życzysz w specjalnym hotelu, a potem następną taksóweczkę, która czeka już na ulicy i zabiera cię na stację — jeżeli spieszysz się aż tak bardzo. W trzy godziny możemy załatwić kompletny ślubik i jak dotąd nigdy nie nawaliliśmy.

— Chodzi ci o to, że potem nigdy nie było rozwodów?

Porkel zrobił przeczący ruch głową.

— Nie, nie, mam na myśli, że nigdy z naszej winy żaden pan młody nie spóźnił się na pociąg — oświadczył z dumą. — Mamy system dopracowany w najdrobniejszych szczegółach: różne ceny na każdą kieszeń. Dwadzieścia pięć, pięćdziesiąt, sto, dwieście dolarów. W tę ostatnią cenę wliczamy suknię ślubną z prawdziwego jedwabiu — mam ich pełną szafę — pokój hotelowy z widokiem na rzekę Hudson i butelkę szampana, amerykańskiego, najlepsza marka na rynku.

Johnny słuchał z otwartymi ustami.

— Dbamy o naszych klientów — stwierdził Porkel z naciskiem. — Niektórzy są tak zadowoleni z naszych usług, że przychodzą po raz drugi albo nawet kilka razy, naturalnie z innym oblubieńcem czy oblubienicą. Pewna dama brała u nas ślub czterokrotnie.

— Bez rozwodu? Fotograf wzruszył ramionami.

— O to nigdy nie pytam. Johnny był pełen oburzenia.

— Lipne wdowy.

— Być może — zgodził się Porkel. — Mamy ich mnóstwo w okolicy. — Potem zaś rzucił niedbale:
— Wy, moi drodzy, rzecz jasna, nie jesteście zainteresowani.
— Nie — odparł stanowczym głosem chłopak. Również na jego twarzy widać było stanowczość.
— To niedobrze — rzekł Porkel jakby mimochodem i dodał z uśmiechem: — W naszym biznesie wykonujemy też mnóstwo innych usług, wszystkie z zakresu spraw sercowych. Kiedyś jakiś marynarz zakochał się w śpiewaczce z chóru „To my, dziewczyny”. — Zapalił papierosa. — Zadanie było proste. Zapoznaliśmy ich i niech mnie szlag trafi, jeśli bujam, że tydzień później już wzięli ślub. Katie obserwowała marynarza. Wyglądał jak rybak, gapiący się z wytrzeszczonymi ze zdumienia oczami na jakiś nowy, nie znany mu gatunek ryby.
Porkel przypomniał sobie, o kasecie, którą wciąż trzymał pod pachą.
— No, pora zabierać się do wywoływania. Liczyłem na to, że zjawi się Hosenfenster, mój wspólnik, ale chyba gdzieś się zawieruszył. — I dodał w zaufaniu: — Hosie pilnuje interesu w rejonie Jersey i w wolnych chwilach pomaga mi w wywoływaniu i retuszowaniu zdjęć. — Przeszedł do pracowni mieszczącej się w głębi zakładu; odchodząc rzucił:
— Jeśli przyjdą jacyś klienci, zajmijcie ich rozmową. Możecie sprzedać im ślub, dziesięć procent dla was.
I zniknął, trzasnąwszy drzwiami. Johnny podrapał się w głowę.
— Ale niesamowite typy spotyka się w tym Nowym Jorku!

— Czy to nie dziwne? — zgodziła się Katie.

— Myślę, że to wspaniałe — odparł w zamyśleniu. — Do tej pory sądziłem, że szajbusy są tylko w marynarce. Teraz myślę, że wszędzie jest ich tyle samo, no, może jeśli nie liczyć kilku oficerów. — Zapalił papierosa. — Ale jednego wciąż nie mogę zrozumieć: gdzie tylko nie pójdziemy, ludzie mówią o małżeństwie.

— Na całym świecie mówi się o małżeństwie — stwierdziła Katie.

Nagle z impetem otworzyły się drzwi i ukazał się w nich niski mężczyzna w brązowym płaszczu, opadających spodniach i wymiętoszonym kapeluszu. Miał zniszczoną twarz, jakby przedwcześnie postarzałą. Błady, niespokojny, wyglądał jak zbłąkany duch.

— Porkel! — wrzasnął od progu. — Porkel! Z pracowni dobiegł stłumiony głos fotografa. Przybysz już zaczął walić pięściami w drzwi, gdy wyłonił się zza nich właściciel zakładu.

— Hosie! — warknął Porkel. — Co się stało? Hosenfenster mówił tak szybko, wykrzywiając przy tym głowę na wszystkie strony, że Johnny i Katie z trudem rozróżniali poszczególne słowa.

— Tookropnetonieprawdopodobne! — trajkotał z niesłychaną prędkością. —

Glinywęszańapra-woilewo!

— Skąd dzwoniłeś?

— Z Jersey — powiedział Hosie już wolniej, łapiąc oddech.

— Myślisz, że tu przyjdą?

— To pewne jak w banku — odparł tamten ponuro.

— To Hosie, mój asystent i wspólnik — objaśnił Porkel, zwracając się do Johnny'ego.
— Drabisko pokłócił się z facetką, ledwo wyszli z plebanii — opowiadał Hosie. — Wywiązała się sytuacja.
— Aha. I co wtedy?
— Więc wtedy koleś mówi, żeby mu zwracać forszę, że niby, powiada, cały mariaż wart funta kłaków. No i mówi, że albo dołoży mnie, albo pannie młodej.
— No i?
— No i pomyślałem, że przysłużę się kobiecie, a przy okazji sobie samemu też, i dałem mu w pysk. Ale pech chciał, że zobaczył mnie jakiś glina.
Katie zerknęła na Johnny'ego i uśmiechnęła się, widząc, jak bardzo pochłonięty jest relacją Hosiego. Zauważył to także Porkel.
— Hosie, robisz na tych ludziach złe wrażenie. Tamten jakby dopiero teraz-^auważył Katie i Johnny'ego.
— Klienci? Człowieku, na Boga, ani myślę wracać teraz do Jersey, chyba że dadzą mi dużo, dużo gotówki.
— Ale oni nie są zainteresowani ślubem — poinformował go Porkel.
Hosie zapienił się ze złości, jakby zraniono jego najświętsze uczucia.
— Które z was jeszcze się waha? Mam cały zestaw argumentów: inne dla narzeczonego i inne dla narzeczonej.
— Przyszliśmy tu tylko zrobić sobie zdjęcie — oznajmił sucho Johnny.
— A przy okazji moglibyście się pobrać, co wam szkodzi? — nalegał Hosie. — A może łaskawa pani

nie chce wyjść za tego oto sympatycznego kawalera?

— O, to, to — wtrącił się fotograf. — Przekonaj ich. Ja mam zdjęcia do zrobienia. — Udał się do pracowni i zamknął za sobą drzwi.

— Możliwe, że jesteś już żonaty — perorował dalej Hosie, zwracając się do Johnny'ego. — Był tu u nas pewien marynarz, który miał pięć żon, prawdziwy Sindbad Żeglarz.

— Johnny nie jest takim człowiekiem — przerwała mu ostro Katie.

— Poza tym znamy się tylko kilka godzin — dodał chłopak zawziętym głosem. Minę miał także zawziętą.

— To wystarczy — odparł Hosie niczym nie zrażony. — Poznasz swoją żonę po ślubie. W ten sposób małżeństwo obfitować będzie w niespodzianki.

— Poza tym — dodał Johnny tonem tak twardym, jak twarde były teraz rysy jego twarzy — nie mam najmniejszego zamiaru z nikim się żenić.

— Mój chłopcze — powiedział Hosie głosem miękkim jak aksamit — pomyśl tylko, wracasz do domu, a tam żoneczka, dzieciątka, ogień płonie w kominku... Chcesz, a wszystko ci załatwimy za jednym zamachem, cena do uzgodnienia.

— Słyszeliśmy już o tym od twojego współnika, ale nie jesteśmy zainteresowani — przerwała mu Katie.

Johnny podziękował jej spojrzeniem; nie przyznałby się co prawda do tego, że sam nie zdołałby sobie poradzić, niemniej jednak szczerze był jej wdzięczny za wsparcie. Aż zdziwiła się w duchu, jak wiele radości sprawiło jej przyjście mu z pomocą.

— Bez obrazy — powiedział przymilnie Hosie. — Bez obrazy, wszystko w porządku.

W tym momencie z pracowni wyłonił się fotograf. Twarz jaśniała mu uśmiechem; w ręku trzymał mokre odbitki.

— Prawdziwe dzieła sztuki — rzekł z dumą, pokazując je swoim klientom.

Na wszystkich zdjęciach Katie miała za duży nos i zbyt szeroką twarz, za to Johnny był bardzo przystojny. Uśmiechnął się z zadowoleniem.

Porkel z ubolewaniem pokiwał głową i zwrócił się do Katie:

— Nie udało mi się uchwycić tego błysku w pani oczach. Niestety, aparat fotograficzny to tylko nieczuła maszyna, tępy, ograniczony automat. Bez duszy.

— Czy mógłbyś — poprosił go marynarz — napisać na odwrocie każdego zdjęcia datę, porę dnia, miejsce i podpisać się?

— Oczywiście. — Fotograf zakreślił się w poszukiwaniu długopisu. Tymczasem Katie zastanawiała się, na co to było Johnny'emu potrzebne.

Chłopak włożył dwie podpisane fotografie do portfela, jedną zaś wręczył Katie.

— Chcesz na pamiątkę?

— O, tak. — Troskliwie wsunęła zdjęcie do notatnika.

Hosenfenster poszedł posprzątać w pracowni. Wtem Porkel wyjrzał na ulicę i aż gwizdnął z przejęcia.

— O rany, Hosie, popatrz!

Katie wyjrzała przez okno i zobaczyła potężnego, grubego policjanta. Widać było, że zamierza wejść, wyraźnie czymś zaintrygowany.

— Hosie — mruknął właściciel zakładu — to znowu Flitter. Jak myślisz, po ciebie?

— Kto wie, co może chodzić po łbie gliniarzowi? — odparł wspólnik. — Poza tym niewykluczone, że plotka się rozniosła. Może Flitter dostał telefon z Jersey o tym, co się stało dziś rano.

— Możliwe — odparł nerwowo Porkel. — Może zresztą o nic mu nie chodzi, tylko o punkt obserwacyjny.

Katie poczuła się nieswojo. Leciutko pociągnęła Johnny'ego za ramię w kierunku drzwi, ale on stał jak wryty i nie chciał się ruszyć.

— Lepiej ładuj się do pracowni i idź spać — rzekł fotograf. — Wygląda na to, że Flitter rozgościł się tu na dobre.

Johnny szepnął do Katie z wyraźnym rozbawieniem:

— Rany, ale historię będę miał do opowiadania na statku. Hmm, ten gliniarz nadchodzi jak szkwał.

Flitter najwyraźniej zdecydował się wejść. Ciężko przestąpił przez próg i zawołał z groźną miną:

— Gdzie Hosenfenster?

Porkel wskazał ruchem głowy pracownię.

— Tam. Hej, Hosie! Masz gościa! Katie szepnęła Johnny'emu na ucho:

— Chciałabym, żeby dał mu spokój. —: Ja też — odparł marynarz.

Zjawił się Hosie, krzywiąc twarz w wymuszonym uśmiechu.

— O, posterunkowy Flitter! Witaj, stary przyjacielu!

Policjant stał bez ruchu, nachmurzony i wściekły. Nagle, zupełnie niespodziewanie, jego złość przeszła w jakieś dziwne oszołomienie. Flitter zaniemówił.

— W czym mogę pomóc? — spytał usłużnie Hosie.

— Czy ja wiem? Dziękuję, w niczym — odrzekł policjant otepiałym głosem. — Chyba w niczym. Hosie i Porkel wymienili spojrzenia pełne wdzięczności dla losu, jeśli nie za niespodziewany cud, to przynajmniej za nagłą zmianę ludzkich nastrojów.

— Skoro już pan tu jest — zauważył Hosie — mamy okazję zrobić panu zdjęcie.

— Oczywiście — podjął skwapliwie Porkel. — Pragnęliśmy tego już od dawna. — I jednym susem znalazł się przy aparacie.

Hosie wziął Flittera pod ramię i popchnął lekko w kierunku tła. Flitter, wciąż dziwnie oszołomiony, zamruczał:

— Na co mi, do diabła, fotografia. Właściciel zakładu już ustawiał aparat.

— Hosie, zrobimy mu najwspanialsze zdjęcie, obiektywem, który mamy tylko dla najlepszych klientów. Dla Flittera nic nie jest za dobre, nawet płytka czuła na wszystkie barwy.

Marynarz obserwował scenę z rosnącym zdumieniem. Katie znów poczuła się nieswojo.

— Chodźmy — szepnęła.

Dyskretnie cofnęli się w kierunku wyjścia. Porkel tymczasem zajęty był ustawianiem aparatu.

Widząc, że wychodzą, Hosie zatrzymał ich w drzwiach, mówiąc:

— Pamiętaj, marynarzu, gdybyś kiedykolwiek zmienił zdanie, pomożemy ci ochajtnąć się w trzy go-
dzinki.

— Nie liczcie na mnie — odparł chłopak.

— Masz szczęście, bo to miła dziewczyna — ciągnął Hosie przyjacielskim tonem — ale uważaj na naciągaczki — one tylko czyhają na dodatki dla oficerskich żon. Czarne wdówki-broadwayówki, tak je nazywamy.

— Jasne — rzucił niedbale Johnny. — Czołem. Szli w milczeniu ulicą.

— Nie wiem dlaczego, ale nagle poczułam, że muszę opuścić tamto miejsce — odezwała się Katie, gdy przeszli z pięćdziesiąt metrów.

— Zaskoczył mnie ten gliniarz — powiedział Johnny tonem doświadczonego człowieka. — Z początku wyglądał tak, jakby miał zrobić niezły kocioł.

— Podniósł czapkę i podrapał się w głowę. — A w końcu figę zrobił, po prostu ni stąd, ni zowąd zaczął się zachowywać jak skołowany.

— Tak, to było dziwne.

— Może nagle zmienił zdanie. — Chłopak roześmiał się. — Może to dlatego, że zobaczył ciebie i wtedy uznał, że w towarzystwie damy powinien zachować się elegancko. Słowo daję, ty naprawdę wyglądasz jak prawdziwa dama. Nawet widać to na tym zdjęciu.

Dziewczyna roześmiała się.

— Wcale nie wiem, czy tak znów chcę wyglądać jak dama. Powinienieś zobaczyć mnie u Lush-mana! Johnny wyjął zdjęcia z kieszeni i obejrzał je uważnie.

— Strasznie się cieszę, że mam na nich zaznaczoną porę dnia.

— Dlaczego? — spytała Katie ze zdziwieniem.

— Jakie to ma znaczenie?

— To sprawa osobista — odrzekł, chowając fotografie do kieszeni. — Między mną a Lardlipsem.

— I dodał triumfalnym tonem: — Właśnie sfotografować się — to była trzecia rzecz, którą chciałem zrobić na lądzie.

— W takim razie cieszę się, że udało ci się tego dokonać. — Zrównała z nim krok. — Ale chciałabym wiedzieć, dlaczego?

W odpowiedzi roześmiał się, jakby szczęśliwy z posiadania swojej małej tajemnicy. Katie poczuła, że nagle wróciła jej cała wesołość, i oto unosi się lekko w rześkim powietrzu poranka.

— Co robimy dalej, marynarzu?

— Zaraz zobaczysz.

Johnny wciąż pilnie strzegł swoich małych sekretów. Ogarnął wzrokiem panoramę ulicy i dostrzegł drzewa na Columbus Circle.

— Gdzie jest Central Park?

— Na wprost.

Katie radował jego dziecięcy zapach.

W letnim powietrzu unosiła się nieświeża woń letniego broadwayowskiego poranka. Chłopak odetchnął pełną piersią.

— O, jak dobrze poczuć wreszcie coś innego niż zapach morskiej wody.

Dziewczyna roześmiała się tak serdecznie, jakby usłyszała najlepszy kawał w życiu.

— Ale nie wolno ci śmiać się z tego, co za chwilę będziemy robić — ostrzegł ją Johnny.

— Nie będę się śmiać. — Spoważniała; na próżno usiłowała odgadnąć jego zamiary.

— Słowo?

— Słowo.

Gdy minęli Columbus Circle, Katie powiedziała:

— Oto Central Park.

— Tak jest! — Johnny rozpromienił się cały. — Właśnie tu jest coś, na co tak długo czekałem.

Jego twarz jaśniała taką pełnią szczęścia, że Katie ze wzruszenia poczuła dławienie w gardle. Wtem usłyszała własny głos, jakby niezależny od niej:

— Och, Johnny, kocham cię!

Lecz on w tym właśnie momencie rzucił się pędem w stronę parku, zostawiając ją w tyle.

Poczuła się śmiesznie i głupio — przemknęło jej przez myśl, że może chłopak zląkł się tego gwałtownego wybuchu szczerości, że nie zatrzyma się i ucieknie od niej. Powoli ruszyła w jego stronę.

Johnny był już na trawie. Widząc go uśmiechniętego od ucha do ucha, poczuła się trochę pewniej.

— Popatrz, trawa! — niemal krzyknął, kiedy przyłączyła się do niego.

— I co w tym dziwnego?

— To czwarta rzecz, którą chciałem zrobić w Nowym Jorku. — Jego oczy błyszczały z zachwytu. —

Po prostu dotknąć trawy. Jak myślisz, czy dużo trawy jest na statku?

Katie dostrzegła w jego twarzy nowy wyraz. Wyraz całkowitego zaspokojenia wielkiego głodu.

— Siądźmy. — I natychmiast usiadł. — Mój Boże, jakie to wspaniałe uczucie! — I zaraz dodał, z lekkim rumieńcem zakłopotania: — Pewnie mnie nie zrozumiesz.

— Oczywiście, że zrozumiem! — Usiadła obok niego. — Każdy chce w swoim życiu zrobić coś takiego, jak na przykład jeszcze raz dotknąć trawy, ale większości ludzi nigdy się to nie udaje.

Johnny położył się na plecach.

— Po prostu o tym marzyłem. Pachnie jak w Południowej Dakocie, choć może nie tak ładnie. —

Odwrócił twarz ku ziemi. — Jest coś szczególnego

w zapachu trawy — kiedy jest spalona słońcem i czuje się przez nią zapach ziemi.

— Chyba tak — powiedziała wolno Katie. — Ale kiedy się żyje w mieście, nieczęsto można przyglądać się trawie.

Chłopak wyciągnął się na murawie.

— Nie pogniewasz się, jeśli zostaniemy tu chwilę?

— Gdzie chcesz, jak długo chcesz, byle bym tylko mogła być z tobą.

— Zostaniesz ze mną do ostatniej sekundy. Położyła się obok niego; słoneczny żar buchnął jej w twarz. Zastanawiała się nad tym, czy Johnny słyszał słowa, które wyrwały się jej bezwiednie przy wejściu do parku. Był do tego stopnia pochłonięty widokiem trawy, że prawdopodobnie nic nie usłyszał. Zdecydowała, iż nie będzie go o to pytać.

— Katie! — Johnny odwrócił się gwałtownie w jej stronę i ustami prawie dotknął jej ucha. — Czy ty naprawdę?

— Co: naprawdę? — spytała leniwie.

— No, to, co mi powiedziałaś przy wejściu do parku. Ty naprawdę?

— Tak — powiedziała i poczuła, że głos jej drży.

— Od kiedy?

— Mam wrażenie, że od zawsze.

Zamilkł na chwilę; wydawał się jakby oddalony. Wtem przysunął się do niej gwałtownie.

— Wiesz co, Katie? Ja też cię kocham.

Nie spodziewała się tego usłyszeć. Rzuciła na niego szybkie, nerwowe spojrzenie. Twarz chłopaka była tak blisko; Katie mogła teraz wyczytać z niej to, co przed chwilą powiedział.

— Ale być może tylko dziś tak czuję — dodał Johnny, trochę ku przestrodze, a trochę przez ostrożność.

Dziewczyna roześmiała się.

— Pewno mówiłeś to już dziesiątkom dziewcząt.

— Jasne, że tak. — I dodał, jakby od niechcienia, zmienionym głosem: — Marynarze wiążą się z wieloma dziewczynami. To bardzo fajna rzecz. Oczywiście trzeba uważać, żeby nie być dla kobiety ani pierwszym, ani ostatnim facetem.

Katie przestała się śmiać.

— To brzmi jakoś dziwnie w twoich ustach. Zupełnie jakby mówił ktoś inny, nie ty.

— Jak to, przecież to ja mówię — odrzekł z nachmurzonym czołem.

Spostrzegła jego zmarszczone brwi i rzekła z pośpiechem:

— Ale i tak cię kocham. Johnny miał zadowoloną minę.

— Czuję się tak wspaniale, zupełnie jakbym przed chwilą wyszedł z ciemnej, dusznej kajuty na pokład, na świeże powietrze.

— Ummm. — W ten sposób Katie podsumowała całą minioną część dnia. — Wiesz, Johnny, jesteś inny niż ci wszyscy faceci, których znałam.

Uwaga ta ukłuła Johnny'ego jak igła.

— A dużo ich znałaś?

— Niewielu, w tej chwili nikogo. Ale oni pytają tylko o konie albo o twój ulubiony zespół, albo: „Czy widziałaś taki to a taki film”, lub proponują: „Pojeźdźmy w sobotę na Manhattan Beach” i tak dalej.

— Ummm.

— Nie romawiają na żadne prawdziwe tematy.

— Ach, tak — powiedział Johnny z roztargnieniem. — Gdybym był admirałem, trzymałbym na statku skrzynekę z ziemią i zasiałbym w niej trawę.

— Jestem pewna, że gdybyś tylko zechciał, pewnego dnia mógłbyś zostać admirałem.

— Jeezu, kobiety nie mają zielonego pojęcia o marynarce — roześmiał się chłopak.

Katie z wolna stawiała się świadoma bliskości jego młodego, gibkiego ciała.

— A piąta rzecz, którą chciałeś zrobić po zejściu na ląd? — spytała ciekawie.

— Mmm? Co? — Johnny usiadł. — Ach, to! — Uśmiechnął się. — Wydaje mi się, że to może poczekać.

— Ale co to jest? — spytała Katie z rosnącą ciekawością.

— Później ci powiem. — Odsunął się i znów opadł na trawę.

Nie opodal leżeli na murawie żołnierz i dziewczyna, połączeni mocnym uściskiem, obojętni na mijających ich spacerowiczów, nianie z wózkami, taksówki, dwóch chłopców puszcających latawca...

Johnny wskazał ruchem głowy na zakochaną parę.

— To na pewno trawa tak na nich działa.

— Albo lato i ciepło słońca.

— Taak.

— Albo to, że on jest chłopcem, a ona dziewczyną i że są razem.

— Taak. — Wziął ją za rękę.

Przysunęła się do niego bliżej. Wolno i delikatnie zanurzył dłoń w jej włosach.

— Masz piękne włosy. Są takie miękkie w dotyku.

— Tak, łatwo się układają — powiedziała Katie, drżąc pod dotknięciem jego palców.

Lekko przesunął ręką po jej czole.

— Twoja skóra też jest delikatna.

— Jak każdej dziewczyny — zaśmiała się cicho. — A u tych wszystkich dziewcząt w Irlandii albo w innych miejscach, gdzie byłeś?

Johnny roześmiał się nerwowo i musnął dłonią jej powieki.

— Ale najbardziej podobają mi się twoje oczy. Nigdy nie widziałem oczu w takim kolorze. Świecą takim blaskiem, jakby ktoś zapalił zapalniczkę. Po raz pierwszy zwróciłem na nie uwagę w restauracji w Brooklynie. Wydaje się, że to tak dawno temu.

— Strasznie dawno temu.

Zadrżała, gdy Johnny lekko gładził ją po włosach. A kiedy jego dłoń, ciepła i miękka jak krople łagodnego deszczu, dotknęła twarzy dziewczyny i spoczęła na ustach, Katie przytrzymała ją na chwilę i ucałowała.

— Nie wierzę, Johnny, że rozdziela nas wody oceanu, chociaż wiem, że tak się stanie. Ale mam nadzieję, że ten ocean nie będzie zbyt wielki. — Uśmiechnęła się. — Jest takie stare irlandzkie przysłowie, które mówi: „Gdzie most, tam rzeka wąska”.

Johnny pogрузzył się w myślach.

— Marynarze często czują się samotni. Myślę, że nikt inny nie odczuwa takiej samotności.

— Może z wyjątkiem dziewczyny, która pragnie marynarza.

Leżeli obok siebie nic nie mówiąc, nie czując potrzeby mówienia. Chłopak delikatnie trącił Katie

w ramię i poszukał jej dłoni. Owiał ich ciepły wiatr, lekki jak muśnięcie warg. Dziewczyna zanuciła: *Wiem na pewno, dokąd idę, Wiem, kto idzie obok mnie, Lecz jednego wcale nie wiem: Kto poślubi kiedyś mnie.*

— Ładna piosenka — powiedział w rozmarzeniu Johnny.

— Irlandzka. Prawie całą zapomniałam, z wyjątkiem zakończenia:

O, mój śliczny, słodki Johnny, Może on poślubi mnie.

I zaraz ugryzła się w język: chłopak na pewno pomyśli, że się z nim drażni.

Rzeczywiście, natychmiast dźwignął się na łokciu i powiedział:

— Pytam po raz dziesiąty, czemu kobiety w kółko myślą o małżeństwie? Przecież mnóstwo ludzi doskonale obchodzi się bez niego.

— Myślę, że po prostu takie są kobiety.

— Czego by one nie zrobiły tylko po to, żeby wyjść za mąż! — Uśmiechnął się do jakiegoś wspomnienia. — Kiedy byliśmy w Glasgow, większość czasu spędziłem z pewną babeczką. Pewnego razu połapała się jakoś, że odpływamy, i zamknęła moje rzeczy na klucz, żebym nie mógł wrócić na statek. Powiedziała, że mi je odda, ale dopiero jak jej obiecuję, że rano się z nią ożenię.

— No i co zrobiłeś? — spytała Katie, czując, że Johnny tego od niej oczekuje.

— Powiedziałem, że ma do wyboru: albo rozwalę jej drzwi, albo łeb — odpowiedział. — Więc dała mi klucz do szafy.

— To wcale do ciebie niepodobne — skrzywiła się dziewczyna.

— Mówiłaś mi to już parę razy — odrzekł Johnny

— ale ja właśnie taki jestem.

Słońce grzało coraz mocniej i jego promienie zaczęły przedzierać się przez mgłę. Powietrze było ciężkie i ciepłe jak nasycony wilgocią ręcznik. Katie zasłoniła ręką oczy. Tyle jest spraw związanych z Johnnym, które w przyszłości będzie musiała przemyśleć. Na razie wystarczało jej, że po prostu był.

— Kiedy cały ranek spędzasz w pomieszczeniu, nie masz pojęcia o otaczającym cię świecie.

— A ja właśnie taki jestem — powtórzył Johnny, przysuwając się do niej.

Katie uśmiechnęła się.

— Mówiłeś, że na łodzi chcesz zrobić pięć rzeczy.

— Wiem — powiedział leniwie. — Jest jeszcze jedna.

— Co to takiego?

— Mamy czas.

— Nie podpowiesz? Johnny roześmiał się.

— Nie podpowiem, tak będzie lepiej. — Nagle usiadł.

— Wiesz, prawdę mówiąc, nie mamy za dużo czasu, no nie?

— Nie za dużo. — Katie usiadła i poprawiła zakiet. Była pewna, że wie, co Johnny ma na myśli.

Spojrzała nań z uśmiechem. — Z tymi rozczochranymi włosami wyglądasz jak mały chłopczyk. Nikt by ci nie dał dwudziestu czterech lat.

— Mały chłopczyk! — zaperzył się Johnny; w jego głosie odczuwało się pogardę. Sięgnął po grzebień i z pasją zaczął czesać włosy. Nagle zerwał się z ziemi. — No, chodźmy już. Coś mnie nosi.

— Jasne — zgodziła się Katie z radością; przyjemnie było dostosowywać się do jego nastrojów. Pomógł jej wstać. Przechadzali się ścieżkami wydeptanymi w trawie. Tylko gdzieniegdzie ciemniały wśród zieleni sylwetki ludzi.

— Przychodzę tu czasami w niedzielę — powiedziała Katie — ale nigdy nie widziałam, żeby było tu tak spokojnie.

— Przychodzisz tu z facetami?

— Czasem.

— Marynarze?

— W restauracji spotyka się różne typy, ale żaden z nich nigdy właściwie się „nie liczył”. — I dodała, ujrawszy zadowolenie na twarzy Johnny'ego: — Zawsze marzyłam, że kiedyś poznam marynarza.

— Lubisz bezczelnych?

— Ze mną nikt nie był bezczelny — odparła krótko. — Zwykle w parku jest pełno marynarzy, ale dzisiaj wcale ich nie widzę — zauważyła.

— To dobrze — ucieszył się. — Przez pewien czas mogę obyć się bez marynarzy.

Trzymając się za ręce, przeszli przez jezdnię i ruszyli ścieżką w kierunku stawu.

— No powiedz mi, Johnny — spytała prowokująco Katie — co teraz będziemy robić?

Nie odpowiadał, zapatrzony w staw. Nagle niemal zapiszczał z radości:

— Spójrz, kaczki! Co one robią w Nowym Jorku?

— Mamy tu wszystko — rzekła dziewczyna z dumą gospodarza.
— Pekińskie i japońskie kaczki! — Twarz chłopaka jaśniała radością. — He gatunków! Założę się, że niewielu z tych, co tu przychodzą, potrafi je rozróżnić.
— Ja bym nie umiała — wyznała Katie. — Jedyne znane mi gatunki kaczki to specjalność zakładu Lushmana: z nadzieniem, dwoma rodzajami jarzyn, musem jabłkowym i chlebem z masłem, dziewięćdziesiąt centów porcja. — Roześmiała się.
— U Lushmana z jednej kaczki potrafią zrobić osiem porcji.
— Hmm — mruknął Johnny. — A rolnik pewnie się cieszył, jak dostał sześćdziesiąt centów za sztukę. Gdy szybkim krokiem zbliżał się do wody, Katie dostrzegła na jego twarzy tak dobrze jej teraz znany i tak przez nią ukochany wyraz absolutnego, wcale nie udawanego szczęścia. To nie był zblazowany marynarz znawca kobiet ze wszystkich portów świata, lecz zwykły, szczerzy, prosty chłopak.
— W moich stronach było pełno kaczek. Gość, dla którego pracowałem, miał fioła na ich punkcie.
— Twarz Johnny'ego promieniała radością, zupełnie jakby niespodziewanie spotkał starych, dobrych przyjaciół. — Facet miał ich całe mnóstwo. Musiałem je karmić, jedyna praca, jaką lubiłem. Żrą strasznie dużo. — Uśmiechnął się do Katie. — Interesują cię kaczki?
— Najbardziej w świecie — odrzekła radośnie. — Chociaż jeszcze przed minutą nie miałam o tym zielonego pojęcia.
Johnny wziął ją pod rękę i przeszli się brzegiem stawu.

— Te białe to pekinki, najlepsze kaczki na świecie. Lepsze niż indyjskie biegaczki. Niektóre potrafią urosnąć wielkie jak łabędzie — objaśniał z dziwną czułością w głosie. — Wiesz, kiedyś nawet marzyłem, żeby samemu zostać właścicielem kaczek fermy.

Katie próbowała wyobrazić sobie siebie samą na fermie.

— Czy taki farmer potrzebowałby żony?

— Lepszy byłby pomocnik mężczyzna — stwierdził Johnny tonem znawcy.

Uśmiechnęła się i popatrzyła na staw. Jedna z białych kaczek, zdecydowanie większa od innych, pływała leniwie w koło.

— Chciałabym, żeby do nas podpłynęła — powiedziała dziewczyna wskazując ją palcem.

— Ja też — odparł Johnny — ale one nigdy nie przychodzą. Strasznie są uparte.

Kaczka zrobiła następne koło i skierowała się ku brzegowi.

— Popatrz — zauważyła z uśmiechem Katie — płynie do nas.

— Niech to diabli! — zdziwił się Johnny. — To tylko dowodzi, że z kaczkami nigdy nic nie wiadomo.

Kaczka płynęła prosto w ich kierunku, poszukując jedzenia; nie znalazłszy go, zakręciła kuperkiem i odpłynęła, zostawiając za sobą lekkie zmarszczki na gładkiej tafli jeziora.

— Widzisz, potrafię zaklinać kaczki — rzekła z dumą Katie. — Na fermie kaczek kobieta mogłaby przecież doglądać kaczątek.

— Kaczki okropnie śmierdzą — stwierdził krótko Johnny, krytykując cały pomysł. — Kobieta zaraz miałaby ich powyżej uszu.

78 — W pogoni za miłością

Odszedł od jeziora; Katie ruszyła za nim.

— Usiądźmy na chwilę — rzekł, widząc pustą ławkę. Znow ogarnął go jakiś niepokój. Wyrzucił papierosa. — Można by robić jeszcze głupsze rzeczy niż siedzieć tu i gapić się na kaczki, ale to zdaje się i tak dosyć dziwny sposób spędzania poranka. — Spojrzał Katie w oczy. — Nie mamy za dużo czasu.

— Ty to powiedziałaś.

— Jak myślisz, co moglibyśmy zrobić?

— Myślę — zaczęła ostrożnie, widząc po zachowaniu Johnny'ego, że właściwie odgadła jego intencję — że jest coś, czego szczególnie pragniesz.

— Och, to jasne, ale czy masz jakiś pomysł?

Dziwne zachowanie chłopaka zachwiało nieco pewność Katie co do trafności jej domysłu. Nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, zaproponowała:

— Moglibyśmy pojechać na wyspę Coney.

— Czym morze mogłoby mnie jeszcze zadziwić? Ponieważ Johnny nie kwapił się z pomocą, Katie zdecydowała:

— Jest jedna rzecz, którą naprawdę chciałabym zrobić.

Powiedz, co? — spytał z nadzieją.

— Chciałabym zobaczyć twój statek.

— My na to mówimy: okręt — odrzekł z profesjonalną wyższością i lekką dezaprobatą w głosie. Gwałtownie pokręcił głową — nie-e. — Zamilkł na chwilę, szukając słów, wreszcie odezwał się, powoli, uroczyście, z powagą: — Powiem ci, co chciałbym zrobić.

Wydawało się, że zacznie mówić, ale znow przerwał. Katie czekała cierpliwie, czując na swojej twarzy ciepło słońca jak delikatny dotyk kogoś bliskiego.

— Powiem ci.

Ale najpierw wyjął papierosy, powoli wyciągnął jednego, obejrzał paczkę ze wszystkich stron i sięgnął po zapalki. Uważnie wybrał jedną, energicznie potarł nią o pudełko i ostrożnie zapalił papierosa. Sprawdząwszy, że brzegi paczki z papierosami są zagięte, przeczytał z istic korektorską skrupulatnością umieszczony tam napis, po czym wsunął ją do kieszeni. Powoli zaciągnął się dymem z papierosa. — Widzisz — rzekł, jakby przygotowując się do ważnego oświadczenia — obowiązkiem rządu, a może nawet tych paniuś, które zawsze rozdają marynarzom kanapki i paczki, powinno być załatwienie takiego miejsca, gdzie marynarz z dziewczyną mogliby pobyć sami. Zwłaszcza, jeżeli marynarz ma krótką przepustkę na ląd. — Odetchnął głęboko, spojrzął na Katie i, nie zauważywszy niczego niepokojącego w jej zachowaniu, ciągnął: — Tak ja bym zrobił, gdybym był cywilem. Prawdę mówiąc, jeśli byłyby takie miejsca, to pozwoliłbym korzystać z nich także żołnierzom. Oni też muszą czasem czuć się tak samo jak marynarze.

Katie uśmiechała się, teraz już pewna, że dobrze odgadła jego tajemnicę. Spytała jednak z niewinną miną:

— Przecież jesteśmy sami, nieprawdaż?

— Tak, hmm, jasne...

W jednej chwili zaplątał się, stracił wątek i zamilkł, jakby dalej nie miał już sił walczyć ze swą bezradnością. Zerknął na Katie w oczekiwaniu pomocy; zobaczył jedynie jej ciepły uśmiech. Żle go zrozumiał — zgniótł papierosa i ruchem głowy wskazał na pobliską ścieżkę.

— Dokąd dojdziemy tą ścieżką?

— Do zoo, a potem nad jezioro, tam, gdzie marynarze wynajmują łódki. Myślę, że prędzej czy później ściągają tam marynarze z całego Nowego Jorku.

— Wobec tego chodźmy, ale w drugą stronę. — Johnny zerwał się z ławki.

Szybkim krokiem ruszyli w głąb parku. Z przeciwka, jak rzeka o miarowym, spokojnym nurcie, nadpływali spacerowicze: matki z wózkami, niańki z rocznymi i dwuletnimi dziećmi, mali chłopcy i dziewczynki.

Jakaś kobieta, zlana potem od upału, przewijała na ławce dziecko.

— Popatrz — powiedziała Katie z zazdrością.

— Pewnie sama chciałabyś mieć takie.

— Jasne. Całą gromadkę.

— Bachory są okropne — stwierdził Johnny. — Znałem raz takiego. To znaczy mieszkałem w jednym domu z niemowlakiem. Po prostu udręka. Pieluchy, butelki, sprzątanie przez okrągły dzień. Zupełnie toto nie jak człowiek — kompletnie niesamodzielne. Ledwo dostanie gorączki, a już się trzęsiesz ze strachu, gorączka przejdzie, trzęsiesz się, że przeszła tak szybko. Tak, tak! — roześmiał się. — Ale po jakiego diabła gadam o bachorach, kiedy mam tyle naprawdę ważnych rzeczy do powiedzenia? — Znow wskazał na pustą ławkę. — Siądźmy.

— Oczywiście — zgodziła się Katie, rozbawiona. Johnny znow wziął głęboki oddech.

— No więc, co do tej piątej rzeczy, którą chciałem zrobić na łądzie...

— Tak? — odrzekła cierpliwie.

— Zawsze uważałem... tak, na ogół... zawsze uważałem, że jeżeli chce się czegoś od kobiety, trzeba ją o to wprost zapytać.

Dziewczyna pomyślała, że te słowa wcale nie pasują do Johnny'ego, lecz powiedziała tylko:

— Ja bym to ujęła troszkę inaczej, ale być może masz rację.

— A więc — zaczął Johnny, wyjmując papierosa i zapalając go nerwowo — a więc...

Na widok marynarza z papierosem, z pobliskiej ławki wstał jakiś człowiek i podszedł do nich pytając:

— Czy mogę prosić o ogień?

Był to mężczyzna drobnej budowy, o szczupłej, poszarzałej twarzy i blisko osadzonych, przenikliwych oczach. Miał na sobie brązowe spodnie i płaszcz, tak pogniecione, jakby wyszły prosto spod wyżymaczki. Koszula wyglądała równie żałośnie. Stary, wytarty krawat był wyblakły i poplamiony. A jednak, pomimo całego niechlujnego ubioru, człowiek ten miał w twarzy coś, co wzbudzało sympatię. Mówił głosem cichym, zalęknionym, prawie służalczym, jak ktoś, kto w każdej chwili spodziewa się, że zostanie pobity.

Johnny podał mu zapalki i zamilkł, czekając, aż tamten odejdzie. Ale on nie odchodził.

— Za każdym razem tak się cieszę, gdy mam okazję porozmawiać z marynarzem — zagadnął. — Czy mogę się przysiąc?

— W zasadzie... — zaczął Johnny z rozdrażnieniem, lecz Katie, której spodobało się coś w twarzy nieznajomego, powiedziała szybko:

— Oczywiście, jeśli pan sobie życzy. Czyż nie tak, Johnny?

Zgodził się niechętnie, zły na los, że przerwano mu w najważniejszym momencie.

— Nazywam się Watson — przedstawił się mężczyzna. Powoli zaciągnął się dymem z papierosa. —

Ma pan przed sobą człowieka, któremu marynarka zrujnowała życie.

W jednej sekundzie złość na twarzy Johnny'ego ustąpiła miejsca zaciekawieniu.

— Co takiego zrobiła panu marynarka? Watson pozostawił to pytanie bez odpowiedzi.

— Co pan wie na temat marynarki wojennej?

— Prawie wszystko — odparł Johnny z kwaśną miną, bojąc się, że zanosi się na dłuższą rozmowę — poczynając od tego, jak sterować okrętem, a kończąc na tym, jak trzymać wachtę na rufie. —

Chodźmy, Katie.

— Nie zabiorę wam dużo czasu — rzekł Watson niemal błagalnie. — Sprawa jest niezwykle ważna. Za każdym razem, gdy spotykam marynarza, zadaję mu pytanie, na które od dawna usiłuję znaleźć odpowiedź.

— I żaden z nich ci nie pomógł? — zdziwił się Johnny, próbując zakończyć rozmowę.

— Każdy z nich mówi co innego — stwierdził Watson ze smutkiem.

— No a jaki to ma związek z tym, że marynarka zmarnowała ci życie? — zirytował się chłopak.

— Kiedyś byłem żonaty — zaczął Watson tonem pełnym głębokiej melancholii.

Johnny rzucił w stronę Katie wściekłe spojrzenie, które ponad wszelką wątpliwość mówiło: „Zdaje się, że jedynym tematem rozmów w Nowym Jorku w godzinach przedpołudniowych jest małżeństwo.”

— Julia, to znaczy moja żona — ciągnął mężczyzna — była ode mnie o piętnaście lat starsza. Przez pierwsze kilka tygodni nasze pożycie małżeńskie zapowiadało się doskonale, chociaż to było tak dawno, że mogę się mylić — albo w ogóle wszystko zmyślam, co także jest prawdopodobne.

Katie zerknęła na Johnny'ego. Przy całym jego podenerwowaniu i niecierpliwości widać było, że nowa sytuacja wyraźnie wzbudziła jego zainteresowanie.

— Mieszkaliśmy w Hazleton, w Pensylwanii (czy przypadkiem któreś z was stamtąd nie pochodzi?) i myślałem, że jest tam szczęśliwa. Ale czy w Hazleton w ogóle można być szczęśliwym? W każdym razie chciała do Nowego Jorku. Kupowała gazety z Nowego Jorku, pocztówki z Nowego Jorku, zbierała rozkłady kolejowe połączeń z Nowym Jorkiem. Typowa prowincjonalna gęś z kompleksem wielkiego miasta. Kiedy wracałem do domu po ciężkim dniu pracy w sklepie (sprzedawałem odzież męską, najmodniejszą w Hazleton, ze specjalnym uwzględnieniem dużych rozmiarów), czy myślicie, że kiedykolwiek spytała: „Jak minął dzień? Dużo miałeś dzisiaj roboty?” Skądże znowu. Wciąż tylko powtarzała: „Czy w końcu pojedziemy do Nowego Jorku?” — Watson przerwał na chwilę, by dopalić papierosa. — Czy was nudzę?

— O nie, bynajmniej — zaprzeczył chłopak. — Czekam tylko, kiedy będzie o marynarce.

— Wreszcie odłożyłem tyle pieniędzy, że mogłem zabrać Julię do Nowego Jorku — opowiadał mężczyzna z wyraźną dumą w głosie. — Przyjechaliśmy tutaj i zobaczyliśmy wszystko, co tylko było do zobaczenia: chińskie restauracje, kina; odbyliśmy wycieczkę po mieście, spędziliśmy niedzielę na Staten Island... I wtedy — Watson zniżył głos — czternastego dnia ni stąd, ni zowąd łup! — i Julia uciekła, zostawiła mnie, i już nigdy więcej jej nie zobaczyłem. Ach, gdyby to zrobiła od razu, pier-

wszego dnia, ale żeby czekać, aż wydam wszystkie pieniądze...

— Ale co to ma wspólnego z marynarką? — przerwał Johnny.

— Za chwilę się dowiesz — obiecał uroczyście Watson. — Uciekła z marynarzem o dwadzieścia lat młodszym od niej. Oto, co zrobiła mi marynarka — nieładnie, prawda?

Katie zauważyła, że Johnny z trudem powstrzymuje się od śmiechu. Watson pokręcił głową.

— Wszyscy marynarze śmieją się ze mnie. Ale ja tylko chcę wiedzieć jedno i zawsze o to pytam: co taka kobieta jak ona mogła widzieć w marynarzu?

— No i co mówią?

— Ach, różne rzeczy — wyznał tamten ze smutkiem. — Jedni twierdzą, że jej odbiło, drudzy, że poczuła instynkt macierzyński, inni znów, że coś ją gnało na morze.

— Pewnie miała dość Hazleton — podsunął Johnny.

— Nie sądzę. — Watson pokręcił głową. — Marynarzy i kobiety musi łączyć jakaś szczególna więź. Johnny przyjął komplement pod adresem wszystkich marynarzy, od okresu starożytnych galer po epokę nowoczesnych transatlantyków, jako coś najzupełniej oczywistego.

— Ja wpadłem dokładnie na to samo.

— Od lat głowię się, co to może być — wyznał mężczyzna — ale żaden marynarz nie chce mi powiedzieć.

— Może powinien pan zapytać kobietę? — wtrąciła Katie.

— Uhm — zgodził się Johnny, który znów zaczął się niecierpliwic.
— Ale to nie wszystko — ciągnął Watson. — Niepokoi mnie jeszcze inna sprawa.
— A mianowicie?
— Co z kolei marynarz mógł widzieć w niej? Powiedz mi! Może zauważył w niej coś, czego ja nie dostrzegłem; ta myśl prześladowa mnie już od dwudziestu lat.
Johnny nie znalazł odpowiedzi.
— Chodźmy, Katie — rzekł.
— Gdyby był pan łaskaw wyświadczyć mi małą przysługę — szepnął nieśmiało Watson.
— Co znowu?
— Gdyby tak, za pozwoleniem, parę grosików...
— Jasne, — Johnny natychmiast wyjął portfel. Katie zmarszczyła brwi. — Na pewno marynarka jest ci winna parę dolarów — oświadczył, rad, że pozbędzie się wreszcie natręta.
— Dziękuję, panie marynarzu, dziękuję — odrzekł Watson, zginając się w ukłonach. — Życzę dużo szczęścia w małżeństwie...
Chłopak nachmurzył się:
— Słuchaj, ty... — Ale Watson zdążył już odejść.
— Nie powinienesz być dawać mu pieniędzy — odezwała się Katie. — Przypuszczalnie wyciąga je od wszystkich marynarzy.
— Dałem, żeby się odczepił — stwierdził krótko Johnny. — Przez cały czas jak truł, myślałem tylko o tym, ile tracimy czasu. Jest prawie wpół do jedenastej. Mamy tylko sześć godzin. — Pokręcił głową i westchnął głęboko. — Nigdy przedtem czas nie mijał mi tak szybko.

— Ani mnie.

I pomyślała, jak zmieni się teraz całe jej życie.

Już dziś Johnny odejdzie, ale ona, Katie, będzie żyć nadzieją, że kiedyś wróci. Ta nadzieja była jak puls, który wciąż jeszcze daje się wyczuć w bezwładnym, stygnącym ciele.

— Katie!

W głosie chłopca była żarliwość, nadzieja, niemal błaganie o pomoc. Spojrzał jej prosto w oczy, jakby prosząc o wyrozumiałość, i wreszcie wyrzucił z siebie:

— Pragnę być z tobą sam na sam, gdzieś, gdzie moglibyśmy być sami, rozumiesz?

Katie poczuła mocny uścisk jego ręki, a jednocześnie rosnące napięcie w całym ciele.

Jej pełen rozbawienia uśmiech, z którym obserwowała wysiłki Johnny'ego, pragnącego powiedzieć to, czego od dawna się domyślała, mógł wyrażać mglistą obietnicę i niejasne przyzwolenie, jak też wyrozumiałość dla jego, jakże widocznego, zakłopotania. Ale spytała tylko:

— Czy to jest właśnie ta piąta rzecz, którą chciałeś zrobić na lądzie?

Johnny milczał przez chwilę, wreszcie odpowiedział po prostu:

— Tak.

— Było ci wszystko jedno, z jaką dziewczyną to zrobisz?

— Tak — wyznał szczerze. — Póki nie zobaczyłem ciebie. — I dodał, pośpiesznie, z nadzieją: —

Mamy tak mało czasu. — Po czym, jakby z góry odpierając wszelkie możliwe zarzuty, zaczął tłumaczyć: — Oczywiście wieczorem, przy księżycu i tak dalej, byłoby mi łatwiej...

— Łatwiej?

— Łatwiej powiedzieć. I może zrozumiałabyś lepiej.

— Więc sądzisz, że nie rozumiem? — spytała cicho.

Speszył się.

— Chodzi mi o to, że w biały dzień to może brzmi troszkę... śmiesznie.

— W takich sytuacjach liczą się ludzie, nie okoliczności — odparła Katie. — Ja cię rozumiem i wcale nie wydajesz mi się śmieszny. Kocham cię. Co w tym śmiesznego?

— Wiesz, myślałem, że może... — zaczął Johnny zmieszany.

Spokojnie wpatrując się w niego swymi szarymi oczami, Katie powiedziała:

— Ja także pragnę być z tobą sam na sam, właśnie teraz, na chwilę albo na zawsze. — I roześmiała się, widząc zaskoczenie, które nagle pojawiło się na jego twarzy: — Wyglądasz na strasznie zdziwionego. Przecież mówiłam ci już, że cię kocham?

— Tak — potwierdził Johnny. I dodał z głębi serca:

— Ja też cię kocham, Katie.

Otoczył ją ramieniem; poczuła jego bliskość, ciepło i siłę.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu opromienieni blaskiem miłości. Wtem usłyszała cichy głos Johnny'ego:

— Gdzie możemy pójść, Katie?

— Wszystko jedno. Dokąd zwykle w takich chwilach udają się marynarze?

Chłopak zmieszał się.

— Do jakiegoś hotelu, zwykle do hotelu. Ale nie znam żadnych hoteli w Nowym Jorku.

— Ja też nie znam tu żadnych hoteli ani innych podobnych miejsc — rzekła Katie, i dorzuciła rzeczowym tonem: — Jedyne możliwe miejsce to mój pokój w Brooklynie, kawałek drogi stąd; niestety nie jest tam zbyt miło.

— Ale przecież sama mówiłaś, że liczą się ludzie, nie okoliczności.

— To prawda — przyznała dziewczyna i nagle zawołała: — Och, Johnny, tak bym chciała, żebyś nigdy, nigdy nie musiał stąd odjeżdżać!

Nie odpowiedział. Rzucił jedynie praktyczną uwagę:

— Jeżeli musimy jechać aż do Brooklynu, to lepiej zaraz ruszajmy.

— To dość daleko — zgodziła się Katie. Wstali razem. Przytuliła się do jego ramienia.

— Może weźmiemy taksówkę? — zaproponował Johnny.

— Trudno będzie namówić taksówkarza na tak długą trasę, choć może nam się uda. Ale najpierw musimy wydostać się z parku, a to troszkę potrwa.

— Po co zapuściliśmy się tak daleko? — jęknął chłopak i dodał z uśmiechem: — Czuję się teraz tak, że mógłbym iść na sam koniec świata.

Katie ścisnęła go za ramię.

— Ja mam takie samo wrażenie.

Odwrócił się do niej, mocno przycisnął ją do siebie i pocałował.

Szli w rytm radośnie bijących serc. Katie wciąż czuła na wargach mocny dotyk jego ust. Niekiedy spoglądała na chłopca z uśmiechem, a Johnny odwzajemniał jej uśmiech. Szli szybko, coraz szybciej, aż dziewczyna zaczęła tracić oddech.

— Czy musimy tak biec?

— Sama mówiłaś, że to daleko — odparł.

Przebiegli ścieżkę w pobliżu zoo. Jakaś para, starsze małżeństwo z Austrii, popatrzyła za nimi z uśmiechem. Mężczyzna zwrócił się do żony:

— *Liebchen*, czy widziałaś ich twarze? Kobieta skinęła głową.

— Taki wyraz twarzy miewają tylko ludzie bardzo młodzi i bardzo szczęśliwi.

Szeroki pas zieleni oddzielał ścieżkę od jezdni; stamtąd był już tylko krok do Piątej Alei i do taksówek. Kiedy przechodzili przez trawnik, Katie powiedziała zadyszczanym głosem:

— Johnny, znowu tracę oddech.

Zatrzymali się na chwilę. Marynarz zapalił papierosa i wciągnął dym.

— Chodźmy, mamy jeszcze tylko kawaleczek — powiedział łagodnie — widać już taksówki.

Jedną ze ścieżek sunęło ciężkim, niezdarnym, kołyszącym się krokiem jakieś wielkie, grube chłopisko w marynarskim mundurze. Idąc, olbrzym wystawiał twarz na słońce. Była to twarz o mocnych rysach, pokierszowana, ze szramą na policzku. Wielki, mięsisty, garbaty nos rzucał cień na szerokie, niekształtne usta. Grube cielsko wyglądało w opiętym ubraniu niczym balon w powłoce. Miało się wrażenie, że wystarczy, by człowiek ten napiął mięśnie w potężnych ramionach, a jego mundur popeka w szwach.

Olbrzym rzucił przypadkowe spojrzenie na Johnny'ego i Katie — i ze zdumienia rozdziawił usta.

Podbiegł do nich chwiejnym truchtem, przytrzymując czapkę.

— Hej, Johnny! — zawołał.

Chłopak podskoczył jak porażony prądem i w jednej chwili twarz mu zbielała. Katie poczuła drżenie jego ręki i zerknęła nań ukradkiem. Z oblicza Johnny'ego znikły rumieńce, znikło życie.

— Johnny! — ryknął marynarz. — Kim jest ta dama?

Twarz chłopaka zmaląła i skurczyła się.

— A więc posłuchałeś mojej rady, he? Jestem z ciebie dumny! — Nie doczekawszy się odpowiedzi, spoważniał i spojrzał spode łba. — Co, nie przedstawisz mnie, chłopcze? A gdzie dobre maniery, co? Johnny odezwał się bezbarwnym, matowym głosem:

— To jest Katie. Katie, to jest mój towarzysz ze statku, Paul Lardlisky, marynarz światowej ekstraklasy.

— Czyżby Lardlips? — spytała Katie.

W jednej chwili czoło olbrzyma zasnuło się chmurą, ba, całą nawałnicą chmur.

— Rzadko kto nazywa mnie tak w mojej obecności.

— To jeden z ludzi pełniących razem ze mną wachtę — wyjaśnił Johnny beznamiętnym tonem.

- A zarazem najlepszy żeglarz w całej pieprzonej marynarce! — dodał Lardlips. — Osiemnaście lat na morzu. Jeśli jest coś, czego nie wiem, to znaczy, że jajogłowi z dowództwa jeszcze tego nie wymyślili!

Po twarzy chłopaka przemknął cień; Katie aż przykro było na niego patrzeć. Unikał jej spojrzenia — wyglądał, jakby pragnął zniknąć, dać nura w głąb morza, tak by na powierzchni nie pozostała ani jedna zmarszczka, nic. Cała jego pewność siebie, sta-

nowczość, nawet młodzieńczość, świeżość — wszystko to w jednej chwili znikło.

— No taak. — Lardlips cofnął się o krok i obejrzał Katie od stóp do głów, zatrzymując pełen podziwu wzrok na jej pełnej, wysokiej piersi, szczupłej talii i kształtnych łydkach. — Jakim cudem udało ci się poderwać z samego rana taką zgrabną laleczkę? Niczego sobie korwetka. Opływowa jak łódeczka, he, he.

Johnny nie mógł wydobyć z siebie głosu, lecz z jego twarzy bez trudu dało się wyczytać złowieszcze przeczucie tego, co za chwilę nastąpi.

— Ja też rozglądałem się za jakąś laleczką, ale było za wcześnie — westchnął Lardlips niepokieszony.

— Zazwyczaj pełno ich kręci się przy budce z hotdogami koło jeziora w Central Park. Ale dziś, nie wiedzieć czemu, jedyne, na co się tam natknąłem, to jacyś zasmarkani uczniowie w brudnych skarpetkach, którzy wyglądali, jakby spędzili noc pod mostem.

Lardlips działał na Katie jak wyziewy zgniłego powietrza z piwnicy na Sands Street. Spojrzała błagalnie na Johnny'ego, spodziewając się, że podpowie jej, co dalej robić, ale ten stał jak wryty, zupełnie zdezorientowany. Błyskawicznie więc sama podjęła decyzję.

— Doprawdy miło mi było pana poznać, ale zechce pan łaskawie wybaczyć, niestety musimy już iść.

— A gdzież, do diabła, wybieracie się o tej porze? — spytał podejrzliwie Lardlips.

— Jesteśmy umówieni — rzekła chłodno Katie.

— Taak — dodał niepewnie Johnny — umówiliśmy się na, eee, spotkanie.

— Mogę pójść z wami?

— To daleko stąd, w Brooklynie. — Ton Katie odstraszyłby nosorożca.

— Nie mam nic przeciwko Brooklynowi — upierał się Lardlips.

Katie spojrzała na Johnny'ego, który powiedział:

— Hmm, to nic specjalnie ciekawego. Nie sędzę, żeby ci się podobało.

— Jeżeli to takie mało ważne — odparł Lardlips tonem światowca — po diabła w ogóle tam iść.

Możemy razem zjeść lunch, opowiem wam parę ciekawych historii. — Energicznie pokręcił głową:

— Nie cierpię tych cholernych przepustek na pół dnia. Nie ma czasu się rozkręcić. No, chodźmy gdzieś. — Wziął Johnny'ego pod rękę i chciał objąć Katie w talii, ale się odsunęła. — Jezu, jak się cieszę, że was znalazłem. Strasznie mi źle, gdy jestem sam.

Chłopak uśmiechnął się nerwowo do Katie. Odczuwała zakłopotanie, widząc go takim milczącym i zbitym z tropu.

— Widzisz, Katie — tłumaczył Lardlips, łapiąc ją za ramię z delikatnością klucza francuskiego — na statku wciskamy Johnny'emu mnóstwo kitu na temat kobiet. Nie ma o nich bladego pojęcia, jak się pewnie zorientowałaś. Ale to dobry dzieciak, chociaż ma dopiero dziewiętnaście latek.

Natychmiast zrozumiała przyczynę nagłego zamilknięcia Johnny'ego i wiele, wiele innych rzeczy. Nie mogła się powstrzymać, by nie zerknąć nań ukradkiem. Biedak był tak zażenowany, że natychmiast pożałowała swego spojrzenia. Płonął ze wstydu; szyja odcinała się głęboką czerwienią od błękitnego kołnierza.

— Nie spotkasz lepszego dzieciaka, jeśli lubisz dzieci — ciągnął Lardlips. — Chociaż taka laleczka jak ty powinna woleć bardziej doświadczonych facetów.

— Na przykład takich jak ty? — spytał Johnny z nagłym ożywieniem.

— Hmm — odrzekł chełpliwie Lardlips — gdybym nie był taki piekielnie skromny, odpowiedziałbym, że tak. Ale nie martw się, mały, nie ukradnę ci jej. — Zmieniając ton na bardziej zażyły, zwrócił się do dziewczyny: — Ale gdybym tylko chciał, mógłbym cię, skarbie, poderwać w superstylu. Na pierwszy rzut oka widać, że jesteś marynarska dziewczyna. Pamiętam, jak raz przybiliśmy do Trynidadu, na Karaibach. Mają tam lale jak malowanie: Hinduski, Chinki, Murzynki, wszystko przemieszane. Poznałem tam taką jedną maleńką, najwięcej miała z Chinki. Po diabelniaxiężkiej walce odbiłem ją jakiemuś żołnierzowi, ale strasznie byłem po tym pokiereszowany, bo dopadło mnie czterech chłopów naraz. Więc laleczka wzięła mnie do siebie, żeby opatrzyć i niech mnie diabli, jeśli wszystko, co miała, nie pochodziło z amerykańskich statków: prześcieradła z koi oficerskich, obrusy z mesy, nawet niebieska lampa była ze szkła dymnego! — Jego śmiech zabrzmiał jak coś pośredniego między czkawką a rykiem osła. — Jak tylko ją zobaczyłem, od razu wyczułem, że ta lalunia to marynarska dziewczyna.

— Och, Johnny! — wyrwało się Katie mimo woli. Zerknęła na niego dyskretnie. Patrzył gdzieś w dal; jego twarz była teraz równie czerwona, jak szyja. Lardlips, nie pojmując co się dzieje, spojrział na nich podejrzliwie.

94 — W pogoni za miłością

— Słyszałam tę historię — rzekła ponuro Katie.

— Johnny ci opowiadał? On zawsze opowiada o mnie!

Z radości grzmotnął kolegę w ramię; jaśniał dumą niczym świeżo upieczony admirał, przechwalający się swoim pierwszym oficerem służby informacyjnej.

Katie przestała patrzeć na chłopaka. Wyobrażała sobie, co w tej chwili czuł. Nienawidziła pyszałkowatego samozadowolenia, malującego się na twarzy Lardlipsa i chciała uciec od niego czym prędzej, ale to Johnny musiał powiedzieć pierwsze słowo. Jednocześnie była Lardlipsowi na swój sposób wdzięczna za to, że za jednym zamachem wymiół z jej duszy wszelkie wątpliwości, wszystko to, czego nie pojmowała w Johnnym.

— No, ruszmy się wreszcie — ponaglał niecierpliwie grubas, widząc, że tamten wciąż stoi jak wryty.

— Pochodzimy trochę, a potem pójdziemy coś zjeść. Może nawet w południe dadzą gdzieś pokaz.

Założę się, Johnny, że nigdy nie oglądałeś występu w knajpie.

Katie spostrzegła, że chłopak zbiera siły, by podjąć jakąś decyzję.

— Jeśli wciąż się boisz, zaopiekuję się twoją lalczką — rzekł Lardlips, widząc wahanie Johnny'e-go, zaraz jednak dodał uspokajająco: — Co ty, nie zrobiłbym tego kumplowi, poza tym dzisiaj mam za mało czasu...

— Ani dziś, ani jutro, ani nigdy — ucięła Katie. Olbrzym wzruszył ramionami.

— Ty poważnie myślisz o tym dzieciaku? — zdziwił się. Nie uzyskawszy odpowiedzi, skrzywił się tak,

że na jego twarzy pojawiły się głębokie bruzdy. — Ej, czy on cię czasem nie poprosił o rękę? To przerwało milczenie Johnny'ego.

— O czym ty u licha mówisz? Czemu, psiakrew, nie pilnujesz swoich spraw i się nie odczepisz?

— Ja?! — Lardlips był wstrząśnięty. — Mam się odczepić? Tak się mówi do faceta, który odstawił cię od mamusinego cycka? — I zwrócił się do Katie:

— Nie wyglądasz na taką, co naciąga na ożenek, więc jeżeli cię obraziłem, to przepraszam. Oczywiście czasami udaje się babce zrobić z marynarza durnia. Raz poznałem w Norfolk lalunię, która miała bzika na moim punkcie i wciąż gadała o domu i dzieciach, i niech to diabli, prawie mnie namówiła. — Po czym opowiedział historię, którą parę godzin wcześniej Katie słyszała od Johnny'ego. — Tak, drodzy państwo! — zakończył. — Posłałem połowę floty pod jej dom, i żeby każdy pytał o Nellie! — Ze śmiechu trząsł się jak filiżanka w mesie rozkołysanego okrętu.

— Słyszałam już tę historię od innego marynarza

— rzekła dziewczyna, zła na siebie, że nie bardzo wie, co powiedzieć.

— A niech to diabli! — Lardlips był mile połechtany. — Nie wiedziałem, że jestem aż tak znany. — Uśmiechnął się do Johnny'ego: — Ucz się, synu, jak stać się sławnym. — Głowa kiwała mu się jak buksz-pryt. — To właśnie takie laleczki jak ta w Norfolk ma na myśli kapelan, gdy mówi o „niebezpieczeństwach morza”. Chodzi mu o wszystkie babki polujące na męża; zawsze to powtarzam Johnny'emu i innym żółtodziobom. — Zwrócił się do Katie: — Mówię to też i dla dobra laleczek. Małżeństwo z marynarzem prędzej czy później kończy się złamaniem serduszka.

— Zależy z jakim marynarzem — prychnęła pogardliwie.

Lardlips zignorował tę uwagę.

— Wszystko, co Johnny wie o kobietach, pochodzi ode mnie, a pierwsza rada jest prosta jak w pysk strzełił: jeśli chcesz czegoś od lali, nie owijaj w bawełnę, proś od razu. Może to nie za elegancko, ale aż dziw bierze, jak skutkuje.

Katie miała ochotę rąbnąć na odlew tę zwalistą, pławiącą się w bezkrytycznym samozadowoleniu górę mięsa, ale wiedziała, że póki Johnny czegoś nie zrobi, ona ma związane ręce.

Szli bez celu. Lardlips panował nad sytuacją, chłopak włókł się za nim bezwolnie. A zaledwie parę kroków dalej, na Piątej Alei ruszały z postoju taksówki; może któraś z nich jechała do Brooklynu...

Ze swego arsenału wspomnień i doświadczeń Lardlips wydobywał coraz to nowe historyjki o kobietach, które znał.

— Osiemnaście lat w marynarce — chełpił się — i żadnej kobiecie jeszcze się nie udało mnie usidlić. Oto, czemu nazywają mnie w pełni zdolnym do służby żeglarzem!

— To tylko dowodzi, że niektóre kobiety mają szczęście — stwierdziła Katie.

Lardlips pominął to milczeniem.

— Dzieciaki takie jak Johnny zawsze proszą mnie o radę. Przychodzą prosto z farmy, surowi jak rzepa. A ja muszę ich przyrządzić, osolić, przyprawić. W końcu robi się z nich przyzwoitych marynarzy, ale co to za ciężka praca dla takich gości jak ja! Na przykład ten tutaj: dopiero co siedział w Południo-

wej Dakocie i wciąż jeszcze ma słomę we włosach. Ale dajcie no mi trochę czasu...

— Myślę, że on już teraz jest dobrym marynarzem — przerwała, czując, że powinna bronić chłopaka. Nie mogła dłużej znieść widoku jego twarzy z malującym się na niej wyrazem absolutnego upokorzenia. Niedawne rozdrażnienie spowodowane zachowaniem Johnny'ego szybko zmieniło się w głębokie pragnienie przyjscia mu z pomocą. — To dobry marynarz — powtórzyła z mocą. — Dostał przecież tę wstążkę za odwagę, nieprawdaż?

Pomyliła się. To, co do tej chwili wyrażała twarz chłopaka, nie było jeszcze całkowitym poniżeniem. Zobaczyła je dopiero teraz, gdy spojrzała na niego z dumą.

— Czyżby? — zdziwił się grubas. — Ta wstążeczka? Ach tak. Za cóż to, jak twierdzi, ją dostał? Katie zdała sobie sprawę, że popełniła jakiś błąd, ale było już za późno, żeby się wycofać.

— Za uratowanie tonącego oficera. Lardlips aż dostał czkawkę ze śmiechu.

— A mówiłem, że to dobry marynarz. Buja laleczkę jak pierwszy oficer. — I znów grzmotnął Johnny'ego w plecy. Katie słuchała z rosnącym zakłopotaniem. — Jasne, jasne, dostał tę wstążkę za uratowanie tonącego, ale ręczę ci, że dostał ją także za zdanie egzaminu z pływania na obozie szkoleniowym.

— Cóż, więc znaczy ta wstążka? — spytała go Katie, nie ośmielając się zwrócić do Johnny'ego.

— O, ta akurat jest zupełnie wyjątkowa — odparł Lardlips, wciąż rycząc ze śmiechu. — Johnny dostaje takie wstążeczki za uratowanie życia, ale innym żołnierzom i marynarzom przypina się je, jeśli

byli w Europie lub nawet w pobliżu. Musi być gdzieś cała wielka fabryka, produkująca wyłącznie takie wstążeczki. — Grube brzuszysko przelewało mu się jak kilwater. — Niech no tylko wrócę na statek! — Uspokajał się powoli. — Ratowanie życia!

Katie zwróciła się do Lardlipsa z błyskiem w oku i rumieńcem na twarzy:

— Johnny i ja musimy już iść.

Pragnęła pomówić z chłopakiem na osobności, choćby tylko po to, by przeprosić go za własną głupotę, która spowodowała tyle upokorzeń.

— A gdzie idziecie? — spytał tłuszcioch bez ogródek.

— Zaprosiłam Johnny'ego na spotkanie z moim małym bratem — odrzekła Katie z lodowatą uprzejmością. — Chciałby posłuchać o marynarce wojennej.

— Dobrze, chodźmy — ucieszył się Lardlips.

— Moja rodzina spodziewa się na lunchu tylko mnie i Johnny'ego.

— Mnie tam wszystko jedno, co zjem, nie jestem wybredny — stwierdził grubas wspaniałomyślnie.

— Poza tym twój braciszek będzie miał ze mnie pociechę, jestem chodzącą encyklopedią morską.

Katie spojrzała na Johnny'ego z rozpaczą; w jego twarzy nie dostrzegła nawet cienia nadziei.

— Dobra, chodźmy już — ponaglił Lardlips.

Żadne z nich nie odpowiedziało. Zauważył, że Johnny i Katie wahają się, i jego twarz zasnuła ciężka chmura podejrzliwości.

— Hej, co jest, do cholery? Chyba nie macie zamiaru mnie zostawić, co?

W tym momencie przez park przemknął wesoły podmuch figlarnego letniego wietrzyku. Pozrywał ko-

cyki ze śpiących niemowląt, zmiotł z trawy papierki od cukierków, zaszeleścił gazetami w krzakach, zakręcił kurzem na drodze... i zwiął Lardlipsowi czapkę z głowy. Poszybowała w powietrzu i upadła ładnych parę metrów dalej.

— Psiakrew! — zaklął ze złością i ruszył po czapkę. Johnny, z oczami utkwionymi w ziemi, pogrzebał w kieszeni i wyciągnął papierosa. Podniósł wzrok na Katie i próbował się uśmiechnąć. Ale gdy poczuł uścisk jej dłoni, uśmiech znikł mu z twarzy i pojawiło się na niej zdumienie. Papieros zwisał mu z warg.

— O Boże — powiedział zdesperowany — jak ja bym chciał, żeby on sobie poszedł i zostawił nas w spokoju!

— Oj, ja też — wyszeptała żarliwie Katie. Chłopak spojrzał na nią okrągłymi ze zdumienia oczyma:

— Naprawdę?

— Zwiewajmy stąd, złapmy taksówkę i jedźmy gdziekolwiek, zanim wróci.

Johnny pokręcił głową.

— Zrobiłby mi prawdziwe piekło na statku, on to potrafi, uwierz mi.

Olbrzym wracał z czapką, pocierając nią o rękaw, delikatnie, jakby była z piór i aksamitu. Na jego twarzy pojawił się jakiś dziwny wyraz: napięcia, otumanienia, dezorientacji.

— Słuchaj, Johnny! — wyjąkał. Pokręcił głową i z wielkim trudem wydobywając z siebie słowa rzekł:

— Hmm, Johnny, tak myślę, że będę się zbierał.

Ten ze zdumienia aż otworzył usta i spojrzał na Katie.

— No tak, dzieciaki — Lardlips jakby nie dowierzał własnym słowom — nie będę wam wlaził w paradę. Idźcie sobie sami na te wasze „randewu”, ale żebyś broń Boże nie spóźnił się na statek, Johnny, nawet o minutę. — Uśmiechnął się do Katie. — Niezła z ciebie laleczka. Bądź dobra dla dzieciaka.

To rzekłszy, oddalił się kołyszącym krokiem w głąb parku.

— Niech mnie diabli! — zaklął Johnny, nie wierząc własnym oczom. I uświadomiwszy sobie, że znowu jest sam na sam z Katie, rozejrzał się niespokojnie, jakby czekał na ratunek. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł znaleźć właściwych słów. Utkwił wzrok w trawie, niby poszukując czegoś, i wreszcie powiedział: — No tak, zdaje się, że i ja będę się zbierał.

— Dokąd? Wzruszył ramionami.

— Chyba na stację metra, a potem do stoczni. — I dodał słabym głosem: — Nie powinienem się spóźnić.

Katie uśmiechnęła się; zapragnęła zarzucić mu ręce na szyję.

— Jesteś jak mały chłopczyk, Johnny. Nagle wpadł w złość.

— Nie miałabyś pojęcia, ile naprawdę mam lat, gdyby nie Lardlips! — Zaraz jednak uspokoił się i rzekł z rezygnacją w głosie: — Pewnie, myślisz, że jestem kompletnym blagierem.

— Wcale tak nie myślę. — Katie spojrzała mu prosto w oczy. — Poważnie.

Oczy Johnny'ego zaczęły latać niespokojnie. Po chwili wbił wzrok w ziemię.

— Johnny — głos Katie był kojący jak dotyk lekkiej fali — czy nadal chcesz jechać tam, gdzie się wybieraliśmy?

Wyprostował się jak ktoś, kto długo musiał stać zgarbiony w mrocznej ładowni i wreszcie wyszedł na powietrze.

— Poważnie?

— Och, ruszmy się — ponagliła Katie biorąc go za rękę. — Wciąż tracimy tyle czasu!

Zdyszani wpadli na postój. Chłopak zatrzymał taksówkę.

— Chcemy do Brooklynu.

— York Street — dodała śpiesznie Katie. Taksówkarz pokręcił głową.

— Jest wojna, nie mogę tam jechać, łaskawa pani.

— To pilne — powiedział Johnny, — No, zgódź się, miej serce.

— To naprawdę pilne. — Katie uśmiechnęła się najładniej jak potrafiła.

W jednej sekundzie taksówkarz podjął decyzję.

— Dobra, marynarzu. Wskakujcie.

— Jedź na skróty, jeśli wiesz jak — powiedział Johnny trzaskając drzwiczkami.

Jechali Piątą Aleją. Johnny siedział obok Katie, obejmując ją ramieniem.

— Zupełnie nie rozumiem kobiet, po prostu ich nie rozumiem — wyznał. — Właśnie dlatego Lardlips tak strasznie działa mi na nerwy. — Mówił powoli, zacinając się, jakby szczerłość przychodziła mu z trudem. — Na statku bez przerwy opowiada o kobietach i naprawdę wie o nich cholernie dużo, bo strasznie dużo ich zna.

— Nie trzeba znać dużo kobiet, żeby dużo o nich wiedzieć. Jedna zupełnie wystarczy.

— Zawsze myślałem, że kobiety nie lubią blagierów.

— Pewnie Lardlips tak ci powiedział? On nie ma pojęcia o p e w n y c h kobietach. Johnny, czy uważałbyś, że ja też jestem blagierką, gdybym ci powiedziała, że mam dwadzieścia lat, a naprawdę miałabym osiemnaście? — Przerwała na chwilę i widząc zdziwienie na jego twarzy, dodała: — No więc tak naprawdę mam osiemnaście lat.

Nie odpowiedział od razu.

— Lardlips zawsze się przechwala, ile to on zna kobiet i ile na nie wydaje, i... i... — zaplątał się.

— Cśśś, Johnny. — Katie zamknęła mu usta pocałunkiem.

W tym momencie taksówka szarpnęła, hamując gwałtownie przed autobusem. Odrzuciło ich od siebie.

— Założyłem się z nim, że znajdę dziewczynę przed dziewiątą rano — podjął Johnny — i wygrałem! Dlatego właśnie prosiłem o zaznaczenie daty na zdjęciu — chodziło mi o dowód.

— Tak się cieszę, że znalazłeś mnie, strasznie się cieszę!

Oparła głowę o jego ramię. Jechali w milczeniu. Katie dziękowała losowi za tę bliskość: żywe, ciepłe, pulsujące uczucie bliskości, które przenikało całe jej ciało. Johnny zamyślił się głęboko, tak jakby wszystko, co zdarzyło się w ciągu ostatniej półgodziny, wprawiło go w oszołomienie.

— Dziwne, że Lardlips poszedł sobie tak nagle — powiedział wreszcie.

— Może jesteśmy zaczarowani — odrzekła Katie.

— Na pewno. To dzięki czarom spotkaliśmy się dziś rano.
— Zabawna rzecz: oboje zapragnęliśmy, żeby Lardlips sobie poszedł — i tak się stało.
— Jakie tam czary — zaprzeczył gwałtownie Johnny. — Lardlips to porządny gość. W końcu połapał się, że nam przeszkadza i zmył się dyskretnie.
Katie nie była całkiem przekonana.
— Pamiętasz tamtą białą kaczkę? Oboje zapragnęliśmy, żeby przypląnęła i przypłynęła.
— Teraz wiadomo, że nie masz racji. Kaczka to takie uparte ptaszysko, że żadne czary do niczego jej nie zmuszą, jeśli sama nie ma na coś ochoty.
— Tak czy inaczej — podsumowała — dostaliśmy dziś wszystko, czego pragnęliśmy, a teraz ja mam to, czego pragnę najbardziej.
— Co takiego?
— Ciebie. — Katie zwróciła twarz w stronę Johnny'ego i pocałowała go.
Odruchowo odwzajemnił jej pocałunek, a po chwili, jakby pod wpływem powstałego między nimi napięcia, uścisnął ją tak mocno, że nie mogła złapać tchu.
— Do Brooklynu jeszcze daleko, prawda? — spytał wyglądając przez okno.
— Do Brooklynu jest zawsze daleko, kiedy chce się tam szybko dojechać.
— Co to za miejsce, gdzie mieszkasz? — zainteresował się Johnny.
— Nic nadzwyczajnego. Zobaczysz.
Zaczęła się niepokoić. Miała nadzieję, że zostawiła w pokoju porządek, ale nie mogła sobie przypomnieć — jak gdyby było to bardzo dawno temu. Martwiło ją także coś innego.

— Mam nadzieję, że pani Healy, właścicielka domu, będzie akurat robić zakupy.

— Jasne, z niczym nie będzie problemów — odrzekł niedbale Johnny. — Cały dzień mamy szczęście, sama mówiłaś.

Taksówka przejechała przez Manhattan Bridge i długo kluczyła labiryntem ruchliwych ulic, by wreszcie zatrzymać się przed starym domem. Do jego wejścia prowadziły schody z zardzewiałymi, powykrzywianymi poręczami.

— Jesteśmy na miejscu — powiedziała Katie bez entuzjazmu.

Nagle uświadomiła sobie, jak brudna i zaniedbana jest ulica i w jakiej ruinie znajduje się dom. Balustrada chwiała się, z drzwi schodziła farba, zepsuta zasuwę pokrywała rdza. Złocony napis: „Pokoje do wynajęcia” był wyblakły i poplamiony. Nigdy przedtem nie raziło to Katie. Zdziwiła się, że teraz widzi wszystko tak wyraźnie i odczuwa silne zażenowanie. Na szczęście Johnny, nawet jeśli zauważył brzydotę otoczenia, nie zdradzał swym zachowaniem niechęci czy dezaprobaty.

Serce dziewczyny biło mocno, gdy wprowadzała ukochanego do sieni. Korytarz był cichy i pusty — znikła gdzieś kolekcja zardzewiałych wózków dzieciennych. Z dołu dochodziła mocna, ciężka woń duszonego mięsa z cebulą. Po raz pierwszy Katie uzmysłowiła sobie, jak zatechłe i nieświeże jest tu powietrze; pożałowała, że nie wprowadza Johnny'ego do jednego z owych oglądanych na filmach przestronnych apartamentów, wypełnionych słońcem, powietrzem i zielenią. Na chwilę wyleciało jej z głowy, że wchodzi do domu z mężczyzną i będą musieli

przejsć obok drzwi pani Healy; a pani Healy zawsze podkreślała z dumą, że to przyzwoity dom. Szli na górę w milczeniu. Słyszeć było tylko ich ciche kroki i trzeszczenie drewnianych schodów. Na drugim piętrze stał kubeł ze śmieciami, wokół którego walały się niedomyte butelki po mleku i kupki zmiętego papieru.

Wtem gdzieś na dole otwarły się drzwi i po chwili ktoś zaczął iść po schodach.

— Daleko jeszcze?

— Dwa półpiętra.

— Zupełnie jakbym wchodził do maszynowni na górny pokład.

Mimo że starali się iść jak najciszej, prawie każdy stopień skrzypiał pod ich stopami. Jednak nie na tyle głośno, by stłumić odgłos ciężkich, powolnych, miarowych kroków, przybliżających się z każdą sekundą nieuchronnie i bezlitośnie jak maszyna.

Na czwartym półpiętrze Katie podbiegła do drzwi, otworzyła je kluczem i prawie wepchnęła Johnny'e-go do pokoju. Zamknęła drzwi.

— Zupełnie nie wiem, co mam jej powiedzieć — szepnęła.

— A, co ona zrobi, gdy nas zobaczy?

— Będzie szaleć z wściekłości.

— Nie obawiam się pań gospodyń — rzekł Johnny z galanterią.

— Wyprosi cię.

— Hmm... Zobaczymy — powiedział. Kroki było już słyszeć na drugim półpiętrze.

— Zanim nas wyrzuci, niech przynajmniej raz cię pocałuję. — Johnny gwałtownie podbiegł do Katie, aż czapka spadła mu z głowy.

— Cicho, nie teraz! — Każdy nerw dziewczyny napięty był jak struna. Kroki rozbrzmiewały już na trzecim podeście... — Och, jak bym chciała, żeby sobie poszła!

— Ja też — przyznał Johnny. — Jejku, jak byłoby fajnie!

W tym momencie na klatce schodowej zapanowała cisza. Po chwili znów usłyszeli kroki, tym razem jednak wyraźnie się oddalały.

— Widzisz? — zatriumfowała Katie.

— Co widzę?

— Jesteśmy pod jakimś urokiem. Oboje zapragnęliśmy, żeby sobie poszła, no i poszła.

— Pewnie usłyszała dzwonek do drzwi. — Johnny roześmiał się. — Albo przypomniała sobie o piecyku.

Katie nasłuchiwała jeszcze przez chwilę. Odgłos kroków zamierał w oddali. Na twarzy dziewczyny odbiła się wielka ulga.

— Poszła, dzięki Bogu.

— Taak — zgodził się Johnny. Rozejrzał się po pokoju i nagle poczuł się nieswojo. — Ciasno tu, co?

— Strasznie ciasno. — Katie podeszła do okna i otworzyła je na oścież.

W małym pomieszczeniu stało jedynie łóżko przysunięte do ściany, stolik, krzesło i wielka komoda.

— Ale za to całkiem ładnie — powiedział, tak jakby niezmiernie zależało mu na podtrzymaniu zdawkowej rozmowy.

— Tak, dość ładnie. — Przez twarz dziewczyny przemknął uśmiech.

Johnny podszedł do komody, ocierając się o Katie. Naprzeciw lustra wisiały w długim rzędzie fotogra-

fie. Ni stąd, ni zowąd ogromnie się nimi zainteresował.

— Sporo masz zdjęć.

Zbliżyła się do niego i zaczęła objaśniać: tu jej siostra z dwojgiem dzieci, tu piknik z kilkoma kolegami od Lushmana, pocztówka z Yellowstone, karta z irlandzką białą koniczyną. Największe było zdjęcie Barry'ego Fitzgeralda z jego autografem.

— Kto to? — spytał chłopak.

— Aktor filmowy.

— Znasz go?

— Oczywiście, że nie — roześmiała się Katie. — Ale jeżeli napiszesz do Hollywoodu z prośbą o zdjęcie, to ci je przyślą. To Irlandczyk.

— Aha. — W głosie Johnny'ego zabrzmiała ulga. — Marynarze bardzo często mają fotografie dziewczyn z Hollywoodu. Niektóre są ładne, naprawdę ładne — powtórzył, jakby za wszelką cenę chciał podtrzymać rozmowę. — Mają piękne twarze.

Katie, stojąc blisko niego, pokiwała głową.

Nagle chłopak obrócił się gwałtownie, objął ją i mocno przycisnął do siebie. Przytuliła się doń bezwstydnie, niecierpliwie, i przez cienką letnią sukienkę poczuła ciepłą, obiecującą bliskość jego młodego ciała.

— Och, Johnny — zdołała szepnąć — tak bardzo cię kocham!

Nie odpowiedział, tylko nieporadnie zaczął szukać jej ust.

Z jego onieśmienia, z szorstkiej, niezręcznej gwałtowności Katie domyśliła się czegoś, co jeszcze tylko wzmogło radosny śpiew jej serca.

— Och, Johnny, Johnny — wyszeptała w przyływie nowego, wielkiego szczęścia. — Nie śpiesz się tak. Mamy przed sobą cały dzień.

— Poważnie?

— Aż do ostatniej minuty, aż do momentu, kiedy będziesz musiał z powrotem biec na statek — powiedziała, z trudem łapiąc oddech.

Uśmiechnął się do niej i sięgnął po papierosa. Rozejrzał się za miejscem do siedzenia i usiadł na krześle, starannie omijając łóżko.

— Wiesz, te dziewczyny z Hollywoodu — powiedział w zamyśleniu. — Żadna z nich nie ma takich włosów ani oczu jak ty.

Katie poczuła w całym ciele drzenie.

— Tak bym pragnęła, żebyśmy byli tutaj nie tylko przez ten jeden dzień. Chciałabym, żeby to był dla nas pierwszy z wielu, wielu dni. — I, gdy Johnny zaciągał się dymem z papierosa, snuła dalej marzenia: — Chciałabym za każdym razem, kiedy zejdiesz na ląd, czekać na ciebie w naszym małym mieszkanku. Gdybyśmy się pobrali...

Spojrzał na nią gniewnie.

— Nie moglibyśmy się dzisiaj pobrać, nawet gdybyśmy chcieli.

— Oczywiście, że byśmy mogli — roześmiała się wesoło. — Pamiętasz Hosenfenstera?

Chłopak poderwał się z miejsca.

— To znaczy, że chciałabyś, żebyśmy zaraz tam poszli?

— Niczego bardziej nie pragnę! — zawołała, nie domyślając się, do czego zmierza Johnny.

Nagle rysy jego twarzy stężały. Odbiło się na niej zaskoczenie i rozczarowanie.

— Dokładnie to mówił Lardlips.

— Lardlips? — Katie nie spodziewała się usłyszeć tego imienia.

— On zawsze tyle mi opowiada o babkach, które zwabiają cię do swojego mieszkania — mówił prawie nieufnym głosem. — W chwili twojej słabości wyciągają z ciebie obietnice i ani się spostrzeżesz, jak wpadasz w sidła.

Katie dotknęła palcami ust, odwróciła się wolno i spojrzała mu w twarz.

— Czy naprawdę uważasz, że to do mnie pasuje?

— Lardlips...

— Wygląda na to, że jego sprytu starczy ci na całe życie. — Przez moment wezbrała w niej taka wściekłość, że nie czuła nic, prócz gwałtownej fali gorąca, która ogarnęła ją w tym momencie. — Jak możesz tak mówić po tym, co stało się w parku?

— Nie wstydę się tego, co się stało — odrzekł Johnny wyzywającym tonem.

— A dlaczego miałbyś się wstydzić? — Dziewczyna potrząsnęła głową: — Och, Johnny!

On też z niedowierzaniem pokręcił głową.

— Kiedy Lardlips zrobił ze mnie głupca, mogłaś po prostu odejść. Nie mam pojęcia, dlaczego nie odeszłaś. Ja bym odszedł. Większość kobiet, o których słyszałem, tak by zrobiła.

— Więc dlaczego nie odeszłam?

— Nie wiem — odrzekł niepewnie. Katie zacisnęła wargi.

— Pewnie dlatego, że tak strasznie się uparłam, żeby wyjść za ciebie?

— Nie wiem — powtórzył bezradnie.

110 — W pogoni za miłością

113

— Ale z ciebie dzieciak, Johnny! Nie masz pojęcia ani o kobietach, ani o miłości. Posłuchaj, powiem ci coś, czego większość mężczyzn albo nie wie, albo nie pamięta. Kobieta lubi być z mężczyzną, otóż to! — Spojrzała mu prosto w oczy, z których wciąż wycierało zakłopotanie. — Czasami kobieta pragnie mężczyzny nawet bardziej niż samotny marynarz kobiety, i czuje się dokładnie tak samo nieszczęśliwa. Ale mężczyzna, którego pragnie, to musi być właśnie ten wybrany. Johnny miał bardzo niewyraźną minę. — Widzę, że cię zaskoczyłam, Johnny. Ale ty także mnie zaskoczyłeś. — I zanim zdążyła pomyśleć o konsekwencjach, dodała nieopatrznie: — Założę się, że jeszcze nigdy nie byłeś z kobietą.

Johnny zarumienił się i nagle ogarnął go równie silny gniew, jak przed chwilą Katie.

— Może tak, może nie. Nie przyszedłem tu wysłuchiwać kazań.

— Och, Johnny! — wyjąkała tylko zdumiona Katie.

— Nie potrzebuję w moim życiu żadnej kobiety — powiedział wyzywająco. — To znaczy na stałe. Nie ma na świecie nic takiego, co mogłaby dla mnie zrobić kobieta. Nie ma takiej rzeczy!

To zabolalo Katie, bardzo ją zabolalo, wiedziała jednak, że powinna odpowiedzieć łagodnością.

— Pewnego dnia możesz się zdziwić — odezwała się cicho. — Kiedy wydoroslejesz, odkryjesz, że czasami kobieta potrafi zrobić bardzo, bardzo wiele dla mężczyzny.

— Na przykład co?

Cofnęła się o krok i pokręciła głową. Ręce zwisały jej bezradnie wzdłuż ciała. Johnny był zaledwie metr od niej, w ciasnym jak klatka pokoju, a wydawało

się, jakby był hen, na morzu, tysiące mil od niej. Patrzyli sobie w oczy, nie wiedząc, co powiedzieć. Nagle, w jakimś porywie, Katie rzuciła mu się na szyję.

— Och, ty mój dzieciaku, nawet nie rozumiesz, że ktoś cię kocha tylko dlatego, że to ty, bez żadnego innego powodu.

— Chyba nie bardzo rozumiem — przyznał z zakłopotaniem i niezdarnie pogładził ją po włosach swoją wielką, szorstką dłonią. — Chyba nie za bardzo rozumiem — powtórzył. — Nagle spojrzął na nią ze zdumieniem: — Dlaczego płaczesz?

— Ja tylko tak. Zaraz przestanę. To chyba dlatego, że tracimy tak bardzo dużo czasu i nigdy, nigdy go nie odzyskamy.

— Uhm. Chyba tak. — Johnny poszperał w kieszeni i wyciągnął papierosa.

Katie podeszła do komody, aby wyjąć chusteczkę.

— Dziwne — rzekł lekko rozbawiony — ale Lard-lips powiedział to samo.

— Co powiedział?! — Odwróciła się gwałtownie, trzymając chusteczkę przy oczach.

— Powiedział, że wiele jest takich babek, które próbują wszystkiego, a kiedy nic nie skutkuje, uderzają w płacz.

— Johnny! — Twarz dziewczyny zapłonęła gniewem. — Czemu ty ciągle powołujesz się na tego cholernego Lardlipsa?

— Ja naprawdę nie chciałem ci dokuczyć, poważnie, nie chciałem — bronił się chłopak. — Po prostu czasem myślę o tych sprawach, ot co.

— Dobrze, zapomnijmy o tym — ucięła Katie. — Jesteś wystarczająco dorosły, żeby sam stanąć na własnych nogach, bez niczyjej pomocy.

— O, jeszcze jedno — dodał Johnny, jak gdyby sprowokowany. — Bez przerwy powtarzasz, że jestem młody i że nic nie wiem o kobietach. Właśnie tak powiedział Lardlips: „One próbują ci matkować”. Jakbym potrzebował matki.

— Nawet kombinują, jak załatwić dodatki przysługujące żonom oficerów, jak opowiadał Hosie co? Johnny milczał.

— Tyle masz w sobie obaw, Johnny — odezwała się wolno Katie. — Może byłoby lepiej, gdybyśmy tu wcale nie przychodzili. Myślę, że nie byłbyś wtedy taki wystraszony i podejrzliwy.

— Kto tu się boi i czego? — spytał ostrym, zaczepnym tonem. — Po prostu nie spodziewałem się pouczeń, ot co.

Katie podeszła do okna, odwracając się do chłopaka plecami. Znaleźli się w sytuacji, z którą zupełnie nie umiała sobie poradzić. Powiedziała w zamyśleniu:

— Kiedy mówisz takie rzeczy, wołałabym, żeby cię tu nie było.

— Ja też — rzucił nerwowo Johnny. — Ja też. Stała przy oknie, patrząc na brudne, zaśmiecone podwórze.

Zaskoczyły ją pełne złości odpowiedzi chłopca. Może wynikały z zażenowania, lęku i niepewności; może cała ta sytuacja wydała mu się niestosowna! A może to była jej, Katie, wina.

— Zapomnijmy o wszystkim, Johnny i zacznijmy od nowa — zaproponowała.

Odwróciła się od okna...

Zamrugnęła oczami, całą siłą woli powstrzymując się od krzyku.

Jej marynarz znikł bez śladu, jak gdyby nigdy go tu nie było. W pierwszej chwili pomyślała, że pewnie to jakaś gra, i jak szalona zaczęła przeszukiwać pokój w nadziei, że chłopak gdzieś się schował; zajrzała nawet pod łóżko. Łzy trysnęły jej z oczu, widziała wszystko jak przez mgłę. Wreszcie rzuciła się do drzwi, potykając się po drodze.

Usłyszała, że gdzieś w dole ktoś szybko zbiega ze schodów. Chciała krzyknąć: „Johnny!”, ale bała się pani Healy. Rzuciła się z powrotem do pokoju, schwyciła torebkę, pomknęła schodami w dół i jak burza wypadła na ulicę. Ani śladu Johnny'ego. Jakiś handlarz sprzedawał owoce prosto z przyczepy; dzieci grały w piłkę; samotny staruszek taszczył olbrzymi tobiół.

Przystanęła na chwilę, trąc oczy i myśląc tylko o jednym: jak odnaleźć Johnny'ego, aby mu powiedzieć, że tak naprawdę nic się przecież nie stało; że żaden lęk, żadna obawa nigdy już ich nie rozdzieli. Stała tak chwilę w pełnym słońcu na brudnej, obskurnej ulicy, nie wiedząc, co robić. Nagle podjęła decyzję. Och, Johnny, Johnny, szeptała do siebie, biegnąc co tchu ulicą, gotowa tak podążać za nim do najdalszych, najmroczniejszych, najskrytszych zakątków świata — wszędzie, o ile byłby choć cień nadziei, że zdoła go tam odnaleźć.

* * *

Południowe słońce nad Sands Street grzało jak ogień w palenisku. W ten upalny, gorący dzień Katie czekała przed bramą. Do portu prowadziło wiele wejść,

lecz Katie wiedziała, że marynarze najczęściej przychodzą właśnie od strony Sands Street. Patrzyła, jak wpływali do portu i wypływali zeń niczym wąskie, biało-niebieskie strumyczki. Szare trolejbusy ze zgrzytem i łoskotem sunęły po swych wyboistych trasach. Wypatrując tej jednej jedynej twarzy, widziała wszystko inne niewyraźnie, jak przez mgłę. Czekwała w palącym słońcu, i powtarzała w myślach: Tylko raz, o Boże, tylko ten jeden jedyny raz. Nawet nie wiem, pod jaki adres wysyłać listy, a on mnie nigdy nie znajdzie. Popołudniowe godziny wolno płynęły; Katie wciąż uspokajała samą siebie, że przecież Johnny musi przyjść. W pierwszej chwili wydawało się jej, że niemal każdy pojawiający się marynarz to on. Wyobrażała już sobie radość ponownego spotkania, choćby nastąpiło w ostatniej minucie przed odpłynięciem statku; jak zarzuci Johnny'emu ręce na szyję i powie, że obojętne, co on mówi czy myśli, ona i tak go kocha — kocha najbardziej na świecie.

Z początku czekała na jednym rogu ulicy, potem na drugim, lekceważąc zaloty próbujących szczęścia marynarzy. Obserwując długą, wąską ulicę, powoli przywoływała w pamięci wszystkie okoliczności nagłego zniknięcia chłopca. Przypomniła sobie, że jej ostatnie słowa skierowane do niego brzmiały: „Wolałabym, żeby cię tu nie było”, na co odpowiedział: „Ja też”. Jakże często powtarzała tego dnia: „Jesteśmy pod jakimś urokiem. Czego zapagniemy, to się staje.” Jeśli rzeczywiście tak było, ów urok okazał się straszliwy — zabrał jej Johnny'ego. Sama myśl o czarach i magii wydawała się jednak dziewczynie niedorzecznością; wszak Johnny uciekł w momencie, kiedy lęk, wstyd, niepewność wzięły górę nad

miłosnym pragnieniem. Mimo to powiedziała do siebie szeptem: — Jeśli wystarczy mi tylko zapragnąć, żeby coś się zdarzyło, to wobec tego pragnę, żeby Johnny wrócił do mnie, właśnie tu, w tej chwili.

Jedyną odpowiedzią był zgrzyt przejeżdżającego trolejbusu.

Powoli nadchodził wieczór. Upał spowijał ziemię lekką mgiełką; kryształowy błękit nieba stopniowo przeistaczał się w mglistą szarość. Było po czwartej.

Po raz pierwszy Katie przyszło na myśl, że Johnny mógł wejść inną bramą i jest już na statku. Oczy piekły ją od powstrzymywanych siłą łez i czuła dławiący ucisk w gardle. Chciała biec do innych bram, chciała coś zrobić, byle nie tkwić w beczynności, w rozpaczliwym beznadziejnym oczekiwaniu.

Nerwowym krokiem podeszła do strażników pełniących służbę przy wejściu.

— W jaki sposób mogę dostać przepustkę na teren portu? — spytała.

— Proszę zapytać w biurze. A na co pani przepustka?

Katie zawahała się. Po chwili, z nadzieją, że tamci nie będą z niej szydzić, wyjaśniła:

— Szukam marynarza.

W odpowiedzi usłyszała śmiech, który odczuła jak uderzenie pięścią.

— Gdybyśmy w takich przypadkach, dawali przepustki zrobiliby się tu taki tłok, że żaden statek nie mógłby wypłynąć z portu — ryczał ze śmiechu jeden ze strażników.

Katie powstrzymała łzy i starając się opanować drżenie głosu spytała:

— Czy nie zna pan może marynarza o nazwisku Johnny Smith?

— Jak?

— Johnny Smith.

Mężczyzna uśmiechnął się i zwrócił się do drugiego strażnika:

— Hej, ta panna pyta, czy znamy marynarza nazwiskiem Johnny Smith?

— Żartujesz chyba — mruknął tamten. — Spytaj, czy jego imię pisze się przez „y”.

Pierwszy strażnik wciąż pokładał się ze śmiechu:

— A jakiego koloru ubranie miał ten Johnny? Katie odeszła. Było już po wpół do piątej.

Stała jeszcze chwilę, licząc minuty. Czas płynął szybko.

Raz czy dwa na widok wysokiego, smukłego marynarza, wchodzącego lekkim krokiem w bramę mocniej zabiło jej serce, wnet jednak okazywało się, że to nie Johnny. Pomyślała, że może któryś z marynarzy idących spieszenie ulicą jest z tego samego statku. Zatrzymała nawet jednego z nich, rudzielca o inteligentnym wyglądzie.

— Czy nie pływa pan razem z marynarzem o nazwisku Johnny Smith?

— Skarbie, nie wolno mi udzielać takich informacji Napisz do Ministerstwa Marynarki. Ale jeśli dasz mi swój numer telefonu, to pogadam z nimi sam.

Była pewna, że wielu z tych ludzi wieczorem będzie widzieć się z Johnnym, jeść z nim kolację, patrzeć na niego, gdy w zamyśleniu, ze ściągniętymi brwiami, siedzi na brzegu koi, rozpamiętując to co zdarzyło się na ładzie.

Gdzieś na rzece rozległ się gwizd, odpowiedział mu inny. Minęła piąta. Katie musiała oprzeć się o latarnię, by nie stracić równowagi. Popołudnie przeszło w rdzawy zmierzch, potem zapadł zmrok, a ona wciąż stała na ulicy, chociaż dalsze czekanie nie miało już sensu.

Przenikliwe gwizdki były ostrym, natrętnym przypomnieniem, że od tej chwili już na wieki rozdzieliły ją

i Johnny'ego bezkresne masy wód, i nie sposób ich przemierzyć, nie sposób przerzucić nad nimi mostu.

W końcu powlokła się ulicą. Minęła miejsce, gdzie rozpoczął się ich wspólny dzień. Przypomniała sobie, jak tu, na tej właśnie ulicy, już bladym świtem przeczuwała długą, samotną noc, ale przecież nie aż tak straszliwą, nie tak przepelnioną jałową goryczą i czczymi domysłami. Jakże ma teraz wrócić do swego pokoju? Przecież on już na zawsze wypełnił się obecnością Johnny'ego; Johnny'ego, który stoi przy komodzie, siada nieśmiało na krześle...

Szła bez celu, zatopiona w myślach, zagubiona w świecie, wspominając każdą minutę i każdą sekundę tego krótkiego dnia. Myślała o espresso, o przejażdżce metrem, o Waldorfie... Nagle przypomniała sobie. Pani O'Geoghan! Jedyne miejsce na świecie, z którą można porozmawiać o Johnnym. W dodatku mieszka tak blisko! Mając teraz cel wędrówki, Katie przyspieszyła kroku. Wkrótce dotarła do High Street. Tu, na ostatnim piętrze starego domu mieszkała pani O'Geoghan — w małym, dwupokojowym mieszkanku, czyściutkim niczym hotelowy apartament.

Pani O'Geoghan otworzyła jej drzwi. Była w jasnym bawełnianym szlafroku, włosy miała zakręcone na papiloty. Na widok Katie uśmiechnęła się szeroko.

— Nigdy bym się nie spodziewała, że przyjdiesz, a już najmniej ze wszystkiego, że dziś wieczorem — zaczęła wylewnie. — Gdybym miała takiego pięknego kawalera jak tamten, co cię z nim widziałam...

— Przyjrzała się uważnie twarzy Katie i natychmiast głos jej złagodniał. — Biedna Katie, wejdz, moje dziecko.

Otoczyła dziewczynę ramieniem i wprowadziła do pokoju.

— Usiądź, kochana — powiedziała niezmiernie łagodnym głosem. — Nie musisz nic wyjaśniać, domyślam się wszystkiego.

Podeszła do maleńkiej kuchenki, na której właśnie gotowała się woda i mówiła w rytm wesołego śpiewu czajnika:

— Właśnie zasiadałam do gorącej herbaty. Sił mi w nogach zabrakło, żeby skoczyć po butelkę piwa. Herbatka dobrze nam zrobi. Pomogła już niejednej dziewczynie, gdy chłopak od niej odszedł. Nie pierwsza jesteś i nie ostatnia.

— Dziękuję — powiedziała Katie. Wystarczył jeden przyjazny, ludzki gest, by poczuła się silniejsza.

— Nie mów nic, dopiero jak rozgrzejesz się herbatą. — Pani O'Geoghan spojrzała na dziewczynę serdecznie. — Nawet gdy już się rozgrzejesz, pewnie i tak nie opowiesz mi wiele więcej, niż się spodziewam usłyszeć.

Katie w milczeniu piła herbatę, z radością podporządkowując się woli gospodyni, która tymczasem krzątała się po pokoju.

— Tak, tak, z góry już wiem, co mi powiesz. Otóż ten młody człowiek, z którym widziałam cię rano, odszedł bez słowa, zostawiając cię w rozpacz.

Katie pokiwała głową, popijając herbatę i z wysiłkiem powstrzymując łzy.

— Ach, ci mężczyźni — westchnęła pani O'Geoghan. — Wszyscy są jak ten kozioł w Ballinasloe, co zawsze uciekał, ledwie wziął to, czego nie powinien brać, a nogi miał tak długie, że matce nigdy nie udało się go złapać.

Katie potrząsnęła głową.

— Johnny odszedł, z a n i m to się stało. Gospodyni otwarła usta ze zdumienia.

— No, no, a to coś nowego. — Ze smutkiem pokręciła głową. — Dla kobiety to może nawet gorzej, ale trudno mi powiedzieć. Żaden chłop nie zostawił mnie, zanim nie wziął, co nie jego, a lotry z nich, a plugawcy!

Katie dopiła herbatę i postawiła filiżankę na stole.

— Stokrotne dzięki — rzekła, czując się już znacznie lepiej, po czym spokojnie opowiedziała o wszystkim, co wydarzyło się tego dnia.

Pani O'Geoghan siedziała naprzeciw niej; chłonęła opowieść niczym film o miłości, cmokała, kiwała głową, a na koniec otarła łzy rękawem. Katie nie pominęła niczego i odsłoniła wszystkie swoje uczucia.

— Boli mnie tak wiele rzeczy — zakończyła — najbardziej jednak te jego słowa; „Na świecie nie ma nic, co by kobieta mogła dla mnie zrobić, nic.”

Starsza kobieta pokiwała głową ze zrozumieniem.

— Wie, gdzie pracujesz. Kiedyś się tam wybierze, żeby cię odszukać.

— On mnie nie będzie szukał — powiedziała dziewczyna z przekonaniem.

— Musiał być jakiś strasznie nerwowy, żeby tak szybko wyjść — zastanawiała się pani O'Geoghan

— i tak cicho. Nigdy nie słyszałam o podobnym narwańcu.

— Przestraszył się i uciekł — odrzekła Katie. — Zawsze będzie mnie to prześladować. Ach, gdybym mogła go znaleźć!

Nagle twarz starszej kobiety rozjaśniła nadzieja.

— A może napiszę do swoich synów: Dennisa, Patricka, Michaela, Francisa, no i do Liffeya, zwłaszcza do Liffeya. Ten paskudnik bez przerwy musi się gdzieś kręcić, nie usiedzi na miejscu. Pod tym względem jest dokładnie jak jego stary. Wątpię, żeby służba w marynarce cokolwiek go zmieniła. Może oni znajdą twojego Johnny'ego.

— Czy w ogóle da się znaleźć marynarza o nazwisku Johnny Smith? — zasepiła się Katie. — John-nych Smithów jest pewnie z milion. — Położyła głowę na splecionych rękach. — Sama go wystraszyłam tym swoim gadaniem.

— To dziwne, że odszedł tak nagle — myślała głośno pani CGeoghan. — Nie dał ci swojego adresu, żadnej wskazówki, jak go znaleźć?

Katie potrząsnęła głową i wyprostowała się na krześle.

— Jedyne, co mi po nim zostało, to nasze wspólne zdjęcie — sięgnęła do torebki — no i to. — Wyjęła z torebki pamiątkę od Johnny'ego: monetę z Belfastu.

— Hmm, to dość kiepska wskazówka — rzekła pani O'Geoghan, spoglądając na monetę bez większego zainteresowania. Nagle, jakby do głębi czymś poruszona, zaczęła się jej bacznie przypatrywać. — Wprost wierzyć mi się nie chce, że mam to w rękach; na oczy tego przedtem nie widziałam!

— Czego?

— Czyżbyś nigdy nie słyszała, moje dziecko, o monecie O'Flaherty'ego? Dziewczyna potrząsnęła głową.

— Moja babka opisywała ją setki razy — rzekła z przejęciem starsza kobieta. — Oboje wtedy wyraziliście życzenie, żeby Johnny'ego nie było w pokoju, czy dobrze zrozumiałam?

— Zgadza się — powiedziała Katie.

— I tego dnia spełniało wam się wszystko, czego oboje jednocześnie zapragnęliście?

— Tak! — potwierdziła.

— Ha! Otóż i mamy! — zawołała pani O'Geog-han z triumfem, unosząc w górę monetę. — To wyjaśnia nam wszystko: dlaczego wyszedł tak nagle i dlaczego ten Lard, czy jak mu tam, zmył się ni stąd, ni zowąd. Miałaś w posiadaniu ten oto drobiazg i oboje wyraziliście jednakowe życzenie. Jasne jak słońce!

Katie utkwiała w pani O'Geoghan pytający wzrok.

— Wszystko, czego zapragnęliśmy i co się zaraz potem stało, mogło równie dobrze mieć proste i naturalne przyczyny.

— Tak wiele życzeń spełniłoby się tylko przez przypadek? Za dużo tych przypadków. — Pani O'Geoghan machnęła sceptycznie swoją silną, kształtną ręką.

— Ale to, o czym pani mówi, jest nieprawdopodobne.

— Wierz lub nie, Katie, lecz mnie się wydaje, że za dużo waszych życzeń się spełniło, żebym miała uwierzyć w proste i naturalne przyczyny. Za to o wiele sensowniej wygląda mi to, w co ja wierzę — mówiła kobieta, trzymając w dłoni monetę. — Ileż razy opo-

wiała mi o niej moja babka! W Oughterard, w hrabstwie Galway, gdzie mieszkałam, żył pewien pasterz, Paddy White. Nagle, nie wiadomo w jaki sposób, stał się najbogatszym człowiekiem w zachodniej Irlandii. Z jakiejś prostej, naturalnej przyczyny? Wszyscy wiedzieli, że kiedyś znalazł na swoim pastwisku jedną z monet O'Flaherty'ego. Było ich razem cztery.

Człowiek imieniem Colm O'Flaherty wykonał je z górą tysiąc lat temu, kiedy ludzie dopiero co nauczyli się robić takie rzeczy. W tych dawnych, dawnych czasach ród O'Flahertych panował na zachodnim wybrzeżu, i było ono wolnym krajem. Od dawna mówi się, że Colm O'Flaherty zrobił te monety, bo miał już powyżej uszu wiecznego wysłuchiwanie skarg: „Irlandczycy to nieszczęsne, prześladowane przez los plemię”. — Czule spojrzała na pieniążek i podjęła opowieść: — Jeśli jakiś Irlandczyk znajdzie się w posiadaniu takiej monety, jak mówiła moja babka, to na zawsze zyska szczęście i spełnią się wszystkie jego życzenia, ale pod jednym warunkiem: że znajdzie osobę, którą pokocha i która będzie pragnąć dokładnie tego samego. Ale że Irlandczycy kochają samotność i nawet się nią szczycą, niełatwo Irlandczykowi taką osobę znaleźć. Czasem musi szukać jej po całym świecie; w najdalszych, najdzikszych jego zakątkach, na szczytach gór, hen na morzu, na masztach okrętów, zanim znajdzie tę drugą osobę, która chciałaby dokładnie tego samego. — Pani CGeoghan zachichotała. — Moja babka zawsze to powtarzała: „Colm O'Flaherty umyślnie tak zrobił, aby Irlandczykom nie było za łatwo, aby im się przypadkiem w głowach nie przewracało.” Katie z uśmiechem pokręciła głową.

— Dziś takie cuda już się nie zdarzają.

— I ty, Katie Morrison z Connemary, ty mówisz takie rzeczy? — rozzłościła się gospodyni. — Irlandczykom bardzo łatwo przychodzi wiara w cuda — bez cudów nie byłoby przecież Irlandii! To raczej zwykle, prozaiczne fakty często wydają się nam czymś niepojętym! — Roześmiała się, patrząc na Katie. — Nie do twarzy ci z tym powątpiewaniem. Wierz mi, mówię prawdę. Na chwałę wiecznie zielonej Irlandii, nasze podania są zawsze prawdziwe! Tylko czasem, gdy piszemy lub opowiadamy, za bardzo dajemy się ponieść bujnej irlandzkiej wyobraźni. — Po chwili dodała, już ciszej, łagodniej: — Kiedy byłam małą dziewczynką, przeszukiwałyśmy całe łąki i wzgórza w nadziei, że gdzieś natrafimy na monetę O'Flaherty'ego. Moja babka mówiła, że jeżeli dobrze poszukamy, to może uda się nam ją znaleźć. A może chciała tylko w ten sposób pozbyć się nas z domu? W każdym razie jedyne, co udało mi się znaleźć, to była stara półkoronówka z głową jakiegoś przeklętego Anglika, a na dodatek, jak się okazało, podróbka. I jak tu wierzyć Anglikom!

Katie słuchała w milczeniu, nie wiedząc, co o tym wszystkim sądzić. Przez głowę przelatywały jej wspomnienia tysiąca bajek zasłyszanych w dzieciństwie, które były dla niej czymś równie oczywistym i realnym jak ogień w kominku, białe mgły nisko ścielące się nad bagniskiem, tęskne wycie wiatru za oknami... I oto nagle musi pogodzić się z tym, że zdarzył się cud, tu i teraz, w samym sercu Brooklynu. Znów odezwały się echem baśnie dzieciństwa, znów zamajaczyły dym z torfowisk i mgła, i ogień, walenie wiatru w okiennice...

— Moja babka, Panie daj pokój jej starej, steranej duszy, opowiadała jeszcze jedną historię — ciągnęła

pani O'Geoghan cichym głosem. — Kto znalazł się w posiadaniu monety, obdarzony był jeszcze inną mocą. W nocy, gdy spał, jego duch mógł odrywać się od ciała i przemierzać szeroki świat w poszukiwaniu osoby, którą kochał, nigdy nie mając pewności, że ją w końcu odnajdzie. „Tak właśnie wygląda szczęście Irlandczyka - mawiała babka - zawsze niepełne, zawsze niepewne i bez gwarancji.” Katie słuchała w napięciu, nie poruszając się; wyraz smutku i niepokoju na jej twarzy nieco złagodniał.

— I nawet owe poszukiwania napotykały na wielkie trudności — mówiła dalej starsza kobieta — bo bywało, że ci, którzy szukali bez skutku, już nigdy nie mogli całkiem wrócić do siebie. Moja babka wciąż opowiadała o bracie Paddy'ego White'a, Thomasie; tym, co zabił Paddy'ego, aby zabrać mu monetę. Od tego czasu bez przerwy opowiadał o różnych dziwach, o dalekich krajach — on, który przez całe życie nosa nie wyściubił poza kamieniste, strome ulice Ballyvaghan. Aż wreszcie nadszedł czas, kiedy Thomas już nie nadawał się do normalnego życia i przyjaciele wsadzili go do domu obłąkanych w Galway, gdzie bredził bez ustanku o tym, że musi szukać, szukać, szukać... szukać bez końca.

Bardzo ostrożnie, jak po coś niezwykle kruchego, Katie sięgnęła po monetę, którą pani O'Geoghan trzymała w dłoni. Wziąwszy pieniążek, poderwała się tak gwałtownie, że stara kobieta aż się przestraszyła. Lecz to, co ujrzała w twarzy dziewczyny, przeraziło ją jeszcze bardziej.

— Katie! — zawołała.

— Muszę już iść, pani O'Geoghan.

— Dokąd?

— Do domu.

— Poczekaj chwilkę, napij się jeszcze herbaty — poprosiła gospodyni, a w głosie jej zabrzmiał lęk. — Czy powiedziałam coś, co cię zmartwiło, zdenerwowało?

— Zdenerwowało? — Katie uśmiechnęła się. — Nie, broń Boże. — Z wielką ostrożnością włożyła monetę do torebki, którą wsunęła pod ramię.

— Czy przyjdiesz tu wkrótce, Katie? — spytała pani O'Geoghan głosem pełnym trwogi, jak pyta ktoś, kto pragnie zatrzymać, choćby na chwilkę, gnanego wiecznym niepokojem podróżnika, który wyjeżdża na sam koniec świata, by już nigdy stamtąd nie wrócić. — Potem dodała szybko: — Mój syn Liffey, ten kawaler, odwiedzi mnie w przyszłym tygodniu. Pieniędzy nie ma za wiele, ale to wysoki chłopak, aż miło spojrzeć, i ma oczy ojca, czarne jak węgiel. A ja z całego serca polecam siebie jako teściową...

Zamilkła; oczy jej napełniły się łzami, spostrzegła bowiem, że Katie wcale jej nie słucha, że myślami jest gdzieś daleko.

— Pewnego dnia wrócę — obiecała dziewczyna cichym, łagodnym głosem. — A na razie dobranoc. Zeszła schodami na przesyconą wilgocią ulicę. Kroczyła z wysoko podniesionym czołem; ruchy jej młodego ciała były lekkie, gibkie i sprężyste. Widok jasnych włosów Katie, oblanych złotem ulicznych świateł, tak przykuwał uwagę, że oglądał się za nią niejeden przechodzień. Niejednego też zdumiały jej oczy: nie kolor, lecz buchający z nich żywy płomień, niczym żar z rozpalonych kotłów parowych w huczącej maszynowni statku.

126 — W pogoni za miłością

129

II

O żeglarzach, którzy ją widzieli, i o tym, co się działo, kiedy ją zobaczyli, krąży wiele opowieści. Pierwszy podoficer na *Dewey* ujrzał ją, gdy schodził pod pokład. Rzucił się w pościg, ale gdzieś znikła, jakby zapadła się pod ziemię. Ponieważ słyszał, że czasem żony Australijczyków próbują nielegalnie przedostać się do Ameryki, zarządził trzydniowe przeszukiwanie statku.

Na *Myronie* ukazała się pewnemu porucznikowi Amerykańskiej Marynarki Wojennej; natychmiast zrobił wielką awanturę w mesie oficerskiej, oskarżając o sprowadzenie dziewczyny na statek jednego z oficerów rezerwy, który znany był z tego, że lubił przechwalać się swym powodzeniem u kobiet.

Nieszczęsny miłośnik płci pięknej musiał się później gęsto tłumaczyć przed kapitanem.

Widział ją też kwatermistrz na rufie *Pasadeny*. Potem długo nie mógł zasnąć w nocy. Kiedyś zrobił dziecko jakiejś dziewczynie z San Francisco, po czym uciekł. Dziewczyna umarła. Teraz był przekonany, że to jej duch ściga go na morzu...

Widziano ją na *Vermoncie*, *Swanee*, *Decaturze*, *Cape Romano*, *Schuylkilku*, *Tulare* i wielu, wielu in-

nych statkach. Na każdym ukazywała się tylko jednemu człowiekowi. Opisywano ją na różne sposoby. Jedni mówili, że była wysoka, inni, że niska; jednym wydała się piękna, innym — mało urodziwa. Lecz większość zwróciła uwagę na wspaniały kolor włosów dziewczyny i wszystkim zapadł w pamięć głęboki tembr jej głosu. I choć na ogół nie uważali, że była piękna, to jednak każdego uderzył wyraz jej oczu, pełnych niezwyklego blasku. Często opisywali ją tak, jak opisuje się kobietę najbliższą sercu, najbardziej wytęsknioną, najgoręcej upragnioną.

* * *

Sonnen był płatnikiem na transportowcu czarterowym *Curleigh*. Tuż za biurkiem, gdzie urzędował, znajdowała się jego kabina z jedną koją o długości niespełna dwóch metrów, regalikiem z książkami, niewielką szafą we wnęcie i umywalką. W kabinie było tak ciasno, że na podłodze mogła stanąć tylko jedna osoba. Jednak Sonnen, który uwielbiał wyciągnąć się na koi i czytać książki, miał tu swoje zaciszne schronienie. Dlatego uważał się za największego szczęściarza na statku, jedyne go człowieka pod pokładem, który mógł sobie pozwolić na luksus samotności — najcenniejszy i najmniej dostępny skarb na *Curleigh*.

Pracę na statku Sonnen rozpoczął na trzy lata przed wybuchem wojny. Przez cały czas pełnił funkcję płatnika. Latem pływał na trasach północnych, zimą — do tropików. A to, że teraz, w czasie wojny, statek przewoził w swych trzech ładowniach i na-

pięciu kondygnacjach tyłu żołnierzy, ilu tylko zdołał pomieścić — niewiele go obchodziło. Dowodzenie jednostką sprawiało wiele trudności. Tak się złożyło, że odpowiedzialny za ludzi pułkownik nie był w stanie znieść zapachu wymiocin i w związku z tym wciąż przebywał na górnym pokładzie, pozostawiając wszelkie troski swoim podwładnym. To oni musieli martwić się o chorych, borykać się z brakiem powietrza i żywności oraz wiecznie zapchanymi, przeciążonymi toaletami. Uporanie się z tym problemem znacznie przerastało możliwości młodszych rangą oficerów. W praktyce ich działania sprowadzały się do uczestnictwa w różnorodnych ćwiczeniach oraz inspekcjach, względnie zlecenia czyszczenia ustępów ludziom, którzy z wycieńczenia ledwie trzymali się na nogach.

Na pokładzie statku była prócz tego załoga strzelecka pod dowództwem podporucznika, który przed wojną wykładał literaturę angielską, ze szczególnym uwzględnieniem epoki elżbietańskiej. Zwracało się do niego z różnymi sprawami wielu młodszych oficerów, miał on jednak dość własnych problemów; jego kompetencje nie wykaczały zresztą poza sprawowanie władzy nad własnymi ludźmi.

Dowódca statku, kapitan floty handlowej, miał jeden cel: doprowadzić statek do ściśle tajnego miejsca jego przeznaczenia. Dlatego też obchodził go jedynie mostek kapitański i związane z nim sprawy, ładunek zaś — żywy czy martwy — był mu najzupełniej obojętny, no, może z wyjątkiem mechanika, z którym czasami odbywał narady.

A żywy towar z każdą godziną stawał się coraz bardziej nieżywy. Liczba ludzi pełniących poranne

i popołudniowe wachty na pokładzie malała w oczach.

Wydawało się, że w takiej sytuacji niewiele da się zrobić. W określonym miejscu przeznaczenia potrzebni byli ludzie, a *Curleigh* stanowił jedyny dostępny środek transportu. Rzecz tak oczywista, tak nieunikniona, jak ciemność w nocy i żar słoneczny za dnia, jak nieprzerwany ruch statku.

Z długich lat służby na morzu Sonnen wyniósł niezwykle ważną i mądrą naukę: na przepełnionym statku niewiele da się zrobić. Całymi dniami przesiadywał więc w swoim małym biurze. W pewnym sensie pełnienie na statku funkcji płatnika było w czasie wojny anachronizmem, o co zresztą Sonnen bynajmniej się nie troszczył (nawet pewnie nie słyszał słowa „anachronizm”). W owym czasie, czasie wojny, towar na jego statku stanowili ludzie; zarówno ich wykaz, jak i spis[^]sporządził za niego ktoś inny. On sam miał tu tylko trochę papierkowej roboty, ale nie za wiele. I choć wciąż robił wrażenie bardzo zapracowanego, większość czasu upływało mu na pochłanianiu westernów.

Już w chwili wypłynięcia statku Sonnen postanowił trzymać się z dala od wszystkiego, co będzie się dziać pod pokładem. Oczywiście drażnił go odór, irytowały zaś nieustanny kaszel i odgłosy wymiotów, ale najczęściej zamykał się u siebie i wszystkie te dźwięki docierały do niego stłumione, jakby z wielkiej odległości.

Niestety, wkrótce zaczęli kręcić się koło niego i pytać o radę młodzi oficerowie, których oczywiście nikt nie uczył w szkole, jak radzić sobie z tłumem dziewięciuset udręczonych ludzi, śmierdzących, po-

zieleniałych na twarzach, gnębionych chorobą morską i tęsknotą za domem, i klnących na czym świat stoi.

— Jak nie wiecie, co robić ze swoimi ludźmi — odpowiadał Sonnen z wyższością — sprowadźcie na dół waszego pieprzonego pułkownika. Niech poroz-daje perfumy i dwuwęglany, żeby znowu zrobiło się słodko i miło.

Najmłodszy z podporuczników, Merkel, przejmował się losem żołnierzy najbardziej. Walczył jak lew o lepszą żywność i o usprawnienie działania urzędzeń sanitarnych. Miał do dyspozycji jedną z niewielu kabin na górze, gdzie mógł oddychać świeżym powietrzem, ale przez cały dzień i większość nocy wołał przebywać na dole ze swoimi ludźmi. Starał się tym bardziej, im bardziej wszyscy naokoło zdawali się lekceważyć sytuację. Zrozpaczony zwrócił się o pomoc do Sonnena.

— Wiesz, dokąd płyniemy? — spytał.

— Jasne — odparł płatnik. — To mój interes, wiedzieć.

— Jak daleko będziemy jeszcze płynąć?

— Kawał drogi — powiedział Sonnen obojętnie.

— Większość ludzi choruje.

— Zdarza się. — Sonnen wzruszył ramionami.

— Na rany Chrystusa, dlaczego mamy dostarczyć na ląd naszych ludzi w tak opłakanym stanie, że jeszcze trzy miesiące, a nie będą grosza warci?

— Kotuś, nie ja dowodzę armią. Ty nią dowodzisz.

— Ja? — Merkel zgniótł niedopałek obcasem. — Żałuję, ale nie. Chryste, chciałbym nią dowodzić, choćby przez pięć minut.

— Prędzej czy później każdy żołnierz tak mówi. Pewnie nawet ten twój tłusty pułkownik czasem sobie o tym pomarzy.

— Sukinsyn! Jak dotąd przeprowadził dopiero jedną inspekcję!

— Jedna mu wystarczy — odparł Sonnen od niechcienia. — Dzięki niej wie, że na statku są ludzie. Merkel potrząsnął głową.

— Dobry Boże, czy nie ma już nic pod słońcem, co dałoby się dla nich zrobić?!

_ Poruczniku — odrzekł Sonnen nadętym tonem

— to nie dwunastodniowy rejs na Karaiby ze wszystkimi wygodami, z chętną do zabawy nauczycielką włącznie.

_ Psiakrew! — zaklął tamten i odszedł kręcąc głową.

Sonnen popatrzył za nim z ulgą. Skargi denerwowały go; wojna go irytowała. Gdyby nie wojna, byłby teraz płatnikiem na wielkim statku pasażerskim, z atrakcyjnymi rejsami zimowymi, ze sporządzoną przez niego listą pasażerek. Ale wybuchła wojna i w związku z tym stały się konieczne transporty amunicji i żołnierzy, z którymi trzeba wlec się przez wszystkie morza i oceany w tak podłych warunkach.

Merkel przychodził do niego co kilka godzin. Jego gniew na pułkownika wzrastał z każdą przebytą milą morską.

— Przekłeta, tłusta świnia! — narzekał tym razem. _ To śmieszne, jak ludzie w ogóle się nie zmieniają. Na lądzie zawsze był wypucowany i wyglansowany, żeby żołnierze brali z niego przykład, bo gdzieś tam usłyszał, że pułkownicy dostają awans, jeśli podwładni zamawiają duże ilości proszku do czyszczenia mosiądzu i pasty do butów. To jedyne, co go będzie obchodzić, gdy zostanie generałem. A kiedy wojna się skończy, wróci do swojej agencji

reklamowej i do ksiąg rachunkowych, będzie liczył tubki pasty do zębów i „zagenerałuje” swoich klientów na śmierć.

Sonnen ujął się za pułkownikiem, choć nie miał w tym specjalnego interesu.

— A co takiego mógłby tu zrobić, u diabła?

— A czy ty nie mógłbyś czegoś zrobić?

— Ja? Ja nie mam nic wspólnego z pułkownikami.

— No a gdybyś poszedł do kapitana?

— Powiedziałby mi, żebym się wynosił, no i słusznie, do licha!

— Ale gdyby ktoś zainteresował się tym, co się dzieje, może dałoby się coś zrobić? — upierał się Merkel.

— Prawdopodobnie można by polepszyć jakość pożywienia i urządzeń sanitarnych.

— No więc?

— No więc, poruczniku, ani ty, ani ja nie mamy dość wysokiej rangi. Spróbuj skłonić jakoś tego twojego pieprzonego pułkownika, żeby się zainteresował sytuacją na statku.

Merkel stracił nadzieję.

— On jest zbyt zajęty zawodami w picciu rumu!

— No więc, na litość boską, nie zawracaj mi głowy!

Merkel wpadł w rozpacz.

— Psiakrew, musi znaleźć się jakiś sposób na rozruszanie was, panowie!

Sonnen spojrział nań z nieukrywaną wrogością.

— Nikt tu nie potrzebuje żadnych sposobów na rozruszanie. Po prostu przestań się przejmować, tak jak inni oficerowie.

— Jeden chłopak zmarł dziś rano.

— Pewnie było mu sądzone. Może to nawet jego szczęście, zważywszy, dokąd płyniecie.

Merkel popatrzył na niego z całą wściekłością, jaka w nim wezbrała i wyszedł.

Płatnik uśmiechnął się pod nosem. No, może teraz wreszcie poczyta sobie w spokoju.

Miał spokój, ale tylko do wieczora, kiedy to znów pojawił się porucznik, by oznajmić, że następnych kilkunastu ludzi rozchorowało się ciężko; Sonnen ledwie raczył oderwać oczy od lektury. Chwilę później wpadł Corcoran, główny mechanik. Sonnen doskonale wiedział, po co. Od czasu do czasu Sonnen trzymał pod łóżkiem butelkę. Miał ją tam i teraz, ale niech go piorun trzaśnie, jeśli dziś Corcoran dostanie choć kropelkę.

— Przykro mi, ale właśnie wczoraj opróżniłem ostatnią butelczynę — oznajmił niewinnie.

— Ty pieprzony łgarzu! — odparł Corcoran. — Czasem sam nie wiem, czego bardziej nie znoszę: wojska czy facetów, którzy nie są w wojsku, a powinni być.

I wyszedł, burcząc coś gniewnie pod nosem, zły i spragniony.

Po kilku minutach Sonnen ponownie usłyszał szmer przy drzwiach, ale nie podniósł oczu, pewien, że to znów Corcoran, którego przywiodło pragnienie alkoholu i naiwna wiara, że uda mu się je zaspokoić.

— Przepraszam — płatnik usłyszał nagle kobiecy głos — czy nie ma tu przypadkiem marynarza nazwiskiem Johnny Smith?

Książka wypadła mu z rąk. Jak urzeczony zagapił się w kobiecą postać.

— Nie, nie słyszałem nigdy o kimś takim — odpowiedział odruchowo na pytanie i natychmiast wybuchnął: — Co ty tu, u licha, robisz, chcesz mnie wpędzić w kłopoty?

Zerwał się na równe nogi, ale w tym momencie postać znikła. Zamrugał powiekami, rozejrzał się wokół z niedowierzaniem, po czym chwiejnym krokiem skierował się do swojej kabiny i przeszukał ją dokładnie. Następnie, wciąż z wyrazem oszołomienia na twarzy, zszedł pod pokład. Po dziewczynie nie było śladu, co przestraszyło go i zaniepokoiło. Wtedy na schodkach pojawili się mechanik i Merkel — obaj rozwścieczeni.

— Co to za blondynka wchodziła do twojego biura? — zażądał wyjaśnień Corcoran, rad, że wreszcie może pognać przeciwnika.

— Ja również ją widziałem — dodał Merkel.

— Dajcie spokój — odparł Sonnen. — Wystraszyła mnie jak diabli! — Szybko doszedł do wniosku, że lepiej będzie grać rolę nawiedzzonego przez ducha niż obrażonego niewiniątka.

— Ona weszła do twojego biura.

— Usłyszałem głos — tłumaczył Sonnen. — Spojrzałem tam, skąd dochodził, zobaczyłem jakąś babkę i zaraz potem ona gdzieś znikła.

Z całego serca pragnął, by mu uwierzyli. Najwyraźniej jednak obaj nie wierzyli w ani jedno słowo. Odepchnąwszy płatnika, weszli najpierw do jego biura, następnie do kabiny. Mechanik wyszedł z nachmurzoną twarzą.

— Wiele rzeczy uchodziło ci na sucho, Sonnen, ale jeśli się okaże, że masz na statku kobietę...

— Boże drogi! — wykrzyknął płatnik z oburzeniem. — Gdzie ja bym tu mógł trzymać kobietę?
— No, nie darowałbym ci, gdyby coś takiego wyszło na jaw — przerwał mu tamten.
— Mógł ją w jakiś sposób przemycić — odezwał się Merkel. — W każdym razie ze względu na zagrożenie tajemnicy wojskowej złożę raport pułkownikowi.
— Naturalnie, trzeba to zrobić — zgodził się Sonnen nerwowo.
— A ja zamelduję kapitanowi — dodał Corcoran.
— Oczywiście — odrzekł Sonnen tym samym niespokojnym tonem. Pewien, że wybuchnie awantura, na wszelki wypadek już teraz zaczął się asekurować: — Oczywiście, powinniśmy natychmiast zameldować o tym kapitanowi.
I wszyscy trzej udali się na górę.
Następnego wieczora Sonnen, wykończony całonocnym przeszukiwaniem statku, siedział zgarbiony za swoim biurkiem, wciąż rozpamiętując z goryczą słowa kapitana, gdy nadszedł Merkel z uśmiechem pełnym satysfakcji.
Na jego widok płatnik zrobił kwaśną minę.
— Wiem, wiem. Nic nie mów.
— O rany, ten twój kapitan dosłownie wyrócił statek do góry nogami — rzekł porucznik z wielkim zadowoleniem.
— A ten twój pułkownik nie odstępował go na krok. W życiu nie widziałem równie zdenerwowanego faceta.
— Psiakrew, jeden raport o takim naruszeniu bezpieczeństwa i facet dziękowałby Bogu, gdyby mu zostawili orzełki na pagonach, nie mówiąc już o gwiazdkach.

— Generałowie! — ziewnął Sonnen. — Niech to diabli, kiedyś przed wojną pływał z nami każdej zimy jeden taki stary generał. Wieczorem dawał żonie pigułki nasenne i zasuwał na pokład zabawiać się z nauczycielkami.

Merkel wciąż się uśmiechał.

— Musiał się aż ukazać duch jakiejś kobietki, żeby zmusić tych dwóch do zejścia na dół i zobaczenia tego, co było do zobaczenia! — ciągnął z szerokim uśmiechem. — Pułkownik robił, co mógł, żeby nie zwymiotować już od samego zapaszku, który się tam unosił.

— No więc masz, czego chciałeś — powiedział płatnik — więcej powietrza i tak dalej.

— Teraz nawet spłuczki w toaletach zaczęły działać! — cieszył się porucznik. Zamyślił się na chwilę.

— Ale jednego nie mogę skapować: skąd się wzięła ta kobieta?

— Niech to licho, pojęcia nie mam. Słyszałem, że czasem widzi się najróżniejsze rzeczy, kiedy człowieka opadnie zmęczenie.

— Wszystko jedno — odrzekł Merkel — ale obyśmy mogli na nią liczyć zawsze wtedy, kiedy to bydlę pułkownik potrzebuje zdrowego kopa w tyłek.

* * *

W sali „H” na statku-szpitalu *Humanity* wszystkie lampy były pogaszone. W nikłej smudze światła, które wsączało się do wąskiego pomieszczenia z korytarza, majaczyły dwa rzędy szpitalnych łóżek. Panowała tu ciemność, ale ta ciemność żyła. Tuż przy

drzwiach furkotał cicho wiatraczek. Tu zaskrzypiało łóżko, ówdzie zatrzeszczał wyciąg. Wszystkie łóżka były zajęte; ranni spali albo leżeli bez ruchu. Niektórzy lekko pochrapywali. Sennym odgłosom sali towarzyszył niski, monotony dźwięk silnika statku, warkot generatora i dochodzące z dołu, bardziej wyczuwalne niż słyszalne wibrowanie śrub.

Przy wejściu stał niewielki stół, oświetlony zieloną lampką. Siedziała przy nim panna Holton, młoda pielęgniarka, zmęczona całonocnym czuwaniem. Wypełnione już karty szpitalne odłożyła na bok, łokciem dotykała zamkniętej książki; czytanie o tej porze byłoby zbyt wielkim wysiłkiem. Jeszcze godzina — i koniec pracy, ale ta ostatnia godzina zawsze dłużyła się najbardziej. Siostra Holton co pięć minut zerkała na zegarek, dzieląc nieznośną godzinę na małe, równo odmierzone cząsteczki. W drugim końcu sali, na jednym z łóżek odznaczał się pod kołdrą nieruchomy ludzki kształt. Leżący tam człowiek stracił poczucie czasu. Spoczywał, unosząc się na fali płynących minut i sekund, obojętny na ich przemijanie, na sztuczny podział czasu pomiędzy dnem i nocą. Nie liczyło się nic prócz tego jednego: dryfowania w bezmiarze czasu.

Miejsce nie miało żadnego znaczenia. Wszędzie było mu dobrze i nawet nie zastanawiał się nad tym. Jedynym, co go męczyło — co doskwierało mu jak piasek w otwartej ranie — był ciąg nie powiązanych ze sobą zdarzeń, ukazujących się w jego wyobraźni. W umyśle, który nie odczuwał cierpienia, w ciele, które trwało w biernym spokoju, wolne od wszelkich pragnień, toczyły się — raz w półśnie, raz w stanie jakiejś mglistej półświadomości — upor-

czy we zmagania, by połączyć w całość jasne, wyraziste obrazy, przesuujące się z wolna przed oczami leżącego. Czuł się tak, jakby pozbierał strzępki stu różnych filmów i posklejał je w nie kończącą się taśmę, która teraz kręciła się w jego głowie.

Taśma przesunęła się już chyba z tysiąc razy. Niekiedy sceny powtarzały się bez żadnych zmian, niekiedy zmieniały się pewne szczegóły. Czasem pojawiały się nowe sceny, by potem już nigdy nie wrócić. Mężczyzna z całej siły starał się uchwycić ich znaczenie, rozpoznać je. Rozpaczliwie próbował powiązać wszystko ze sobą.

W jednej ze scen widział dom i trawę na zboczu. Dom, pokryty dachówką z gankiem, był w ruinie, farba na ścianach łuszczyła się ze starości. Czasem na ganku pojawiała się nieznajoma dziewczyna. On sam też uczestniczył w tej scenie: przycinał trawnik, który zdawał się nie mieć końca. Gdy kończył pokos i mógł wreszcie wrócić do miejsca, gdzie zaczął, okazywało się, że trawa zdążyła już tam odrosnąć. Bardzo go to złościło. Co gorsza, zdarzało się, że łąka wraz ze stojącym na niej domem kołysała się jak morze. Kiedy tylko znalazł się na drugim końcu trawnika, ten przechylał się tak niebezpiecznie, że trzeba było wchodzić kosiarką głęboko w trawę, żeby nie stracić równowagi. Albo znów jakiś człowiek w mundurze wojskowym tańczył z dziewczyną w nisko sklepionym pokoju, dokładnie na środku gładkiej, lśniącej podłogi. Setki ludzi obserwowało go ze wszystkich stron, stojąc na obrzeżu koła narysowanego czarną kredą. Żołnierz nie znał dziewczyny i nie wiedział, co ma jej powiedzieć, ale czuł, że wszystkie oczy wpatrują

się w nich i wszystkie uszy nasłuchują, kiedy wreszcie coś powie. A on nie miał nic do powiedzenia i tylko tańczył i tańczył, wirował i wirował...

Albo też pojawiała się chata z wysokim kominem. Przed drzwiami stała dziewczyna, wpatrując się w dym, który unosił się wysoko, a mężczyzna wiedział o jej obecności, bo widział ją z góry.

To dym podźwignął go do nieba, pnąc się coraz wyżej i wyżej — podobny do ogromnej spirali obracającej się zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Gdy spirala kurczyła się, on sam opadał wraz z nią prawie na szczyt komina. Wtedy spirala znowu rozciągała się i wynosiła go w górę, a przez cały ten czas dziewczyna, wydawało się, że ta sama, która występowała w wielu innych scenach, obserwowała go spokojnie, bez uśmiechu na twarzy.

Czasami dostrzegał w obrazach coś znajomego. W jednej ze scen był we własnym domu i bez trudu poznawał wszystko: od błękitnej maty w łazience po stół brydżowy, który chowało się do szafy w przedpokoju i którego blat miał liczne ślady po papierosach. Lecz jego dom wypełniali jacyś dziwni nieznajomi ludzie. Nie mógł rozpoznać ani jednej twarzy. Te tłumy obcych czuły się w jego salonie, w jego jadalni jak u siebie. Kiedy chodził po swoim własnym domu, tamci traktowali go jak powietrze. Nie odzywali się słowem, o nic nie pytali. W jego domu, gdzie wszystko wyglądało dokładnie tak, jak zapamiętał, pełno było obcych ludzi. Widział wśród nich tę samą nieznajomą dziewczynę. Jak zwykle nic nie mówiła.

Potem następowały inne obrazy i sceny, wszystkie niepokojące, niewytłumaczalne. Czasami powtarzały

się w takiej samej kolejności, czasami bez ładu i składu. Wpatrywał się w nie nieprzerwanie, z wysiłkiem, męczył się, wkładając całą energię, aby je zrozumieć i powiązać z własnym życiem. Od czasu do czasu film zatrzymywał się i na oczy leżącego spływała bezkształtna mgła. Wtedy odpoczywał. Ta mgła nie miała w sobie nic groźnego, nie miała też żadnego znaczenia. Płynęła i dawała ukojenie.

Siostra Holton, pełniąca dyżur przy drzwiach, przetarła oczy. Słyszac jakiś jęk, natychmiast zerwała się i podbiegła do łóżka, z którego dochodził. Chory znowu jęknął, ale spał dalej, więc wróciła na swoje miejsce.

Człowiek leżący na drugim końcu sali, w łóżku po prawej stronie, stwierdził, że musi być obłąkany: był to jedyny logiczny wniosek, jaki można było wyciągnąć z tych nie powiązanych ze sobą, niedorzecznych obrazów, przedstawiających obcy mu świat. A jednocześnie fakt, że sam był zdolny dojść do takiego wniosku, dowodził braku obłądzenia.

I wówczas usłyszał kobiecy głos, znajomy i przyjazny:

— Przepraszam, czy nie pływa czasem z panem na statku marynarz o nazwisku Johnny Smith?

— Tak, tak.

Próbował usiąść, ale ktoś go powstrzymał. Chciało mu się zapłakać z radości. Stała oto przy nim dziewczyna, którą widział w tych wszystkich męczących scenach, znajdowała się tuż obok — prawdziwa, niosąca ukojenie.

W jednej chwili niepokój zniknął i wrócił rzeczywisty świat.

— Oczywiście — powiedział. — Johnny Smith to ja! Szeregowy Johnny Smith, Dziewiąty Korpus.
— Johnny Smith, marynarz, z Południowej Dakoty? — zabrzmiał ten sam cudowny głos.
— Zgadza się, Johnny Smith, ale ja pochodzę z Bromide, z Oklahomy, i jestem żołnierzem. — Poczul dotyk ręki. — Tak. A kim ty jesteś, panienko, i jak się nazywasz?
— Och, Johnny!
Znikła; nie potrafiłby wytłumaczyć, skąd to wiedział. W pokoju panowała taka ciemność, że nic nie było widać, lecz on czuł się za bardzo zmęczony, by o cokolwiek się martwić. Wystarczyło mu, że ona tu była, że istniała naprawdę i że wróci.
Wtem usłyszał szelest: ktoś się poruszył w pobliżu.
— Halo, halo! — odezwał się cicho.
— Halo, żołnierzu — usłyszał w odpowiedzi. Była to siostra Holton.
— Już lepiej? — zabrzmiał jej silny, kojący głos.
— Gdzie ona poszła? Kim ty jesteś?
— Jestem pielęgniarką.
— Pielęgniarką? Gdzie ja jestem?
— Na statku, żołnierzu, płyniemy do kraju.
— O! — Smith zamilkł na chwilę. — Ach tak, teraz pamiętam. Byliśmy na barce, pamiętam. Ale to wszystko, co sobie przypominam. — I zapytał bardzo, bardzo cicho: — Czy jestem ciężko ranny?
— Nie tak znowu ciężko. Wszystko będzie dobrze. Wyzdrowiejesz.
— Tak — odparł z mocą. — Jasne, że wyzdrowieję.
— Dobrze. A teraz odpocznij. Może ci coś przynieść?

142 — W pogoni za miłością

145

— Nie, nie, dziękuję. — I po chwili, jakby pokonując wstyd, zapytał: — A gdzie druga siostra, ta co przed chwilą tu była?

— Druga siostra? — Pielęgniarka nie kryła zdziwienia.

— Ta, co przysłała i odezwała się do mnie po imieniu. I dotknęła mnie.

— Czy jesteś tego pewien? — spytała miękko siostra Holton.

— Jasne, że jestem pewien! Widziałem ją bardzo słabo, bo strasznie tu ciemno, ale widziałem, naprawdę.

— Na sali musi być ciemno.

— Chciałbym porozmawiać jeszcze z tą dziewczyną. Podobał mi się jej głos. I wiedziała, jak się nazywam.

— Może jutro — odrzekła siostra Holton. — Dobranoc.

Wróciła do swego stolika, wyraźnie czymś zaintrygowana. Przyzwyczaiła się do tego, że chorzy często miewają różne przywidzenia, które biorą za rzeczywistość. Przed chwilą właśnie rozmawiała z jednym z takich pacjentów. Naprawdę zaniepokoiło ją jednak coś innego: mogłaby niemal przysiąc, że tym razem ona również słyszała jakiś dziwny kobiecy głos... Pomyślała o tym chłopaku. No cóż — na moment oparła zmęczoną głowę na złożonych rękach, by po raz nie wiadomo który przypomnieć samej sobie, że pielęgniarka wojskowa nie powinna ulegać emocjom.

Poderwała się na odgłos czyichś kroków. To była jej zmienniczka, siostra Corse, starsza już kobieta, która pracowała w wojsku jako pielęgniarka na długo przed wojną.

— Jesteś, chwała Bogu! Czasami te nocne dyżury ciągną się bez końca.

— Wiem — odrzekła siostra Corse. — Coś nowego?

— Nic, z wyjątkiem tego młodego Smitha. W końcu zaczął mówić.

— To dobrze. Od czasu, kiedy przywieźli go na statek, był w stanie śpiączki.

Siostra Holton zawahała się przez moment, wreszcie powiedziała:

— Kiedy dziś w nocy odzyskał przytomność, był przekonany, że rozmawiała z nim jakaś dziwna kobieta.

Siostra Corse pokiwała tylko głową — jak ktoś, kto słyszał wiele takich opowieści.

— Założę się, że przywidziała mu się dziewczyna, do której najbardziej tęskni. Na ogół ci nieszczęśnicy mają właśnie takie urojenia. Bóg mi świadkiem, dobrze ich rozumiem.

— Tak, oczywiście, zgadzam się — odparła siostra Holton z wahaniem — tylko że tym razem... ja też jestem pewna, że słyszałam kobiecego głos.

Siostra Corse obrzuciła ją spojrzeniem pełnym zawodowego sceptycyzmu.

— Przez moment pomyślałam, że może coś mi się przyśniło — wyznała dyżurująca. — Jestem taka zmęczona.

— Bzdura — ucięła starsza pielęgniarka. Zbierając swoje rzeczy i przygotowując się do odejścia, siostra Holton powiedziała znużonym głosem:

— Ten chłopak był tego całkiem pewien. Zresztą nieważne, cokolwiek to było, przywróciło mu świa-

domość. — Potrząsnęła głową ze zmęczenia, które tylko pielęgniarka może zrozumieć. — Nawet upierał się, że ją widział!

Przez twarz siostry Corse przemknął cień uśmiechu. Teraz nie miała już żadnych wątpliwości. — Sostro Holton, lepiej idź odpocząć i wyśpij się dobrze. Smith to ten, który całkowicie stracił wzrok, prawda?

* * *

Trudno o lepszego pracownika niż Bowman, mat--elektryk na holowniku *Standholm*. Czystość, sprawność i niezawodność — oto cechy, którymi się odznaczał, ważne na statku. Na lądzie miał jedno hobby: kobiety.

Wierzył święcie, że stare porzekadło „w każdym porcie jedna ukochana” to pierwsze przykazanie żeglarskie. Od siebie zaś dodawał: „głupcem jest ten, co w jednym czasie i w jednym mieście ma dwie kobiety”. Najlepiej, gdy kobiety są oddalone jedna od drugiej o setki mil. Jeśli raz miałeś przygodę z jakąś babką — no to miałeś, było, minęło. Najlepszy sposób na kłopoty z kobietami to zwiać na statek i odpłynąć. Stosowanie się do tych zasad dawało doskonałe rezultaty; Bowman sprytnie, niczym kochliwy piskorz, wykręcał się z niezliczonych romansów z przeróżnymi paniami, by wymienić tylko Annę z Nowego Jorku, Helenę z Bostonu, Marię z Baltimore, Luizę z Seattle, Magdalenę z Los Angeles, Ednę z Filadelfii... Nie zdążył jeszcze wypróbować swych sposobów na niejakiej Karolinie z San Diego.

145

Bowman miał żonę i dzieci w Norfolk, niegdyś macierzystym porcie *Standholmu*, i regularnie przysyłał swej rodzinie znaczną część zarobków. Prędko zorientował się, że aby przeżyć przygodę z kobietą, wystarczy łóżko, o które większość pań na ogół sama potrafi się zatroszczyć. Był naprawdę dobrym, hojnym mężem i ojcem, i zawsze kiedy jego statek zawijał do Norfolk, cały wolny czas spędzał z rodziną.

Po pewnym jednak czasie *Standholm* został przerzucony na Pacyfik i jego bazą było teraz San Diego. Rodzina odczuła to boleśnie, lecz dla samego Bowmana życie stało się o wiele przyjemniejsze.

Wtedy to właśnie pojawiła się Karolina, która szczęśliwie łączyła w sobie cechy wielu innych jego przyjaciółek: była wysoka jak Margaret z Brooklynu, dobrze zbudowana jak Jo z Camden i namiętna jak Barbara z Savannah. Oprócz tego miała cechy sobie tylko właściwe, i do tego z urody przypominała Hiszpankę. Prawdopodobnie była równie zazdrosna jak większość jego kochanek. Trudno zresztą się dziwić: Bowman, choć miał już czterdziestkę, wciąż był bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Szczupły i zwinny, o mięśniach twardych jak stal, miał energię i wytrzymałość dwudziestoletniego chłopaka, połączone z doświadczeniem dojrzałego mężczyzny.

Pewnego dnia, gdy był na morzu, przyszła poczta. Bowman zazwyczaj dostawał mnóstwo listów.

Tym razem było ich trzy: pierwszy, od Karoliny, miał stempel z San Diego i adres zwrotny 626 *Arameda Street*. Na ośmiu stronach Karolina rozwodziła się nad tym, jak to nie może się doczekać, aż statek

zawinie do portu. Drugi list był od Luizy z Seattle, do której Bowman nie pisał już od dawna. List liczył zaledwie jedną stronę; Luiza pisała, że doskonale wie, iż niedawno był w Seattle, więc dlaczego, do cholery, nie odezwał się do niej, a w ogóle jeśli kiedykolwiek spotka na swojej drodze takiego podłego chama i bydlaka jak on, to poderżnie mu gardło i tak dalej. List nie należał do przyjemnych. Bowman pochylił się nad listem od Karoliny i przeczytał go kilka razy z błogim uśmiechem na twarzy. Ten od Luizy przeczytał raz, po czym podarł go na strzępy. Zawsze tak robił, gdy otrzymywał listy podobnej treści. Zupełnie nie rozumiał, skąd u kobiet bierze się tyle goryczy. Przed żadną z nich nigdy nie ukrywał, że ma żonę; powinny dobrze wiedzieć, co ryzykują, wiążąc się z cudzym mężem. Zasługiwały na karę, nawet jeśli to on sam — człowiek żonaty — im ją wymierzał. W ten sposób zawsze czuł, że postępuje uczciwie i sprawiedliwie.

Trzeci list był od żony. Otworzył go niedbale i zaczął machinalnie czytać. List zaczynał się tak:

Drogi Filipie! Dzieci czują się dobrze. Ja również mam się dobrze. Ten list będzie dla Ciebie niespodzianką. Zgadnij, gdzie w tej chwili jesteśmy: w San Diego...

Zbaraniał, przeczytawszy tę wiadomość, i szybko spojrział na adres zwrotny: *625 Arameda Street, San Diego*. W popłochu, przerażony, przeleciał oczami dalszą część listu:

Harrisonowie, pamiętasz, nasi sąsiedzi z Norfolk, mają brata w San Diego, który został prze-

niesiony do Norfolk. Kiedy się o tym dowiedziałam, uzgodniłam z nimi, że zamieniamy się domami. Na pewno poczujesz się lepiej, mając nas wszystkich w San Diego, Twoim nowym porcie. Dalej następowały szczegóły podróży przez cały kraj, jak została opłacona, parę słów o przeziębieniach dzieci, opis nowego domu itd. Bowman pominął je. Myślał tylko o jednym: jak jego żona mogła postąpić tak egoistycznie, nie wspominając wcześniej ani słowem o przeprowadzce i że mieszkają teraz przy Arameda Street 625, gdy tymczasem po drugiej stronie ulicy, pod numerem 626, mieszka Karolina. Trzeba więc będzie zerwać obiecującą znajomość, zanim się w ogóle zaczęła — zamiast zerwać ją dopiero wtedy, kiedy sytuacja sama do tego dojrzeje. Ale, co gorsza, jeśli przypadkiem zdarzy się, że jego żona spotka się z Karoliną; jeśli któryś z sąsiadów wymieni jego imię... Na samą myśl o różnych możliwych wydarzeniach robiło mu się zimno.

Bezsilność na morzu — to prawdziwa bezsilność. Oto jak miały się sprawy — i nic, nic nie dało się zrobić, by zatrzymać bieg wypadków, wpłynąć na nie, pokierować nimi. Właśnie w tym momencie jego żona być może zapoznaje się z Karoliną — a jeśli nie w tym momencie, to, powiedzmy, jutro albo za tydzień. Przez chwilę wyobraził sobie, jak zareagowałaby jego żona, gdyby się dowiedziała o Karolinie. Zrobiłaby prawdziwe piekło. Przypuszczalnie nie rozwiodłaby się z nim, ale mogłaby nie pozwolić mu widywać się z dziećmi, a to byłoby po prostu straszne. I, co chyba najgorsze ze wszystkiego, zniszczyłaby wspaniałą wizerunek jego własnego „ja”

— które zawsze tak dbało o to, by każdą sytuację aranżować według reguł wielokrotnie sprawdzonych w praktyce.

Wiadomość od żony zepsuła mu cały dzień. Miał do wykonania jakąś niewdzięczną robotę przy generatorze. W czasie pracy marudził, zrzędził, w końcu upuścił sobie na nogę klucze, co bynajmniej nie poprawiło mu humoru.

I, co było do niego zupełnie niepodobne, bez przerwy wymyślał swoim dwóm pomocnikom od safandulów i idiotów.

— Co, u licha, stało się Bowmanowi? — zastanawiał się jeden z nich.

— Diabli wiedzą — odparł jego towarzysz. — Pewnie parę kochanek naraz mu napisało, że jeśli się z nimi nie ożeni, złożą skargę do sekretariatu dowództwa floty.

Bowman jadł kolację w ponurym milczeniu, z każdą minutą coraz silniej odczuwając beznadziejność sytuacji. Bez ustanku myślał o żonie, o tym, co zrobi, gdy się dowie, i ku własnemu zdumieniu odkrył, że naprawdę go to niepokoi. Może czuł do niej- więcej, niż to sobie uświadamiał? O Karolinie prawie zapomniał. Natychmiast zdecydował się złożyć ją w ofierze na ołtarzu wymuszonej okolicznościami wierności małżeńskiej, i choć niewątpliwie było to przykre, pocieszał się, że przecież jest jeszcze tyle dziewczyn na Long Beach czy w Honolulu...

Pod wieczór postanowił coś zrobić. Wprawdzie niewiele był w stanie uczynić, by zatrzymać nieubłagany bieg wypadków, ale przynajmniej mógł podjąć działania mające na celu uśmierzenie straszego poczucia bezsilności, które tak go obezwładniło.

Wydobył arkusz papieru listowego i zasiadł do pisania. Musiał się skupić, a w jego kwaterze panował zbyt duży hałas. Wycofał się więc do kuchni, znalazł pusty stół w kącie i rozpoczął pierwszy list — do Karoliny. Nie sprawiło mu to kłopotu — w przeszłości napisał już dziesiątki takich listów. Z wielkim żalem i rozpaczą, zachowując w sercu pamięć, jak dobrze było im ze sobą, zmuszony jest zawiadomić ją, że przenoszą go na inny statek mający bazę daleko, daleko stąd. To wszystko, co na razie może powiedzieć, gdyż nie zna nawet swego nowego adresu. Wiele dni upłynie, nim ponownie zawinie do San Diego itd.

To była ładna, zręczna kompozycja, wzruszający opis bolesnych wyrzeczeń. Kończąc, doszedł do wniosku, że Karolina nie powinna czuć się całkiem niepokieszona. Ostatecznie jeśli związała się z nim, równie dobrze może się związać z wieloma innymi takimi jak on; z łatwością pewnie znajdzie sobie następcę Bowmana.

Z kolei zaczął pisać do żony, ale dopiero po głębokim namyśle. Zdecydował, że nie napisze nic szczególnego — Ot, zwyczajny, pogodny list od męża. Ucieszyła go wiadomość, że mieszkają na Zachodnim Wybrzeżu, właśnie na Arameda Street, którą on przypadkiem bardzo dobrze zna. (Pisząc to, uśmiechnął się pod nosem). Nie wie, kiedy znowu będzie na lądzie; cieszy się, że dzieci są zdrowe i ma nadzieję wkrótce się z nimi zobaczyć.

Nareszcie trochę mu ulżyło. W danej chwili nic więcej nie mógł zrobić. Dotychczas wszystko zawsze mu się udawało, więc jeśli szczęście go nie opuści, niewykluczone, że uda się i tym razem;

oczywiście musi sprytnie omijać dom Karoliny, kiedy zejda na ląd w San Diego.

Postanowiwszy wysłać listy od razu, Bowman udał się do swojej kajuty po koperty. Wszedł na nie oświetlone schody prowadzące pod pokład, głęboko pogrążony w niewesołych myślach i pełen żalu do losu, że nawet tu, na morzu, nie szczędzi mu kłopotów.

Nagle usłyszał głos kobiety — zapytała o jakiegoś marynarza.

Był zbyt zaskoczony, by zrozumieć pytanie, nie mówiąc już o udzieleniu odpowiedzi. Zachwiał się i cofnął o krok. Naprzeciw niego, w odległości około dwóch metrów, stała jasnowłosa kobieta. To nie było złudzenie. Ruszył do przodu, szykując się do odparcia ciosu — lecz wtedy kobieta znikła.

Bowman powlókł się korytarzem. Nogi miał jak z waty, ręce mu drżały. Gdy wreszcie dotarł do swojej kajuty, siadł ciężko na koi i przez kilka minut nie mógł się ruszyć.

Większość załogi już spała, ale paru kolegów zauważyło, jak wszedł.

— Co się stało, Phil? Wyglądasz, jakbyś przed chwilą zobaczył ducha.

— To tylko ból głowy — wymamrotał w odpowiedzi.

To, co widział, było naturalnie jakimś złudzeniem — przemęczony człowiek miewa niekiedy omamy wzrokowe. Zjawa ukazała się tylko jemu; zmęczenie, noc — w takich okolicznościach można to zrozumieć. Jedno tylko nie dawało mu spokoju: przecież wiele razy był przemęczony albo podenerwowany, a nigdy nic podobnego mu się nie przytrafiło.

Dziewczyna, jeśli to była dziewczyna, miała jasne włosy i przypominała mu wiele przyjaciółek, zwłaszcza Barbarę z Savannah i Luizę z Seattle. Zarówno jedna, jak i druga ostro potępiły go w listach pełnych najrozmaitszych pogrózek. Barbara napisała: „Jeśli kiedykolwiek zrobisz mi świństwo, znajdę cię nawet na końcu świata”.

Wyprostował się na łóżku, usiłując opanować drżenie rąk. Powtarzał sobie, że to wszystko bzdura, potworna, absolutna niedorzeczność, lecz to nie powstrzymało szalonego natłoku chaotycznych, niekontrolowanych myśli. Zdrowy rozsądek mówił mu, że te kobiety przecież są daleko, daleko stąd; że za całe to przykre przeżycie, które tak go rozstroiło, winę ponoszą tylko i wyłącznie niespodziewane, niepomyślne wiadomości w liście od żony. To wszystko minie, trzeba tylko dobrze się wyspać. Przez moment Bowman poczuł się lepiej, lecz już po chwili uzmysłowił sobie, że oszukuje samego siebie. Nie zazna spokoju, dopóki sytuacja w San Diego się nie unormuje, albo on przynajmniej się nie dowie, jak ostatecznie potoczyły się wypadki. Właśnie w tej chwili któryś z sąsiadów może mówić: „Karolino, oto nasza nowa sąsiadka ze Wschodniego Wybrzeża, pani Bowman. Jej mąż jest matem-elektrykiem.” Wtedy jego żona spostrzeże zmianę na twarzy Karoliny.

Sięgnął do szafki po koperty. Uświadamiając sobie, że wciąż jest bardzo zdenerwowany, bardziej niż kiedykolwiek mógłby przypuszczać, w roztargnieniu zaadresował koperty do żony i do Karoliny. Właśnie w tej chwili, pomyślał, któryś z sąsiadów być może mówi: „To zabawne, pani Bowman, ale ta dziewczyna po drugiej stronie ulicy miała kawa-

lera, też Bowmana, mata-elektryka. Całkiem przystojny mężczyzna koło czterdziestki." Rozważając wszystkie możliwości, Bowman starannie włożył list do żony w kopertę zaadresowaną do Karoliny, a list do Karoliny — w kopertę z adresem żony, po czym dokładnie zakleił koperty. Wciąż rozmyślając nad tym, jak diabelnie gmatwa się czasem spokojny żywot człowieka, udał się do skrzynki pocztowej i wrzucił oba listy.

To przynajmniej trochę pomoże, pomyślał, wracając do kajuty. Bez względu na powagę sytuacji człowiek zawsze powinien panować nad nerwami. I nawet zaśmiał się z samego siebie: ze swego niedawnego zdenerwowania i zjawy, która była tylko przywidzeniem.

* * *

Większość towarzyszy starszego podoficera Joe Jonesa, którzy pływali z nim na *Farragucie*, nie poznałyby go teraz.

Kiedy przeniesiono go na *Luizjanę*, wyprawili mu wcale huczne pożegnanie.

— Szczęściarz z tego Joe — wzdychali z zazdrością. — Nagle ląduje na najnowszym okręcie w całej flocie. Ale jemu i tak wszystko jedno. On nigdy się nie zmienia.

Nie ma na świecie większego statku niż *Luizjana*. Jak twierdzi Joe, który powrócił właśnie z próbnego rejsu, łodzie ratunkowe tego kolosa są tak wielkie jak statki konwojujące, a kuter kapitański ma rozmiary małego transportowca. Joe ujawnił kilka szczegółów dotyczących prędkości okrętu, uważając

przy tym, rzecz jasna, by nie zdradzić tajemnicy wojskowej. Otóż statek porusza się tak szybko, że katapulty samolotowe muszą być umieszczone na rufie, bo kiedy płynie z maksymalną prędkością, samolotem szarpie do tyłu, nawet jeśli jego silniki pracują na pełnych obrotach.

Kapitan utrzymuje na okręcie idealny porządek, tak jak Joe lubi, i nic nie ujdzie jego uwagi. Pewnego ranka podczas przeglądu Stary rzucił okiem na nogi marynarzy i kazał im zdjąć buty. Rzecz jasna, okazało się, że mieli dziury w skarpetkach.

Oto cały Joe! Był tak dumny ze swojego nowego statku, że po prostu piał z zachwytu: jaki to najlepszy na świecie, fajowy, fantastyczny, fenomenalny, z fest fasonem, figofago-fandago stateczek — w całej tej zafajdanej, *verflucht*, flocie.

Kiedy doprowadzają do gotowości bojowej taki okręt jak *Luizjana*, kompletują załogę z początkujących marynarzy, świeżo po obozie szkoleniowym, i przyłączają tylko paru starych wilków morskich, takich jak Joe Jones, który przesłużył dwadzieścia pięć lat w marynarce. Wiedza o morzu samych admirałów stanowi na ogół nikły procent tego, co ludzie podobni Joe mają we krwi. Niech ci faceci paradują sobie po statku z tymi swoimi złotymi galonami, napuszeni jak pawie, i niech myślą, że to oni wszystkim kręcą, ale starsi podoficerowie i tak wiedzą lepiej, dzięki komu naprawdę statek płynie.

Najlepsi z nich pamiętają czasy, kiedy byli zwykłymi majtkami i nie potrafili odróżnić iluminatora od spodka, a ci najlepsi z najlepszych, na przykład Joe, są ze swoimi ludźmi zżyci jak nie przymierzając kwoka z piskletami. Tak wielką zażyłość z za-

łogą osiągnął Joe w ten sposób, że po skończeniu służby podchodził do pierwszej lepszej grupy marynarzy i rozpoczynał rozmowę. Z początku czuli się nieswojo i milkli skrepowani. Później, gdy już go dobrze poznali, też milkli — z tej prostej przyczyny, że Joe nie dawał im dojść do głosu. Mówił i mówił

— tylko o jednym: o marynarce, i prawie zawsze wypowiadał się o niej krytycznie. Marynarka nie była doskonała — i nigdy nie będzie. Ale trudno się ludziom dziwić, że dążą do doskonałości.

— W 1917 roku, kiedy zaciągnąłem się na statek

— opowiadał pewnej nocy grupce marynarzy — nie przechodziliśmy takiego dokładnego szkolenia jak wy, chłopaki, teraz. Do stu diabłów! Słyszałem, że macie nawet lekcje pływania. Za moich czasów wrzucało się po prostu faceta do morza ze statku, na którym zaczynał. I od razu musiał się czuć jak ryba w wodzie!

— A statek płynął czy stał na kotwicy?

— Różnie. Pamiętam, jak jednego gościa zepchnęli ze staruszki *Pensylwanii*, kiedy prućła pełną parą. Facet nie miał zielonego pojęcia o pływaniu.

— No i co się z nim stało?

— Byliśmy pewni, że się utopił.

— A utopił się?

Joe tylko czekał na to pytanie.

— Nic podobnego, panowie! — Zapalił papierosa.

— Wylądował, zdaje się, w kilwaterze, bardzo blisko śruby. Zamiast go wciągnąć pod wodę, śruby dały mu napęd i zaczął kręcić się jak torpeda. Odrzuciło go do tyłu i wciąż kręcąc się w kółko, zaczął się oddalać z prędkością trzech węzłów. Na szczęście był na tyle przytomny, że za każdym razem,

kiedy miał głowę zwróconą do góry, łapał w **płuca** trochę powietrza. Wciąż kręcił się i kręcił, co prawda powoli tracąc prędkość, kiedy ujrzeli go chłopcy z nadpływającego niszczyciela i wyłowili z wody. Ale zanim to zrobili, obserwator zdążył jeszcze krzyknąć: „Torpeda ze starbordu!” I, śmieszna rzecz, możecie wierzyć lub nie... Od tego kręcenia się w kółko zrobiły mu się loczki na głowie. Prawdę mówiąc, ma je do dziś. — Joe ogarnął słuchaczy badawczym spojrzeniem, nie spostrzegłszy jednak na ich twarzach niedowierzania, ciągnął: — Jak któryś z was natknie się kiedy na kogoś z załogi *Kansas City*, niech spyta o starszego podoficera Kudłatego McKibbena. Chłopaki potwierdzą to, co opowiadam. Mnie lepiej nie wierzcie. — Zaciągnął się dymem z papierosa. — A dzisiaj co? — mówił drwiącym tonem. — Piękny basen, głęboki na dwa metry z hakiem. Słyszałem nawet, że ogrzewają w nim wodę.

Przerwał na chwilę, a ponieważ nikomu nie chciało się oponować, podjął wątek:

— Tak, to już nie ci ludzie. Kogo nam teraz przysyłają z tych obozów szkoleniowych? Dento-matów.

— Co to takiego, u diabła?!

— Nie wiecie, co to dento-maci?! — zdziwił się z niesmakiem. — To wam powiem. Dento-mat to jeden z safandulów, którzy przychodzą na statek ze spróchniałymi zębami. Więc dentysta zakłada mu sztuczną szczękę — górę i dół. Kiedy statek dobija do portu, co robi taki jeden z drugim? Wywala zęby za burłę, a na brzegu mówi, że wyśliznęły mu się z gęby przez przypadek. Więc musi dostać nowe i dzięki temu dają mu aż cztery tygodnie przepustki, żeby mogli mu dopasować nową szczękę.

Ale

159

nie próbujcie teraz tych sztuczek, chyba że znudziło się wam gryzienie normalnego żarcia i chcecie dla odmiany łykać owsiankę. — Zamilkł, po czym zaczął na nowo: — A jak nie dento-maci, to dzieciaki! Dzieciaki! Dajcie no im parę godzin wolności i gdzie wtedy pójdą? Do baru? W życiu, bracie; pójdą do budki z hamburgerami, koktajlami mlecznymi i hotdogami. Czy żaden z was nigdy się nie zastanawiał, jaki potworny galimatias robi się w żołądku od takich rzeczy? Kiedy na oddziale chorych biorą takiego marynarza do transfuzji, okazuje się, że w żyłach płynie mu nie krew, a kakao. — Joe skrzywił się z dezaprobatą. — Nie jak za dawnych, dobrych czasów — ciągnął. — Dziś marynarze na przepustkach łążą trzeźwi jak niemowlęta i przez to wpadają w Bóg wie jakie kłopoty. Dawniej marynarz po zejściu na ląd walił do baru i siedział tam tak długo, aż spił się jak świnia i padł jak długi. Dzięki temu zawsze było wiadomo, gdzie go szukać, no i nigdy nie wpakował się w tarapaty. — Umilkł znowu, nabrał powietrza i mówił dalej: — Jak kiedy traficie na *Squantum*, spytajcie o Hokiego Cassela. Myślę, że nadal pływa. O, to jest ostatni stary żeglarz, co jeszcze służy w marynarce. Mówi, że już w 1898 czyścił działa, ale on zawsze lubił bujać, no, chyba że się upił. Więc nie można za bardzo mu wierzyć. Ale co to za człowiek! Nikt nigdy nie trzymał steru tak pewną ręką. Raz jeden kapitan statku handlowego zauważył, że statek zboczył z kursu o dwa stopnie, i kiedy wezwał Hokiego na mostek, jak Boga kocham, możecie wierzyć albo nie — okazało się, że to kompas był do bani! — Joe przerwał, by zapalić papierosa, a potem ciągnął swoją opo-

wieść: — Ale najlepsza historia, to jak byliśmy w Bostonie i siedzieliśmy tam ze dwa tygodnie. Ho-kie stwierdził, że to wystarczająco dużo czasu, żeby przyzwocić sobie popić. Przez cztery dni z rzędu pił, pił i pił i piątego dnia zwałił się — w końcu człowiek jest tylko człowiekiem — tam, gdzie zaczął, u Coogana, dwa kroki od stoczni. No dobra, Coogan nie wiedział, co z nim zrobić, więc oddał go na policję, wicie, broń Boże, nie do aresztu, tylko tak, pod dobrą opiekę. Policjanci dobrze znali Hokiego, więc tylko położyli go na posterunku w piwnicy, żeby sobie pospał. Słyszałem, że spał bite czterdzieści jeden godzin jak kłoda i nawet nie drgnął; piekielnie długo, no nie? W każdym razie wreszcie obudził się, a tu patrzy — wszędzie ciemno. Maca łapą nad głową i trafia na prycę. Maca z boku i trafia na deski. Sprawdza pod spodem, a tam też deski. — Joe zamilkł, by rozbudzić ciekawość słuchaczy, po czym opowiadał dalej: — No i wtedy wniosek nasunął mu się sam, i trudno się dziwić, że właśnie taki. Zaczął ryczeć ze wszystkich sił: „Umarłem, umarłem i pochowali mnie!” Nie chciało mu się wierzyć, więc jeszcze raz wyciągnął rękę, znowu dotknął desek i wymamrotał: „Co jest, do stu diabłów, pochowali mnie na lądzie?” Potem sięgnął w dół i drzazga wlaźła mu w palec. Wtedy to już zaczął ryczeć tak głośno, że cały posterunek go usłyszał: „Pochowali, pochowali, i na dodatek, psia ich mać, tanio!” Tak, panowie, to był dopiero marynarz. Jak przypadkiem traficie na *Squantum*, to spytajcie o Hokiego. Ale nie dawajcie mu nic do picia.

Skończywszy opowieść, Joe wstał i odszedł.

158 — W pogoni za miłością

161

Taki właśnie był kiedyś Joe, lecz zmienił się, kiedy znalazł się na *Luizjanie*. Nawet starzy kumple by go teraz nie poznali.

A zmienił się od tego wieczoru, kiedy zebrała się kompania i zgadało się o WAVES i kobietach w marynarce. Joe nie omieszkał wyrazić o nich swej opinii:

— Ostatnim razem, jak byłem na łądzie — rzekł

— wybrałem się do biura płac wyjaśnić jakąś nieścisłość w mojej wypłacie. Płatnik, chociaż był moim starym kumplem, stwierdził, że on nic nie poradzi i zaczął coś mówić o wysyłaniu papierów do Waszyngtonu. Właśnie wtedy przyszła facetka z WAVES, też urzędniczka w biurze płac, i niech ją cholera, okazało się, że wie, jak załatwić moją sprawę, i załatwiła ją od ręki. Jeżeli jakaś baba może sobie ot tak, przyjść i usadzić faceta, który służy w marynarce całe lata — to znaczy, że wkrótce marynarka zejdzie na psy! Facetowi nie było przyjemnie.

— Joe potrząsnął głową. Wcale nie było mu do śmiechu.

— A ja nie uważam, że te z WAVES są takie okropne — odezwał się nagle jakiś prosty marynarz.

— Raz nawet poznałem tam dziewczynę i chciałem się z nią ożenić.

— Nie są takie okropne? — wybuchnął Joe, nieprzywykły, by mu się sprzeciwiano. — Posłuchaj, co ci powiem: baby na statku to groźna rzecz. — Zniżył głos i ciągnął: — Słyszałem, że z babami są

WAVES — rezerwy kobiece Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych — Women Accepted for Volunteer Emergency Service — przyp. tłum.

kłopoty nawet wtedy, gdy pracują w stoczni. Kiedy budowali ten statek, co teraz na nim pływamy, słyszałem historię o kobiecie-spawaczu, która pracowała w zbiorniku paliwowym. Dacie wiarę, że dopiero jak zwodowali łajbę, zauważyli, że kobieta po prostu gdzieś wsiąkła. Już nigdy więcej nie pojawiła się w stoczni.

— Co się z nią stało?

— Do licha, co za durne pytanie — odrzekł z niesmakiem Joe. — Każdy głupi by się domyślił. Po prostu przyspawała się baba do zbiornika, ot co się stało.

— A dlaczego nie otworzyli zbiornika?

— A jak myślisz, marynarzyku, co jest ważniejsze: zwodować okręt na czas czy rozpruć mu brzuch tylko po to, żeby znaleźć kobietę, w dodatku najprawdopodobniej już martwą? — Nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał: — Jak chcecie, to sobie nie wierzcie. Ale kilku koleśków na próbnym rejsie słyszało bardzo dziwne dźwięki: łomotanie, drapanie i jakieś głosy. Nie pierwszy to i nie ostatni statek, na którym straszy.

Tymi słowy Joe skończył i odszedł, dumny z siebie, że udało mu się wymyślić na poczekaniu nową historyjkę.

Tej samej nocy zachciało mu się kawy, której od niepamiętnych czasów wypijał chyba z pięć litrów dziennie. Schodził schodami pod pokład do kuchni, wielce zadowolony z siebie, ze statku, z całego świata, ba, nawet, co rzadko mu się zdarzało, z marynarki. Skręcił w coś w rodzaju ślepego korytarzyka z rzędem zamkniętych toalet. Słabe niebieskie światełka potęgowały tylko wrażenie ciemności.

Nagle w półmroku usłyszał jakiś szelest. Po chwili rozległ się kobiecy głos:

— Przepraszam, czy przypadkiem nie ma tu marynarza o nazwisku Johnny Smith?

Joe cofnął się zaskoczony. Przed oczami mignęły mu jasne włosy i sukienka.

— Co?! — powiedział, a po chwili dodał już znacznie głośniej: — A to co znowu, u diabła?!

Rzucił się, by pochwycić wyłaniającą się z mroku postać, lecz złapał rękoma powietrze.

— Słuchaj, ty dowcipnisiu — warknął Joe. Znow wyciągnął ręce i znow trafił w pustkę.

Od końca schodów dzieliło go zaledwie kilka metrów. Korytarz kończył się ścianą. Oprócz Joe nie było tu nikogo, nikt też, tego był pewien, nie zdołałby się obok niego prześliznąć.

W pierwszej chwili Joe chciał podnieść alarm, lecz lata praktyki uczyniły go przezornym. To była osobista sprawa między nim a tajemniczym głosem i nie potrzebował żadnej pomocy; nie chciał też, żeby się potem z niego nabijali, że dał się nabrać na najlepszy kawał roku.

Gdy poszukiwania zawiodły, wrócił do swojej kajuty, ale posiedział tam tylko chwilę. Udał się na pokład, żeby porozmawiać z Simmonsem, jednym z marynarzy, którzy słuchali historii o kobiecie-spa-waczu.

Znalazłszy go, Joe powiedział:

— Chcę, żebyś przypomniiał sobie, którzy chłopcy słuchali mnie dziś wieczór. Pamiętasz? Kiedy sobie przypomnisz, sprawdź koje i zobacz, którzy z nich śpią, a którzy są na wachcie. Migiem!

— Tak jest! — odparł posłusznie tamten.

Po chwili wrócił, by zameldować, że czterech pełniło wachtę, a sześciu chrapało w kojach.

— Czy to wszyscy?

— Tak jest!

— A nie wiesz przypadkiem, czy któryś z nich... Tu Joe zreflektował się; uświadomił sobie, że jeśli zada pytanie w rodzaju: „Czy znasz kogoś, kto mógłby mieć u siebie w szafce damskie fatałaszkę?”, to ośmieszysz się i da ludziom powód do plotek i domysłów.

— Słucham? — spytał grzecznie Simmons.

— Nic, niech to licho! — burknął Joe i oddalił się szybko.

W taki oto sposób Joe Jones zaprzestał nagle snucia swych historyjek; do dziś nie doszedł całkiem do siebie. Całymi tygodniami krążył po statku, usiłując przyłapać marynarzy na porozumiewawczych uśmiechach.

Jak dotąd nikomu na *Luizjanie* nie wspomniał o swojej przygodzie; opowiedział o niej dopiero, i to po kilku kieliszkach, podoficerowi Nortonowi ze statku *Forsythe*, gdy spotkali się w jednym z nowojorskich barów. Byli starymi przyjaciółmi, razem zaczęli służbę w marynarce.

— Nie ma co, sprytne dzieciaki, że wymyśliły taki numer właśnie tamtej nocy, kiedy ich nabrałem, że na statku straszy. Ale jednego ni rusz nie mogę skapować: skąd, u licha, wzięli tę jasną perukę?

* * *

Porucznik Stowell stał na mostku krążownika *Koowell* i patrzył w bezchmurne nocne niebo. Gwiazdy zawsze napełniały go zdumieniem i zachwytem. Znał każdą z nich, były dlań najdroższymi istotami,

a nade wszystko — łączniczkami pomiędzy nim a jego żoną Eli en.

W każdą pogodną noc Stowell, zamiast udawać się na spoczynek, stał nieruchomo przy burcie, zapatrzony w gwiazdy. Czynił tak już od kilku miesięcy. Jak daleko sięgał pamięcią, gwiazdy zawsze były częścią jego życia, jego największą namiętnością. W latach chłopięcych mógł godzinami leżeć na szczycie wzgórza, wśród trawy, i patrzeć na gwiazdy, wędrujące po niebie tak dobrze mu znanymi szlakami, rozpoznawać je, nazywać po imieniu. I oto teraz, stojąc przy burcie, patrzył na Pegaza i wspominał ów odległy czas, kiedy zobaczył go pierwszy raz w życiu; jak wyłaniał się na północnym wschodzie, skrząc się na wiosennym niebie. Patrzył na Pegaza i myślał o Ellen.

Nagle zmarszczył brwi, usłyszał bowiem na pokładzie czyjeś kroki — w takich chwilach nie potrzebował towarzystwa. To jego współtowarzysz z kabiny, porucznik Porter. Szedł leniwym, niedbałym krokiem.

Mieszkali razem już od roku, ale niewiele podjęli prób, aby zbliżyć się do siebie. Stowell lubił zachowywać się z rezerwą, Porter przeciwnie. Jowialny, ekstrawertyk, typ człowieka żyjącego z dnia na dzień, początkowo wydawał się mieć Stowellowi za złe jego powściągliwość, w końcu jednak przywykł do niej i z rzadka pytał swego milczącego sąsiada o cokolwiek.

Jednak teraz właśnie przyszedł z pytaniem.

— Jak zwykle patrzysz w gwiazdy, co, Hal? — zagaił.

— Witaj — rzekł Stowell obojętnym tonem. Porter stanął obok niego.

— Fascynują cię, co? Stowell pokiwał głową.

Przez dłuższą chwilę Porter stał bez słowa. Słysząc było tylko dochodzący z dołu plusk wody uderzającej o dziób statku. Wreszcie znów odezwał się Porter, niecierpliwie, prawie z rozdrażnieniem.

— Hal, to nie mój interes, ale mieszkamy w jednej kabinie i lubię cię. Czy coś jest nie w porządku?

— Dlaczego miałyby być nie w porządku? — spytał Stowell spokojnym, opanowanym głosem.

Tamten mówił dalej — jak człowiek, który podjął się trudnego, niewdzięcznego zadania i zdecydował się doprowadzić je do końca.

— Bardzo się zmieniłeś przez te cztery miesiące od czasu śmierci twojej żony.

— To był wstrząs.

— Oczywiście. — W głosie Portera przebijała serdeczność. Współczucie wzięło górę nad zaciekawieniem.

Po raz pierwszy Stowell odwrócił wzrok od nieba i spojrzał porucznikowi w twarz.

— Wiem, co chcesz powiedzieć. „Daj spokój, Hal, staruszk, nie spędzisz przecież reszty życia w żałobie.” Czyż nie tak? — I nie czekając na odpowiedź, dodał niechętnym tonem: — Czy słyszałeś kiedyś jakieś krytyczne opinie o mojej pracy na tym statku?

— Wprost przeciwnie — odrzekł pośpiesznie Porter. — Kiedyś słyszałem nawet, jak Stary mówił, że jesteś jednym z jego najcenniejszych ludzi.

Iskra gniewu, która na moment zabłysła w oczach Stowella, natychmiast zgasła.

— Myślę, że nie potrafiłbym nikomu wytłumaczyć, kim była dla mnie Ellen. Nigdy nie znałem żadnej innej kobiety, nigdy nie chciałem żadnej innej kobiety. Może byliśmy sobie zbyt bliscy i dla-

tego jest mi teraz ciężej, ale nasz związek po prostu nie mógł być inny.

Portera wprawiło w lekkie zakłopotanie zaufanie, jakim nagle obdarzył go Hal.

— Musi ci być ciężko, kiedy pomyślisz, że któregoś dnia trzeba będzie wrócić do domu — powiedział.

— Nie, to nie całkiem tak — odrzekł Stowell. — Pogodziłem się już z tym, co się stało. Odzyskałem spokój ducha. Byłem w rezerwie, ale jeśli po zakończeniu wojny pozwolą mi nadal służyć, zostanę w marynarce już do końca.

— To nie zamierzasz nigdy więcej uczyć? Rany, a ja nie mogę się doczekać, kiedy skończę służbę. Stowell potrząsnął głową.

— Stwierdziłem, że na statku będę szczęśliwszy. — I dodał stanowczo: — Po prostu nie mogę sobie wyobrazić, że zacznam nowe życie na lądzie bez Ellen. Tu przynajmniej nie dręczy mnie niepewność jutra. Pogodziłem się z obecnym stanem rzeczy. Lubię marynarkę i pozostanę tu, jeśli mnie będą chcieli.

Wyjaśnienia te w pełni zadowoliły Portera.

— Cieszę się, że wreszcie wiem, co ci leży na sercu, Hal — powiedział z ulgą. — Między nami mówiąc, tak często widziałem cię spędzającego czas w samotności, że zacząłem się o ciebie martwić, a znasz mnie przecież, zwykle nigdy o nic się nie martwię. Wybacz mi, proszę, wścibstwo...

— Jestem ci wdzięczny za troskę — odparł szczerze Stowell.

Znowu zwrócił twarz ku gwiazdom. Porterowi, który wciąż stał obok, wydało się, że jego towarzysz znalazł się nagle duchem gdzie indziej. Postanowił

wrócić pod pokład; już miał odejść, gdy **Hal** odezwał się nieoczekiwanie:

— Myślę, że niewiele było na świecie takich **małżeństw** jak moje z Ellen.

— Myślę, że w ogóle mało jest szczęśliwych **małżeństw** — dodał Porter.

— Tyle się słyszy na temat marynarzy i dziewczyn w różnych portach. Ale mnie nigdy nie zdarzyło się nic takiego zobaczyć. Myślę, że tego rodzaju opowieści są krzywdzące dla wielu przyzwoitych marynarzy.

— Pewnie masz rację — zgodził się kolega.

— Często słyszę najróżniejsze historie — rzekł Stowell z powagą — które mnie po prostu zaskakują. „Zaskakują” to chyba zbyt delikatne słowo. Czy byłeś w mesie oficerskiej, kiedy chorąży Brown opowiadał o swojej ostatniej przepustce?

— Tego akurat nie słyszałem — odrzekł Porter

— ale wyobrażam sobie. On lubi opowiadać pikantne historyjki.

— Wtedy opowiadał o tym, jak wybrał się na wesele. Musiało to być niezgorsze przyjęcie. Pan młody upił się i poszedł spać, więc panna młoda uparła się, by Brown poszedł z nią do łóżka, bo nie chciała spędzić sama nocy poślubnej. I Brown spełnił jej prośbę.

— Słyszałem coś o tym — odparł Porter. — Ale dotyczy to w równym stopniu mężczyzny, jak i kobiety.

— Nie chcę nikogo osądzać — ciągnął Stowell.

— Chcę tylko powiedzieć, że zupełnie nie rozumiem takich postaw. Weź na przykład mnie. — W jego głosie zabrzmiała troska. — Zanim spotkałem Ellen, czułem się nie za bardzo przystosowany do życia.

Zawsze byłem samotnikiem, nie lubiłem ludzi. A ona miała w sobie tyle wdzięku i czaru, że po prostu zbliżyła mnie do świata, czy raczej stworzyła mi taki świat, w którym mogłem znaleźć dla siebie miejsce. — Przerwał na chwilę. — Zabawne, aż do tej chwili nie byłem w stanie o tym mówić. Porter poczuł, że tamten pragnie opowiedzieć o Ellen.

— Spotkaliśmy się na uczelni — ciągnął Hal. — Już na drugim roku studiów zdecydowaliśmy, że się pobierzemy. Wymyśliliśmy nawet, że znajdę pracę nauczyciela, a ona założy przedszkole. I zaplanowaliśmy, jak będzie wyglądał nasz dom — wszystko to w czasie pierwszych dwóch lat studiów. Ellen miała trochę pieniędzy, więc wiedzieliśmy, na co nas stać. Przeznaczaliśmy nawet specjalne miejsce na mały teleskop. — Ellen dobrze znała moje wariactwo na punkcie gwiazd, sama zresztą też się nimi interesowała. — Ze wzruszenia jego głos przybrał głęboki odcień. — Po skończeniu studiów wybudowaliśmy dom, ja dostałem pracę nauczyciela, ona otworzyła przedszkole, wszystko tak, jak sobie zaplanowaliśmy, i przez całe lata nawet nie pomyślałem o żadnej innej kobiecie. — Na moment zamilkł

i zapatrzył się w daleki horyzont. — Wtedy zaczęła się wojna i poczułem, że powinienem wstąpić do marynarki. Wcale nie musiałem — mogłem pracować naukowo jako fizyk i dostałbym odroczenie służby. Ale czułem, że muszę iść do wojska. Nigdy ani ja, ani ona nie mieliśmy wątpliwości co do słuszności tej decyzji. Ellen powiedziała po prostu: „Żona nie ma prawa wymagać od męża, by żył tylko dla niej. Powinien obdarowywać swoimi talentami

nie tylko własną rodzinę, ale cały szeroki świat". — Stowell zakaszłał. — Tak właśnie powiedziała. Porucznik słuchał uważnie, czując, że Stowell wypowiadał teraz to, co długo w sobie tłumił i co w końcu musiał z siebie wyrzucić. Podziwiał spokój i opanowanie swego towarzysza.

— I cztery miesiące temu zginęła w wypadku samochodowym — zakończył Stowell.

Porter pragnął zdobyć na jakiś serdeczny gest współczucia, ale nie potrafił znaleźć słów. Nie usłyszał, gdy tamten zadał mu pytanie.

— Przepraszam? — ocknął się z zadumy.

— Czy wierzysz, że po śmierci coś jest? — powtórzył pytanie Stowell.

— Nie myślałem o tym za dużo — odrzekł z zakłopotaniem. — Szczerze mówiąc, jeśliby mnie przycisnąć, to nie sądzę, żebym w to wierzył.

— Czy naprawdę wydaje ci się, że śmierć może przerwać taki związek, jak mój z Ellen? — Nawet w tej chwili Stowell panował nad wzruszeniem.

Ton jego głosu sprawił Portera w zakłopotanie. Zazwyczaj nie wykraczał myślą poza dzień jutrzejszy albo co najwyżej poza kolejną przepustkę.

— Sądzę, że większość ludzi myśli tak jak ja — powiedział.

— I większość ludzi jest w błędzie — odparł Stowell z głęboką nutą triumfu w głosie. — Bo dopóki ja żyję, pamięć o Ellen nie umrze. Czasem ta myśl mnie uspokaja — że na swój sposób, w naszych własnych duszach, obdarzamy nieśmiertelnością osobę, którą kochaliśmy. A ze mną i z Ellen — to przetrwa nawet śmierć. — Mocnym ruchem wziął kolegę pod ramię i obrócił go ku burcie. — Spójrz

tam, na tę jasno świecącą gwiazdę. Wiesz, jak się nazywa? Pegaz. To była zawsze moja ulubiona gwiazda. Kiedy wyjeżdżałem, Ellen powiedziała — to typowe dla jej sposobu myślenia — „Każdej nocy popatrz na Pegaza, a ja zrobię to samo. Wówczas, choćbyśmy byli nawet o tysiące mil od siebie, przez moment znów będziemy blisko.”

Porter poczuł lekkie zakłopotanie. W głosie Stowella zabrzmiała nowa, stanowcza nuta. Hal zniżył głos:

— Od czasu, kiedy dowiedziałem się o jej śmierci, nie opuściłem ani jednej nocy i wciąż mam bardzo mocne uczucie, że ona stale jest tu, obok mnie, prawdziwa, taka sama jak zawsze: namacalnie, silnie czuję jej obecność.

Portera coś ścisnęło za gardło.

— Prawdopodobnie nie przekonam cię — dodał Stowell — ale wiem na pewno, że wciąż mam to, co w moim życiu było najcenniejsze: Ellen.

Porter był przekonany, że w momencie, gdy Hal wypowiadał te słowa, przestał zwracać uwagę, czy ktoś w ogóle go słucha. Rozmawiał teraz z ciemnogrnatowym niebem, nie z człowiekiem. Porucznik nie miał pojęcia, co powinien powiedzieć, i czuł się ogromnie nieswojo.

— Tak, będę szedł na dół. Dobranoc. I oddalił się, bardzo zakłopotany.

W pierwszej chwili zaczął się winić za wtykanie nosa w czyjeś osobiste sprawy. Pożałowawszy tego, jał zastanawiać się, co powinien teraz zrobić. W pierwszym odruchu chciał się udać po radę do lekarza okrętowego, ale tym bardziej byłoby to wtrącanie się w nie swoje sprawy. Na koniec doszedł do

wniosku, iż każdemu człowiekowi potrzeba do życia jakiegoś złudzenia. Po co więc w ogóle martwić się o Stowella? Nikt na niego nie narzeka, jest świetnym oficerem. Porter opuścił pokład, ze znużeniem kręcąc głową; nie miał daru rozstrzygania skomplikowanych problemów osobistych czy analizy stanów psychopatologicznych i dziękował losowi, że mu ich oszczędził.

Wszedł na schody wiodące do kwater oficerskich.

Nagle usłyszał, że ktoś się zbliża, i w ciszy zabrzmiał głos kobiety, która spytała go o jakiegoś marynarza. W nikłym, niebieskim świetle mignęła wysoka postać jasnowłosej dziewczyny.

Porter przetarł oczy dłońmi i na chwilę stracił równowagę, przerażony, że postradał zmysły. Kiedy rozejrzył się znowu, schody były puste. Wszedł do kabiny na chwiejnych nogach i usiadł na koi.

Jeszcze przed chwilą gotów byłjnyśleć o Stowellu jako o nieszkodliwym wariacie, który żyje złudzeniami. A oto teraz jemu samemu ukazała się zjawa! Siedział, wstrząśnięty, z zaciśniętym gardłem, i sam już nie wiedział, który z nich jest wariatem. Gdy Stowell wyrażał przekonanie, że jego żona tak naprawdę nie odeszła, Porter jedynie kręcił głową. Teraz stwierdził, że dopiero prawdziwym szaleństwem byłoby nie uznać zjawy za złudzenie optyczne, powstałe być może wskutek zbyt długiego patrzenia w niebo. Niewykluczone, że tak samo należało tłumaczyć przywidzenia jego towarzysza.

Porucznik położył się spać. Kręcąc się niespokojnie na łóżku, nie dopuszczał do siebie myśli, że Stowell mógł mieć rację, bez względu na to, czy rzeczywiście na schodach pod pokład ukazał się

czyjs cień i rozległ ciepły kobiecy głos. Przyznać słuszość Stowellowi, znaczyłoby tyle, co poszerzyć granice prawdziwego, przytulnego, wytłumaczalnego świata o to, co nieznanne, nieskończone, spowite mrokiem. Mimo woli jednak do duszy wkradły mu się wątpliwości, które gorąco pragnął rozstrzygnąć. I wpadł na pomysł, że może zadać Halowi pewne pytanie, by ostatecznie przekonać się o tym, czy zjawia jasnowłosej kobiety jest tylko grą wyobraźni. Leżał, czuwając, aż w końcu Stowell wrócił do kabiny.

— Hej, Hal!

— Wielkie nieba, ty jeszcze nie śpisz?

— Rozmyślałem o tym, co mówiłeś na pokładzie — wyjaśnił Porter, starając się nadać swemu głosowi zwyczajne brzmienie. — Po tym, co powiedziałaś, twoja żona wydała mi się kimś bardzo rzeczywistym. Żałuję, że jej nie poznałem. — Po tym wstępie spytał: — Jak wyglądała? Miał nadzieję, że padnie odpowiedź, którą pragnął usłyszeć. Lecz usłyszał co innego.

— Była wysoka, jasną blondynką — powiedział Stowell.

— A ja myślałem, że niską brunetką.

— Nie. Wysoka blondynka. Dobranoc.

Zbity z tropu, przygnębiony Porter leżał zwinięty pod kocem; żałował, że zaczął rozmowę ze Stowel-lem i marzył o tym, by znów znaleźć się w swoim małym, jasnym, określonym światku, oddzielonym wyraźną i ostrą granicą od bezmiernej, niepokojącej ciemności.

Pamiętacie Tarawę i Okinawę? Pewnie, nie **sposób** o nich zapomnieć.

Ludzie, którzy tam zginęli, spoczywają teraz w spokoju, a ich dusze radują się pewnie, że pamięć o nich nie zaginęła...

A Ulithi, Majuro, Abemama, Emirau? Zdobywaliśmy i tamte miejsca, walcząc o każdą piędź piaszczystej ziemi, i wielu żołnierzy poległo na tamtejszych plażach, podobnie jak w Iwo.

Spoczywają teraz na owych zapomnianych wyspach, zasypani piachem na wieki, a ich przyjaciele, którzy poszli walczyć w inne miejsca, spoczywają na innych plażach... Te wszystkie małe bitwy, okruchy wielkiej wojny — któż dzisiaj o nich pamięta prócz oficerów sztabowych i pogrążonych w bólu matek...

Na jedną z takich właśnie wysp płynął transportowiec *Morton*, załadowany po brzegi żołnierzami piechoty morskiej. Byli wszędzie, na wszystkich pokładach i w ładowniach, stłoczeni niczym śledzie w beczce. *Morton* płynął w konwoju kursem na Katanę, małą wysepkę, którą można *znaleźć* tylko na mapie wojskowej. Wysepkę tę trzeba było odbić, gdyż znajdowało się na niej lądowisko.

Ładownię na drugim pokładzie wypełniały płócienne koje. Na jednym z górnych łóżek leżał Bill Gorman, młody żołnierz piechoty morskiej.

Pod nim siedziała gawędząc czwórka jego towarzyszy. Mniejsza o ich nazwiska. Dziś znajdziesz ich

wszystkich na białym, piaszczystym cmentarzu Katany.

— Słyszałem, jak jeden pilot, co wykonywał lot zwiadowczy nad Kataną, mówił, że nigdy nie widział tylu dział tak ciasno ustawionych jedno przy drugim.

— Jakiś czubek. To były pewnie pnie palm kokosowych.

Dziewiętnastoletni Gorman nie posiadał się z dumy, że jest w piechocie morskiej. Przez wszystkie cztery lata gimnazjum nie dawał rodzicom chwili spokoju: wciąż marzył o wstąpieniu do marines. Teraz wreszcie jego marzenie się ziściło; już jutro o świcie przekona się, czy jest dobrym żołnierzem.

Dookoła leżało w ciemnościach czterystu takich jak on. Od czasu do czasu skrzypnęła jakaś koja. W pomieszczeniu brzęczało jak w ulu od gwaru tysiąca rozmów i warkotu wentylatorów.

Gorman słyszał mimo woli, co mówią ci pod nim, lecz znacznie żywiej obchodziły go własne myśli.

— Wiecie co, dziwne, że nie powiedzieli nam ani słowa o tym, jakie czeka nas lądowanie.

— To może znaczyć, że wszystko pójdzie jak po maśle.

— Powiedzieliby nam przecież, gdyby przypuszczali, że będzie gorąco.

— Po co? Tak czy siak, jakoś musimy sobie poradzić.

— Jasne.

Gorman kręcił się na twardej płóciennej koi, usiłując znaleźć możliwie wygodną pozycję dla zmęczonego, obolałego grzbietu.

I oto gdzie teraz jest — w ładowni transportowca. By trafić tu w końcu, musiał przejść ciężkie cwi-

czenia na wyspie Parrisa i w hawajskiej puszczy. Po tej drodze stapał krokiem pewnym i radosnym.

Najpierw spokojne, stabilne życie na farmie — teraz **po**wolne, miarowe kołysanie transportowca.

— Jakiś koleś mówił mi, że lada dzień żółtki **mo**gą użyć gazu.

— E tam, brednie.

— A co mają do stracenia? Jeżeli mają gaz, a założę się, że mają, to dlaczego nie mieliby go użyć? Co mają do stracenia? Jeśli mają sposób na robienie gazu...

— No jasne, mają niczego sobie sposób na nic-nie-robienie.

Ktoś się roześmiał.

— Jeżeli użyją gazu, to postawimy na plaży faceta z taką wielką gębą jak twoja, każemy mu rozdziawić paszczę, nabrać tego całego gazu w miechy, nadać się i wydmuchać go na nich z powrotem.

— E tam, brednie.

Gorman ułożył się wreszcie na łóżku i przestał się wiercić. Wyjął z kieszeni gumę do żucia. Obojętny na dochodzącą z dołu rozmowę, wsłuchiwał się w odgłosy statku. Na razie nie umiał jeszcze czuć się tutaj całkiem swobodnie. Za to na ziemi znał wszystko — słyszał ją i czuł, czy to było błoto, czy piach, bita droga czy świeżo wykopany rów.

— Tak sobie myślę, że jeżeli kula nosi twoje imię, dostanie się właśnie tobie.

— Poważnie, sam to sobie wymyśliłeś, nikt ci nie pomógł?

— Może skośnoocy mają tylko anonimowe kule.

— E tam, brednie.

174 — W pogoni za miłością

177

Wśród myśli, które chodziły Gormanowi po głowie wąskimi, wydeptanymi ścieżkami, była jedna, powracająca bez ustanku: podróż transportowcem na zachód, z kursem na Katanę, to jakby koniec, zamknięcie czegoś. Niczego więcej już się nie dowie i nie nauczy. Wszystko, czego nie poznał, na zawsze pozostanie mu nie znane. Oto, jak miały się sprawy.

— No, w każdym razie nie musimy się martwić o pogodę!

— Piechota morska powinna troszczyć się o wszystko, kochasiu.

— Po tym wycisku, jaki dali nam na Wyspie Par-risa, kto by się martwił o pogodę?

— No!

Gdzieś w głębi duszy Gormana tkwiło uczucie, które nie dawało mu spokoju. Ileż to razy o zmroku miał wrażenie, że przez to wszystko już kiedyś przechodził, naturalnie nie przez to samo namacalne doznanie leżenia pod pokładem, ale miał jakieś dziwne uczucie, że ponownie przeżywa teraz to, co zdarzyło się już wcześniej.

— Wiecie, te ataki. Oni naprawdę wysyłają na wyspę masę sprzętu.

— No!

— Strasznie dużo statków. Żółtki gotowe pomyśleć, że zamierzamy skopać wyspę, załadować ziemię łopatami na pokład i wywieźć w diabły.

— Do licha, to by był dobry pomysł.

Prawie cały wieczór Gorman próbował dociec, skąd pochodzi owo wrażenie powtarzania się czegoś i czemu wydaje mu się ono tak rzeczywiste. Na pewno nie chodziło o powtarzające się czynności podczas treningów: wielokrotne ćwiczenie tych sa-

mych ruchów, zsuwanie się po drabince sznurowej, przechył, wślizgiwanie się do łodzi, ciche wiosłowanie do brzegu. To wszystko było uczestnictwem w pewnej grze i nie wzbudzało żadnych głębszych refleksji, a już na pewno nie miało żadnego związku z nieuchwytnym cieniem zagadkowego wspomnienia.

— Jak myślicie, ile jest tych przeklętych wysp?

— Od groma.

— Czy piechota morska ma je wszystkie zająć? Dlaczego, psiakrew, od razu nie władują całej siły w jedno porządne uderzenie na Tokio?

— Znalazł się mądry! Wielki strateg, co nawet nie umiał dobiec do bazy, kiedyśmy w sobotę grali w baseball.

Słowo „baseball” wywołało w pamięci Gormana żywy, wyrazisty obraz szkoły; natychmiast uświadomił sobie, że właśnie tam przeżył już to, czego ponownie doświadcza teraz; napięcie oczekiwania, wmawianie sobie, że jest się wolnym od zdenerwowania, choć przecież czuł je tak wyraźnie — w sobie, w głosach otaczających go ludzi. Tak! Jego rodzinne strony, uroczystość ukończenia szkoły! Głupie porównanie z obecną chwilą, ale jakże prawdziwe, jakże trafne! Tyle podobieństw — nawet to śmieszne pocenie się dłoni — wszędzie, także między palcami.

— Znam faceta, co schodził na ląd w Tarawie i opowiadał, że jego sprzęt utkwiał w rafie, więc musiał przepłynąć ze dwieście metrów.

— Rany, ale bym się wściekł. Nie cierpię łązić w mokrym ubraniu.

— Jak utkniesz w rafie, to ciesz się, że w ogóle żyjesz i możesz chodzić.

Tak! Uroczystość ukończenia gimnazjum. To samo uczucie, że coś dobiegło końca i człowiek osiągnął etap, kiedy umie wszystko to, czego powinien się nauczyć. Żadnych więcej wykładów, żadnych lekcji. Takie samo uczucie, jakby stanęło się na brzegu urwiska, skąd roztacza się widok na spowity mgłą nieokreślony świat. Takie samo poczucie bliskości z przyjaciółmi, zespolenie grupy silną więzią, i takie samo wrażenie, że w pewnym momencie owa więź ulegnie zerwaniu i już nigdy więcej ich świat nie będzie taki jak dawniej.

— Chłopaki, co wylądowali na Tarawie...

— Do diabła z Tarawą, jutro nie będziemy na żadnej Tarawie.

— ...trafili na taki dziwny grunt, że nie mogli rozpocząć akcji.

— Myślisz, że Japońcy maczali w tym palce? Przygotowania do uroczystości ukończenia szkoły zaczęły się o dziesiątej rano w nawie kościoła Łaski Pańskiej, gdyż aula gimnazjum nie pomieściłaby tylu osób. Przygotowania te stanęły Gormanowi przed oczyma tak żywo, tak wyraźnie, jakby odbyły się nie przed rokiem, a zaledwie wczoraj. Ustalanie, jaki kwiatek przypiąć do klapy, dyskusja, w co się ubrać. Zdecydowali się na błękitne marynarki z serży i białe flanelowe spodnie. Pamiętał, że bardzo długo stał przed lustrem, nie wiedząc, którą z dwóch muszek wybrać, że wielką przyjemność sprawiało mu patrzenie na własne odbicie i że całą siłą woli tłumił, w sobie to uczucie. Pamiętał swoje zmartwienie, gdy spostrzegł, że fałdka na lewej nogawce jego nowych białych spodni zdefasonowała nieco mankiet, tak że przesunął się troszkę na bok; pamiętał, jak liczył na to, że nikt tego nie zauważy.

— Jutro, jak już flota zrobi swoje, dobrze będzie, jeżeli w ogóle zostanie choć kawałek wyspy, żeby na nim wylądować.

— Taak? A w Tarawę walili Bóg wie ile dni.

— W Katanę kropią już od dwóch tygodni i używają jeszcze więcej okrętów i pocisków.

— Ale marynarka ma teraz taki typ pocisku, który jest uczulony na żółtków i goni ich tak długo, aż ich w końcu dopadnie.

Cały ostatni rok zebrał się w sali szkoły niedzielnej. Gorman wspominał teraz, jak zastanawiał się, czy, wystrojony w marynarkę i flanelowe spodnie, nie porusza się równie sztywno i nienaturalnie jak inni chłopcy. Wszyscy żartowali z siebie nawzajem, w czym on sam brał szczególnie aktywny udział. Miał wygłaszać mowę pożegnalną i chłopcy drażnili się z nim bez przerwy: „Rety, ale się będziesz kiepsko czuł, jak coś schrząnisz”. Albo: „Nawet nie wiesz, co to za straszne uczucie stanąć i gadać do wszystkich. Lepiej w ogóle nie próbuj”.

— Słyszałem, że Szkopy wysłali Japończykom wszystkie plany nie dokończonej broni i Japońcy teraz nad nią pracują.

— No jasne. Między innymi ten plan o kryptonimie BRB.

— Co to takiego?

— Boziu, Ratuj, Boli! Czyli to, co krzyczy Japonec, jak go trafi nasz miotacz ognia!

Rankiem, przed uroczystym ukończeniem szkoły, Gorman dziesiątki razy powtarzał swoją mowę.

Wstęp był trudny, brzmiał tak: „Szanowny panie Coolson (tak się nazywał dyrektor), szanowny panie kongresmenie (miał on także wygłosić mowę), szanowni

członkowie wydziału, członkowie naszych rodzin, szanowni koledzy studenci!" Ledwie pomyślał, że coś może mu się pomylić na samym początku, omal nie zapomniał wymienić jednej z grup. Dalej następowało: „Dzisiaj stajemy na progu — progu, po którego przekroczeniu wstąpimy na drogę życia". Nawet teraz, tu, na statku kołyszącym się leniwie na spokojnych wodach, Gorman pamiętał prawie każde słowo. Mowa kończyła się tak: „Zebraliśmy się więc tutaj po to, by wypowiedzieć słowa pożegnania. O wiele lepiej jednak będzie, jak sądzę, jeśli zamiast tego powiemy: «Witajcie, oto jesteśmy gotowi!"

— Ciekawe, ile to wszystko ma potrwać według planu.

— Pewnie nie dłużej niż tydzień.

— Cały tydzień na odbicie takiego gówienka?

— Nigdy nie wiadomo, jak czasem gorąco...

— Hej, wy tam, zamknijcie się wreszcie i przestańcie biadolić! — zawołał ktoś z góry.

— A kto tu, do diabła, biadoli?! — odpowiedziały mu cztery głosy na raz.

Cała jego klasa, wspominał Gorman, wkroczyła na podium i usiadła w ławkach, i każdy spoglądał ukradkiem, co jego kolega robi z rękami. Chór odśpiewał pieśń, a dyrektor wygłosił doskonale przygotowany wstęp. Następnie przedstawił kongresmena Kineya. Właśnie w tym momencie Gorman naprawdę zaczął się denerwować. Nie wiedział, co zrobić ze spoconymi dłońmi — nie mógł przecież wytrzeć ich o spodnie, chusteczka zaś, troskliwie wetknięta przez matkę w kieszeń jego marynarki, była nietykalną ozdobą. Każde donośne słowo kongresmena, wypełniające

ogromną salę aż po zdobiony freskami sufit, **przybliżało** nieubłaganie chwilę, kiedy on, Gorman, **będzie** musiał wstać i wyjść do przodu. Miał, **co** prawda, tylko trzy kroki, ale przecież nawet **trzy** kroki wystarczą, żeby się potknął i runął na podłogę jak długi.

— Jasne, wszyscy nam mówią, że nie będzie gorąco, ale wobec tego chciałbym wiedzieć jedno: jeżeli ma być tak łatwo, to czemu, u diabła, posyłają tam tyle ludzi?

— Nigdy nie widziałem tylu statków w jednej akcji. Może przewidują, że będzie gorąco.

— E, to jeszcze niczego nie dowodzi. Pewnie po prostu zależy im na czasie.

— Tak, tak, ale może wiedzą coś, o czym nam nie powiedzieli.

— E tam, bzdury.

Właśnie tu, na transportowcu, Gorman czuł to samo napięcie oczekiwania, có wtedy, w dniu uroczystego ukończenia szkoły. Jego przemówienie wypadło dobrze, wszyscy tak twierdzili.

Gdy wreszcie udało się pochwycić i rozpoznać ów nieokreślony dotąd cień raz już doznanego przeżycia, Gorman poczuł ulgę i wyciągnął się na koi zupełnie odprężony. Jutrzejszy ranek będzie niczym innym jak powtórką dnia promocji. I wspomnienie tego dnia umocniło w nim spokój i wiarę w samego siebie.

Poleżawszy chwilę, usiadł na koi, przy czym tak gwałtownie machnął nogami, że rąbnął piętą w głowę jednego z siedzących na dole żołnierzy.

— Co jest, do cholery?!

— Dokąd się wybierasz, do kina?

— Idę się odlać — rzekł Gorman.

— To użyj hełmu.

Przeciskając się pomiędzy wyciągniętymi ciałami, dotarł do zejścia pod pokład. Zszedł chwiejnym krokiem po nie oświetlonych schodach i zagłębił się w długi, mroczny korytarz. Szedł wolno, po omacku.

Nagle wydało mu się, że wpadł na kogoś.

— Przepraszam bardzo, czy nie ma tu przypadkiem marynarza o nazwisku Johnny Smith, z Południowej Dakoty? — usłyszał ciepły kobiecy głos.

— Co? Co takiego? — Gorman był zbyt zdumiony, by usłyszeć własny głos, dziwnie piskliwy, jakby nie jego.

W okamgnieniu zrobił gwałtowny zwrot i prawie pobiegł z powrotem do ładowni. Przecisnął się do swojej koi i szybko wdrapał na górę.

— Zgadnijcie, na kogo wpadłem w korytarzu — szepnął do kolegów, spuszczać głowę w dół. — Na kobietę.

— Co ty do diabła wygadujesz?

— Jak Boga kocham, na kobietę. Miała wspaniały głos: nigdy przedtem takiego nie słyszałem.

— Opanuj się, człowieku, nie jest jeszcze tak źle, żebyś świrował.

— Ale nie, słowo daję — zaklinał się Gorman. — To była jakaś babka. I pytała mnie, czy nie znam marynarza nazwiskiem Johnny Smith.

— Ładna?

— Piękna jak diabli — odrzekł z przejęciem.

— Może to była jakaś pielęgniarzka?

— Niemożliwe — odezwał się ktoś. — One wszystkie przeniosły się na statki szpitalne. Dziś po południu widziałem, jak wsiadały.

— To nie mogła być żadna babka — rozległ się jeszcze inny głos. — Psiakrew, widzieliśmy przecież

wszystkich, co wchodzili na ten statek i na **trapie** nie było żadnych kobiet.

— A kapitana widziałeś, jak wchodził na **pokład**? — spytał Gorman ze złością.

— Nie, nie widziałem. A co to, u licha, ma do rzeczy?

— Jeśli go nie widziałeś, czy to oznacza, że **go** nie ma na pokładzie?

— A więc na statku jest babka — dodał ktoś. — No i co z tego? Jedna babka i dziewięciuset żołnierzy.

Rany boskie, ale proporcja!

— I jakie szanse ma zwykły żołnierz przy tych waśniakach z dowództwa na górze?

Gorman zastanawiał się nad czymś intensywnie. W końcu wpadł na pomysł.

— Wiecie, co myślę? Mówiłem wam, no nie, że ona miała bardzo piękny głos. Taki, jak czasem słyszy się w filmie, kiedy pod koniec dziewczyna mówi do chłopaka: „Ja też cię kocham^ Wallace.” Założę się, że ta dziewczyna na pokładzie to gwiazda filmowa.

— Teraz widać, że kopnięty.

— Założę się, że na pokładzie jest jednostka U.S.O. — ciągnął coraz bardziej przejęty. Przerwał na chwilę, by nacieszyć się tą myślą, i zaraz przyszedł mu do głowy następny pomysł: — Fakt, że jest tu kobieta, powinien wam, chłopaki, zamknąć gęby — tym wszystkim, co się martwią, że jutro będzie gorąco.

— Może ma rację, jeśli naprawdę zobaczył kobietę — przyznał ktoś bez entuzjazmu.

U.S.O. — United Service Organization — organizacja ochotnicza, działająca w USA w czasie II wojny światowej, zajmująca się organizowaniem rozrywek dla armii: przedstawień, zabaw tanecznych itd. — przyp. tłum.

— Pewnie, że mam — odrzekł Gorman z przekonaniem. — Gdyby jutro miało być gorąco, to przecież nie braliby na pokład babki z U.S.O., no nie?

Ktoś zauważył w zadumie:

— Mam nadzieję, że to nie Joan Crawford. Ona za bardzo przypomina mi dziewczynę, która mnie rzuciła.

Gorman rozkosznie wyciągnął się na łóżku.

— Nie mam zielonego pojęcia, kto to mógł być. — Po raz pierwszy poczuł, że wreszcie będzie mu się dobrze spało. — Wszystko mi jedno, dla mnie to może być nawet Zasu Pitts.

Jakiś żołnierz ziewnął głośno i powiedział:

— Jasne, co za różnica, grunt, żeby to była kobieta.

* * *

Kapitan był zmęczony — zmęczony do granic ludzkiej wytrzymałości. Czuł się tak wyczerpany, że nawet sen nie przyniósłby mu wytchnienia. Skończyła się właśnie wielka operacja; oddział specjalny, wspierający atak, powrócił do bazy. Zakotwiczone statki wyglądały jak zabawki rozrzucone na podłodze dziecinnego pokoju.

Wieczorem odbyła się narada na okręcie admiralskim, a teraz kapitan płynął motorówką na pokład swojego statku. Nareszcie mógł poddać się zmęczeniu: siedział zgarbiony i milczał. Przez cały czas, kiedy jego statek był w akcji, jak zwykle nie opuszczał mostku. I w końcu, gdy nadszedł moment

odpoczynku, coś się w nim zacięło i nerwy, **napięte** jak struny, nie chciały się rozluźnić. Obok siedział Lohrman, jego adiutant. Ponieważ kapitan nic nie mówił, wszyscy pozostali też milczeli. Słyszać było tylko monotonny warkot silnika łódki sunącej po gładkiej tafli wody. Niedaleko, w złotej poświacie gwiazd i srebrnej księżyca, stał statek kapitana, *Floryda*.

Nagle kapitan zapytał Lohrmana:

— Kapitan fregaty Mitchell był dziś wieczór jak zwykle w dobrej formie, prawda?

— Tak, niektóre jego historie są całkiem niezłe. Nigdy nie zapomnę, jak opowiadał o tej sprytniej pannie z Nowego Jorku, co z jednego wilka uzyskała sześć skór, i to w dodatku lisich.

— Założę się, że będziesz o tym opowiadał przez następne dziesięć lat — uciał kapitan. — Ale mnie interesuje inna rzecz: historia o tej dziewczynie, którą podobno widziano na wielu różnych statkach.

— W chwilach nerwowego napięcia ludziom przywidują się różne dziwne rzeczy — powiedział Lohrman. — Jeżeli ktoś bardzo pragnie kobiety, to nie trzeba znów tak dużo wyobraźni, żeby mu się ukazała.

Nie przekonało to kapitana.

— Jestem pewien, że coś w tym musi być. Słyszałem już przedtem podobne historie. W morzu zawsze kryją się tajemnice i różne cuda. — Zamilkł na chwilę. — Pamiętam, jak byłem młodszym oficerem na *Nowym Jorku*, trzydzieści pięć lat temu! — Zaśmiał się cicho do jakiegoś wspomnienia. — To za długa historia, żebym ją teraz opowiadał. W każdym razie w tym, co mówił Mitchell, intere-

suje mnie jedno: podobno wszyscy ci, którzy widzieli dziewczynę, byli zgodni co do dwóch szczegółów, że miała blond włosy i miły głos. Cóż, myślę, że marynarz tego właśnie pragnie najbardziej: zobaczyć jasne włosy kobiety i usłyszeć łagodny kobiecy głos. Prawdę mówiąc — dodał cicho, niemal tęsknie — wcale nie byłoby źle zobaczyć kobietę, co?

— Jakąkolwiek kobietę — odparł ponuro Lohr-man.

Kapitan roześmiał się.

— No właśnie, wojska lądowe mają nad marynarką tę jedną przewagę: żołnierze nie są tak daleko od kobiet jak my.

Motorówka przycumowała do drabinki; kapitan szybko wspiął się po niej, odsalutował oficerowi na pokładzie i śpiesznie poszedł do swej kabiny.

Było to przyjemne pomieszczenie, utrzymane w tonacji brązu i zieleni, wygodne i przestronne jak w domu.

Służący Filipińczyk naszykował już szlafrok i piżamę. Na lekkim dębowym biurku, stojącym przy ukrytym pod zasłoną iluminatorze, piętrzyły się listy, czasopisma i gazety, które świeżo nadeszły ze Stanów. Obok, na komodzie, stały fotografie rodziny kapitana: dostojnej, siwowłosej żony, przepięknej córki i syna, młodego oficera marynarki.

Kapitan zdjął mundur, narzucił szlafrok i sięgnął po pocztę. Najpierw otworzył list od żony. Zagłębił się w wygodnym, zielonym fotelu ze skóry i przeniósł myślą na czerwone, gliniaste wybrzeże wschodniego Marylandu, z drzewami, trawą — ze wszystkimi tymi prostymi, bliskimi sercu radościami-

mi, które budziło w nim zawsze wspomnienie **n**iskiego białego domu z ogrodem.

List zawierał, jak zwykle zresztą, coś więcej niż tylko suche sprawozdanie. W Waszyngtonie upał, służba wyjechała, to i to zdarzyło się w domu, tych i tych syn został uznany za zaginionego, żona admirała Coringa nie czuje się najlepiej, znajomi z Annapolis przyjechali na weekend. W sumie niewiele wiadomości, ale żona pisała prawie codziennie i miała wspaniały dar oddawania piórem tak żywego, tak prawdziwego wizerunku domu, iż przez chwilę kapitan odnosił wrażenie, że siedzi w salonie, owiany ciepłym letnim wietrzykiem wiejącym od strony sadu i ogrodu.

Pogodny, domowy nastrój kapitana zmąciła pewna myśl, która w ostatnich tygodniach powracała coraz częściej. Nie była to radosna myśl i kapitan utrzymywał ją w tajemnicy. Niepokoila go do tego stopnia, że zastanawiał się niekiedy, czy jest przy zdrowych zmysłach.

Do 1942 roku przez trzydzieści pięć lat służył na zmianę albo na morzu albo, i to niestety częściej, na lądzie, w Waszyngtonie. Przed wybuchem wojny myśl o dowodzeniu i o nieustających operacjach morskich była czymś tak odległym, że nigdy nie zaprzętał sobie nią głowy. Natomiast ostatnie dwa lata były okresem intensywnej działalności: jedna bitwa za drugą, z przerwami, które trwały wystarczająco długo, by uzupełnić zapas paliwa i żywności, lecz nie dość długo, by odnowić zapas sił przemęczonego człowieka. Nie wyobrażał sobie w tej chwili większego szczęścia niż znaleźć się w domu, z dala od straszliwego ciężaru odpowiedzialności za

tysiące ludzi, ciężaru, który im dłużej na nim spoczywał, tym trudniejszy był do udźwignięcia. Świadomość odpowiedzialności była dla kapitana czymś nowym i męczącym. Czuł, że dokonuje się w nim zmiana i zastanawiał się, czy inni ją dostrzegają. Jeśli okaże się, że zmienił się w sposób stały i zasadniczy, jedynym honorowym wyjściem będzie zrezygnować ze służby na morzu i prosić o przeniesienie na ląd.

Tak rozmyślając usłyszał szmer przy drzwiach, lecz nie spojrzał w ich stronę. Ogarnęło go wielkie zmęczenie i nie miał nawet siły, by podnieść głowę.

O tej porze przychodził zwykle służący Filipińczyk po ostatnie polecenia.

— To wszystko na dziś, Jose, dobranoc — rzucił w stronę drzwi.

Ale drzwi otworzyły się. Kapitan podniósł oczy

i drgnął, zaskoczony. Przy wejściu stała dziewczyna. — Przepraszam, czy nie ma na pańskim statku marynarza Johnny'ego Smitha z Południowej Dakoty?

— Nie wiem — odrzekł kapitan bardzo serdecznym tonem. — Ale może pani wejdzie?

Katie wciąż stała nieśmiało w drzwiach, gotowa w każdej chwili poderwać się do ucieczki.

— Słyszałem o tobie, moje dziecko — powiedział kapitan. — Ale widzę, że Mitchell wcale cię dobrze nie opisał. Usiądź, proszę, i powiedz mi, jak się tu dostałaś i czego ode mnie oczekujesz.

Wciąż niezdecydowanie stała w drzwiach.

— Proszę, zostań na chwilę. Słyszałem, że zadajesz tylko jedno pytanie, czekasz na odpowiedź — i zaraz znikasz.

Dziewczyna potwierdziła skinieniem głowy.

— Najpierw powiedz mi, w jaki sposób zjawiasz się na statkach.

Katie wyjaśniła mu w krótkich słowach, a kapitan słuchał w zadumie.

— To chyba przyjemnie być pod takim urokiem. Czy nie użyczyłabyś mi go na jeden wieczór? W Marylandzie jest miejsce, które chciałbym odwiedzić. — Uśmiechnął się. — Och, nie przejmuj się tak. Widzisz, dziecino, nazywam się O'Reilly i też wierzę w czary, jak każdy stary marynarz. Gdyby nie czary, a czasami nawet cuda, Bóg jeden wie, co by się stało z marynarką...

Katie nie odpowiadała.

— Jak się nazywa marynarz, którego szukasz?

— Johnny, Johnny Smith z Południowej Dakoty.

— Hmm, dość często spotykane nazwisko — rzekł kapitan O'Reilly. — Ale spróbuję pomóc ci go odszukać. Czy wiesz, na jakim jest statku i co robi? Powiedz mi, jak się spotkaliście.

Wciąż stojąc w drzwiach, Katie zdała krótką relację ze spotkania z Johnnym.

Kapitan sięgnął do szuflady biurka po papier i ołówek.

— To może okazać się wcale nie takie trudne. Czy pamiętasz dokładnie datę waszego spotkania?

— Siódmego lipca.

— Jedyne, co musimy teraz zrobić — rzekł O'Reilly wzbudzającym zaufanie tonem — to dowiedzieć się, który statek zawinął do Brooklynu wczesnym rankiem i odpłynął tego samego dnia. To wyeliminuje nam cały szereg jednostek i znacznie ograniczy pole poszukiwań. Potem napiszemy do Biura Spraw Personalnych Marynarki Wojennej w Waszyngtonie.

Po raz pierwszy Katie uśmiechnęła się i nabrała nieco śmiałości.

— Czy naprawdę będzie pan tak uprzejmy, żeby to dla mnie zrobić?

Kapitan spojrzał na nią uważnie.

— Szczęściarz z tego marynarza. Ale, ale, czy jesteś pewna, że on chce, żeby go odnaleźć? Znam wielu, wielu marynarzy, którzy wyruszają w morze, by uciec od takich spraw.

— On na pewno się odezwie; gdybym tylko wiedziała, pod jaki adres pisać — odparła Katie.

— Dobrze więc — powiedział łagodnie O'Reilly. Spytał dziewczynę o jej adres, zanotował, po czym rzekł: — Obiecuję, że ci pomogę, ale chcę, żebyś i ty mi coś obiecała.

— Tak, słucham?

— Musisz mi przyrzec, dziecko, że zaprzestaniesz poszukiwań. Od tej chwili śpij w nocy spokojnie i nie nawiedzaj już marynarzy. Czy możesz mi to przyrzec?

Katie zawahała się przez moment.

— Obiecuję — powiedziała w końcu.

— Wiele widziałaś statków, prawda?

— Tak — zgodziła się Katie.

— Mało kto widział tyle, co ty. Pewnie nawet ja tyle nie widziałem. — I dodał z powagą: — Jeśli będą cię pytać, co zobaczyłaś, powiedz im. Powiedz, że okrutny i podły jest świat, który zmusza ludzi, by byli tak dzielni, jak nasi marynarze. Może ty i twój Johnny będziecie mogli żyć w mądrzej urządzonym świecie... — Uśmiechnął się. — W takim świecie, w którym zawsze jest blisko do domu.

Wstał z krzesła. Lecz zanim zdążył zrobić krok w jej kierunku — uciekła. Pobiegł za nią w stronę

zejścia pod pokład. Silny podmuch orzeźwiającego powietrza zwiął z niego resztki zmęczenia.

Wrócił do kabiny, usiadł i popatrzył w notatki. Następnie wezwał Lohrmana, swego adiutanta.

— Wybacz, że ci przeszkadzam o tej porze — powiedział — ale chciałem się z tobą zobaczyć. Pamiętasz tę dziewczynę, o której opowiadał Mitchell? Przed chwilą właśnie tu była.

Lohrman drgnął, usłyszawszy te słowa.

— Rozmawialiśmy dość długo — ciągnął O'Reilly. I opowiedział szczegółowo o wizycie dziewczyny,

od czasu do czasu spoglądając na twarz tamtego.

Adiutant nie dał po sobie nic poznać, lecz kiedy dowódca skończył, rzekł:

— Proszę mi wybaczyć te słowa, ale kiedy się rozstawaliśmy, był pan straszliwie wyczerpany, kapitanie. Od kilku dni jest pan bardzo zmęczony.

— To prawda — zgodził się O'Reilly.

— Historia o tej dziewczynie chodziła panu po głowie. Wydaje mi się, że usiadł pan, usnął...

— I miałem sen? — Twarz kapitana wyrażała zatroskanie. — Tak też sobie pomyślałem, jeszcze zanim wezwałem ciebie, tam na schodach pod pokład, kiedy powiało na mnie chłodem...

— Naturalnie — odparł Lohrman z dziwną ulgą w głosie. — Tak właśnie było.

— Przyznaję, że to z pewnością był sen — rzekł O'Reilly. — Ale w takim razie, jakim cudem zapisałem nazwisko tej dziwnej dziewczyny i jej adres?

Lohrman potrafił zachować kamienną twarz, lecz zdradził go ton głosu:

— Kapitanie, doprawdy... O'Reilly pokiwał głową.

190 — W pogoni za miłością

193

— Jeśli zaczynam mieć przywidzenia, to, niestety, zdaje się, że wiem, jakie powinno być moje następne posunięcie. Wygląda na to, że utraciłem zdolność dowodzenia.

Myśli Lohrmana odbiły się teraz na jego twarzy.

— Na pewno to się panu przyśniło.

— Szczerze mówiąc, nie wiem — odrzekł O'Reilly zdecydowanym głosem. — Ale wiem, że jedno zrobię na pewno. Powiedzmy, że wyślemy do Wywiadu Marynarki w Waszyngtonie depezę z prośbą o sprawdzenie adresu tej dziewczyny. Jeżeli ona rzeczywiście tam mieszka, jeżeli w ogóle jest taka osoba, będzie to znaczyć, że jeszcze nie popadłem w starcze urojenia. — Po chwili dodał, równie stanowczo: — Ale jeśli nie odnajdą takiej osoby, wtedy natychmiast wystąpię z prośbą o emeryturę albo o przeniesienie na ląd.

Dwa dni później O'Reilly, uśmiechnięty od ucha do ucha, pokazał Lohrmanowi odpowiedź z Waszyngtonu. Brzmiała ona: „Katie Morrison mieszka w Brooklynie przy York Street pod numerem 183.”

* * *

Statki remontowe: możesz je nazwać najlichszymi, najmniej znaczącymi wśród jednostek pływających w całej flocie, a ich załoga i tak się tym nie przejmie. Byłeś jej stamtąd nie ruszał. O statkach remontowych nie pisze się na pierwszych stronach gazet, ba, nawet nie zamieszcza się komunikatów. Kiedy jeden z nich zostanie trafiony, nazywa się go w de-

peszy „małym statkiem pomocniczym”. Pięknością też bynajmniej nie grzeszą: małe, przysadziste, **powolne**, wyglądają jak pływające garaże. A przecież żadna flota bez nich się nie obejdzie. Uzbrojone **są** słabo, gdyż mają za zadanie trzymać się z dala **od** pola bitwy. Kilka boforsów, po jednym trzycalowym działku na dziobie i rufie; bywa, że jeszcze parę działek, a bywa, że nie. Marynarz, wyznaczony do pełnienia służby na takim statku, rzuci okiem i gwizdnie tylko: „Fiu, fiu, to dopiero pływająca szopa: piekielnie dużo walk zobaczy się z pokładu.”

Lecz niech nikt nie próbuje umniejszać ich znaczenia. W swej codziennej, rutynowej pracy dokonują prawdziwych cudów: od wycinania stalowych łąt na dziury po torpedach, poprzez mistrzowskie szlifowanie wałów korbowych i przewijanie prądnicy — po naprawianie elektrycznej maszynki do golenia dla kapitana.

Statek remontowy *Corder*, płynąc na zachód z prędkością czterech węzłów, nie wykonywał swych rutynowych zadań. Niebezpiecznie przechylony w lewo, był w stanie, który najlepiej określa powiedzenie: „Lekarzu, lecz się sam”. Mina morska albo torpeda urwała mu przeszło sześciometrowy kawał lewej burty. Stało się to o świcie; statek leżał teraz na wodzie jak raniona w pierś kaczka i z trudem płynął do brzegu.

Kapitan utrzymywał na pokładzie idealny porządek i dyscyplinę; wspaniałe, graniczące niemal z cudem efekty pracy ludzi były w ogromnym stopniu i jego udziałem. Załoga odznaczała się tak wysokim morale, że ukaranie kogoś wpisem do dziennika okrętowego praktycznie się nie zdarzało.

I tę szczęśliwą, zgodną rodzinę wybuch torpedy w jednej chwili pozbawił czterdziestu dziewięciu ludzi. Na burcie statku pozostała wielka, ziejąca wyrwa, a w sercach tych, co przeżyli — głęboka rana. Śmierć zabrała marynarzy pełniących najrozmaitsze funkcje.

— Nie mogę pogodzić się z tym, że zginęło aż czterdziestu dziewięciu na raz — powiedział kapitan do pierwszego oficera, siedząc za biurkiem i patrząc na listę ofiar. Podniósł opuchnięte ze zmęczenia powieki. — Wszyscy to wartościowi ludzie, trudno będzie ich zastąpić. Ciężko pogodzić się ze stratą nawet jednego chłopca, a co tu mówić o czterdziestu dziewięciu. Poruszył się za biurkiem. — Żal mi zwłaszcza Emondsa. Był głównym mechanikiem. Przyjaźniliśmy się od dwudziestu pięciu lat, ale nigdy nie pływaliliśmy na jednym statku, dopiero trzy lata temu wyznaczono nas razem tutaj. Pewnie, że chcieliśmy z Emondsem trafić na lepszą jednostkę niż statek remontowy. Ale za to w końcu byliśmy razem — i to nas pocieszało.

Kapitan wstał. Wyglądał na bardzo wyczerpanego. Gdy chodził po kabinie, zmęczenie widać było w całej jego sylwetce.

— Ciężko mi także ze względu na żonę Emondsa — mówił dalej w zamyśleniu. — Mieszkają w Bostonie, naprzeciwko nas. Posłać do szkół dzieciaki, same dziewczynki, a wszystko z renty po oficerze marynarki... — Wziął do ust fajkę i trzymał cybuch tak, jakby to była tuba. — W marynarce wciąż zdarzają się takie wypadki. Niby jesteś na nie przygotowany, ale jakoś nie dopuszczasz do siebie myśli o tym; żenisz się, zakładasz rodzinę, chowasz dzieciaki, aż tu nagle!... — Odłożył fajkę. — Ale do

diabła, jak już o n a do ciebie przyjdzie, to, **czy** na morzu, czy na lądzie, wszędzie jest taka sama. Nieodwracalna, ostateczna.

W kuchni okrętowej, skąd na zawsze już odszedł Scully, mistrz piekarski, siedział Robinson, jego najlepszy przyjaciel.

— Czemu, do licha, wzięła właśnie jego? — mówił do towarzyszy. — Matka i ojciec szaleli na jego punkcie. Dlaczego nie zabrała mnie? Nikt na świecie grosza za mnie nie da, żywego czy martwego. Byliśmy razem aż do momentu, kiedy w nas trafiło. Straszno mi, jak pomyślę o jego starym. Ma w Milwaukee małą niemiecką piekarenkę: taki był dumny ze swojego chłopaka. Zawsze jak Scully wracał do domu, kazał mu piec ciasto, wystawiał je w oknie i reklamował: „Najlepszej marki — ciasto z marynarki!” — Robinson poruszył się niespokojnie. — Równie dobrze mogłem to być ja. Któryś z nas musiał skoczyć na dziób po mydło. Chciałem iść ja, ale przypomniałem sobie, że mam namoczonych trochę koszul, więc zamiast mnie poszedł Scully. No i proszę, ja żyję, dzięki paru brudnym koszulom, a Scully'ego nie ma. A jego stary chodził dumny jak paw, że ma syna, co umie wypiekać takie ciasta... — Robinson podrapał się po głowie. — I ja się pytam, kto u licha decyduje, że dni człowieka są policzone?

W pomieszczeniu radiostacji rozmawiali Carlton, pierwszy pomocnik radiooficera i Sisson, trzeci pomocnik. Radiooficer, Brewster, zginął od wybuchu. Przed Carltonem leżała wielka szara koperta i plik papierów, wypełnionych nie dokończonymi szkicami i jakimiś obliczeniami.

— Nic z tego nie rozumiem — rzekł z rezygnacją Carlton, odsuwając papiery na bok. — Nic a nic. I boję się, że nikt nie zrozumie.

— Bóg mi świadkiem, ja też nie mam pojęcia — dodał Sisson.

— Do cholery — powiedział Carlton. — To wszystko, co zostawia swojej żonie i nikt ani rusz nie może się w tym połapać.

Sisson znów rzucił okiem na papiery.

— Ze cztery lata pracy prawie bez odpoczynku. Carlton pokiwał głową.

— I nie zdążył skończyć albo przynajmniej wyjaśnić komuś, kto by się na tym znał.

— Z tego, co mówił w ostatnich kilku tygodniach — wtrącił Sisson — wynikało, że na coś wpadł, ale trzymał wszystko w wielkiej tajemnicy.

— A dlaczego nie miałyby trzymać?

— Nie chodzi mi o to; nawet gdyby mi wszystko wyjaśnił, i tak nic bym z tego nie rozumiał.

— Jeśli rzeczywiście miał jakiś pomysł — mówił wolno Carlton, zbierając ostrożnie papiery i wkładając je z powrotem do koperty — mógł zrobić rewolucję w systemie radiowym, wywrócić cały obecny porządek do góry nogami. To, nad czym pracował, miało jakiś związek z automatyczną regulacją fal radiowych — a zresztą, to dla mnie zbyt skomplikowane. Ale wiem jedno, że wtedy najważniejsze patenty na lampy radiowe można by wrzucić do kosza. — I dodał z dumą: — W końcu Brewster był absolwentem Instytutu Technologicznego w Massachusetts i porzucił karierę tylko po to, żeby pełnić funkcję radiooficera w marynarce.

— Jako naukowiec zarobiłby kupę forsy.

Carlton w zadumie pokiwał głową. **Pograżony** w myślach, zaczął przechadzać się po pokoju.

— Wojna to piekło, prawdziwe piekło...

— Wiem, co chcesz powiedzieć — przerwał mu Sisson. — Słyszałem to już tysiące razy — dodał, jakby się broniąc. — Ale wojny będą zawsze.

Carlton skinął głową.

— Dopóki są ludzie, którzy chcą je wywoływać, i ludzie, którzy chcą się na nich bogacić. Jednak wcale nie to chciałem powiedzieć. Chodziło mi o coś innego. Myśl nie jest nowa, za to cholernie prawdziwa: projekty, nad którymi pracował Brewster, w tej chwili nadają się jedynie na śmietnik. Pomyśl tylko o wszystkich tych planach, marzeniach, wynalazkach, książkach, konstrukcjach, które powstawały w ludzkich głowach, a potem ci ludzie szli na wojnę. I nagle nadlatuje pocisk albo bomba — i w jednej chwili wszystkie te wspaniałe marzenia oraz pomysły zamieniają się w żer dla ryb albo dla robaków. A świat nigdy się nie dowie, co o stracił, wie tylko, że stracił...

— Taak, to rzeczywiście daje do myślenia — zgodził się Sisson.

— Ale ty nie lubisz o tym myśleć.

— Nie — przyznał Sisson znużonym głosem. — Tych rzeczy nie da się zmienić. — I dodał szybko:

— Czy mam napisać na tej kopercie adres Brewstera i wysłać to wszystko do jego żony?

W kwaterze mechaników szef maszynowni Coogan opowiadał o swoim koledze Mike'u Walthropie.

— To dziwne — rzekł ponuro. — Kiedy żył, miałem go za największą kanalię na świecie. Psiamać, tyle razy robił mi świństwa, aż przykro wspominać.

Zanim go trafiło, zdążyłem mu jeszcze powiedzieć, że czuję się, jakby mi w mordę napluł. Powiedziałem mu: „Poczekaj no, ty ścierwo, jak tylko wyjdziemy na ląd, tak cię złoję, że wytrąsnę z ciebie gnój”. Wiedział, ścierwo, że nie żartuję.

Zgromadzeni wokół Coogana marynarze popatrzyli w milczeniu na jego potężne, dwumetrowe cielsko i też wiedzieli, że nie żartuje.

— Może niektórych chłopców wyłowiły inne statki — odezwał się ktoś.

— Może tak — zgodził się Coogan. Było tam trochę innych statków. — Modłę się, żeby wyłowili Mike'a, wtedy mógłbym połamać mu tę jego szczękę. — Zapalił papierosa i zapatrzył się ponuro w rozżarzony koniec. — Ale, do diabła, jak go dostało, to go dostało. Pamiętacie ostatnią przepustkę, co mieliśmy w Brooklynie, tylko na dwanaście godzin?

— No jasne, że pamiętamy — rozległ się w odpowiedzi zgodny chór głosów.

— Miałem tam dziewczynę i cholernie byłem napalony, żeby się z nią zobaczyć. Straszna dziwka, ale piekielnie dobra w łóżku. Mike też ją znał: wpadł na nas przypadkiem w barze; zachowałem się jak dżentelmen i przedstawiłem ich sobie. To był błąd — obchodzić się z draniem elegancko. Ja, dureń, zrobiłem z siebie dżentelmena, a to ścierwo z miejsca spytało ją o adres i telefon. A z niej wcale nie była wielka dama. Zaraz dała mu adres i numer telefonu, nie musiał nawet o to długo prosić. I na naszej ostatniej przepustce, wtedy jak dostaliśmy dwanaście godzin w Brooklynie, zaraz przed zejściem na ląd, kiedy szliśmy do bramy na Sands Street, poprosił, żebym mu pożyczył dwadzieścia

dolarów. Ledwie mu je dałem, pożegnał się i zerwał jak oparzony, niby to, powiada, złapać prom do Bayonne, gdzie ma brata. A ja zjadłem gdzieś śniadanie i poszedłem do tej dziewczyny; dzwonię do drzwi z samego rana, a tu, diabli by to nadali, sąsiedzi mówią, że przed chwileczką właśnie wyszła z jakimś marynarzem.

— Czy to był Mike? — spytał któryś ze słuchaczy. Coogan skinął głową.

— Za moje dwadzieścia dolarów! Cały dzień sam jak palec włóczyłem się po mieście, nawet poszedłem do kina. Trafiłem na film o marynarzu, co szukał na ładzie dziewczyny. Wyobraźcie sobie, po tym wszystkim jeszcze taki film! W końcu wróciłem na statek i kiedy przyszedł Mike, chciałem się z nim policzyć, ale powiedział: „Nie pleć bzdur, do cholery, przecież byłem w Bayonne zobaczyć się z bratanicą, wiesz, z tą, co wygląda kubek w kubek jak ja”. Jeżeli miał bratanicę podobną do siebie, to jak nic był, skurwiel, jej ojcem!

— Ale przystojny był z niego facet — zauważył ktoś.

— Zależy, jaki kto ma gust — odparł Coogan — i wzrok. I wiecie, co wtedy? Przychodzi poczta na statek i dostaję list od tej panienki z Brooklynu: żałuje, że nie mogliśmy się zobaczyć, ale Mike powiedział jej, że musiałem zostać na brygu i nie dostałem przepustki na ląd. — Coogan zgasił papierosa. — No tak, diabli by to wzięli. Był Mike — i nie ma Mike'a. Nawet nie zdążył mi oddać moich dwudziestu dolarów. Ale pal to licho, wybaczam mu. Niech tam, panienkę też mu wybaczam. Cieszę się, że się chłopina zdążył jeszcze zabawić,

198 — W pogoni za miłością

co tam, niech mu będzie, nawet jeśli zrobił to z moją kobietą...

Kilku marynarzy z załogi pokładowej siedziało nieruchomo z plecami opartymi o nadbudówkę działa. Milczeli, niekiedy odzywał się tylko jeden z nich — tęgi, mocno zbudowany mężczyzna. Torpeda trafiła dokładnie w ich stanowiska na dziobie. Wybuch zmiotł ze statku czternastu członków załogi.

— Naprawa statku zajmie nam z miesiąc — rzekł ponuro marynarz.

— Nawet jak uzupełnią załogę, to już nie będzie ten sam statek — zauważył jeden z kolegów.

Grubas potrząsnął głową.

— Kiedy będziecie w marynarce tak długo jak ja, przywykniecie i do takich rzeczy.

— E tam — rzekł ktoś z powątpiewaniem — nie jesteś aż takim twardzielem, Lardlips.

— W ciężkich chwilach jestem cholernie twardy.

— Na pewno wielu z tych chłopaków będzie ci brakowało, więc nie udawaj.

— Jasne, że będzie mi brakowało — odrzekł Lardlips z udaną beztroską — ale w dzisiejszych czasach marynarzy nie zabraknie: produkuje się ich taśmowo, jak uszczelki.

— A Johnny Smith? — zapytał ktoś. Po twarzy Lardlipsa przebiegł skurcz.

— Co: Johnny Smith?

— Nie znajdziesz już drugiego takiego faceta, który by tak ślepo wierzył w twoje bajeczki.

— Taak... — zgodził się Lardlips niechętnie. — Rzeczywiście, trochę będzie mi go brakowało.

— Jasne — przypomniał mu ktoś. — Johnny nic, tylko w kółko powtarzał: „Lardlips powiedział...”

Lardlips w milczeniu kiwał głową, rozstrzygając w myślach jakiś trudny dylemat.

— Może wyłowił dzieciaka inny statek — odezwał się wreszcie. Twarz mu poszarzała. — W każdym razie to był dobry dzieciak, nie żaden pętaś. Ale na szczęście marynarka ma jedną dobrą stronę: na jego miejsce przyjdzie na pewno niejeden Johnny. Tacy jak on wciąż przybywają z tych swoich farm, jeszcze z sianem we włosach, i jeżeli kiedyś zetknęli się z większą ilością wody, to chyba tylko wtedy, jak ją pompowali do obory. Więc bierzemy ich na statek i robimy z nich dobrych marynarzy. Bóg widzi, że dobrzy z nich żeglarze.

* * *

Joe, wysoki, chudy, pryszczaty barman u Lushmana-82 chełpił się, że nie ma na świecie człowieka wiedzącego o kelnerkach więcej niż on. Właśnie rozmawiał o tym z jedną z dziewcząt, Stellą, która przychodziła codziennie o drugiej po południu.

— Sama mi powiedz — mówił czyszcząc dzbanek na kawę — jak mógłbym ich nie znać? Pracowałem ich u mnie dziesiątki. Nie raz patrzyłem, jak taka uwija się za ladą przez cały boży dzień, drżąc ze strachu o swojego dzieciaka, który leży w domu z ciężkim zapaleniem płuc; z tego zdenerwowania podaje facetowi szklankę mleka zamiast sałatki owocowej i nawet nie mrugnie, kiedy gość wymyśla jej od nierozgarniętych. Widziałem niejedną, jak cały dzień stała na obolałych nogach, bez butów, tak do-

200

kuczały jej odciski, ale nie miała wyjścia, bo musiała zarobić na czynsz; a mężulek tymczasem siedział w kiciu w Dannemore.

Stella, tęga blondynka, mruknęła coś pod nosem i kiwnęła głową. Znacznie bardziej niż wynurzenia Joe obchodziła ją nowa fryzura: kok upięty wysoko na głowie. Zastanawiała się, szorując blat stołu, czemu żaden z klientów, nawet tych stałych, nie zwraca uwagi na jej wygląd.

— Mógłbym napisać całą książkę o kelnerkach — ciągnął Joe — gdyby kogokolwiek w ogóle to obchodziło. Ale jedno ci powiem: nie mogę rozgryźć Katie. Po pierwsze, nie mam pojęcia, po jakiego diabła taka ładna dziewczyna jak Katie wciąż tu pracuje; przecież nie czuje się z tym szczęśliwa. Co prawda nie jest już taka ładna jak dawniej, ma w twarzy jakiś dziwny wyraz. Czy zauważyłaś, jak się zachowuje, kiedy do lady podchodzi marynarz?

— Nie-e — Stella zastanawiała się właśnie, czy krótkie włoski tuż nad szyją, których nie dało się spiąć w koku, nie sterczą czasem na kształt śmiesznej „koziej bródki”. Zapragnęła przejrzeć się w lustrze.

— Hej! — zawołał Joe, przerywając na moment czyszczenie dzbanka. — Słuchasz mnie?

— Uhm.

— Kiedy podchodzi marynarz, to ma się wrażenie, że Katie bada wzrokiem jego twarz, jakby chciała coś w niej odnaleźć, coś ukrytego. Czy zauważyłaś to?

— Nie-e. — Czarna jedwabna suknia za dziewięć dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów, którą Stella widziała na Atlantic Avenue, będzie dobrze pasować do jej uczesania.

— Czasami wydaje się, że są w niej dwie **różne** osoby: jedna to jakby jej dawne „ja”, a druga, można by sądzić, jest daleko stąd, z każdym dniem coraz dalej. Zauważyłaś to?

— Ummm. — Mniejsza o to. W każdym razie nowa fryzura odsłaniała jej ładne uszy.

— Raz znałem jednego faceta. Ktoś kiedyś rąbnął go w łeb i od tego czasu byli w nim jakby dwaj różni ludzie. I tak do końca życia. Może ona też dostała w głowę? Nie mówiła ci nigdy o czymś takim?

— Nie-e.

— Raz widziałem coś w tym rodzaju na filmie z Borisem Karloffem. Lubisz Borisa Karloffa?

— Nie-e. — Nabierze wprawy i sama będzie sobie robić taką fryzurę wcale nie gorzej od fryzjera.

— Wiesz, śmieszna rzecz. Wczoraj przeglądałem listę koni wyścigowych. Na piątym torze znalazłem jednego, który nazywał się Doktor Jekyll. Pomyślałem o Katie i postawiłem na niego dwa dolary. I wiesz, co?

— Nie-e.

— Przegrał. — Joe po raz ostatni przetaił dzbanek i zamknął pudełko z pastą do czyszczenia.

* * *

Przy drzwiach swego zakładu fotograficznego na Broadwayu stał Porkel i oglądał jakieś zdjęcie. Jego wspólnik Hosenfenster wracał właśnie z lunchu. Miał na sobie nowe kraciaste palto z modnym kołnierzem z piżmowca.

205

— Hej, Hosie! — powitał go fotograf, pokazując mu fotografię, którą trzymał w ręku. — Pamiętasz tych dwoje?

Hosie przyjrzał się fotografii, przedstawiającej wysokiego, smukłego marynarza, obejmującego ramieniem zgrabną dziewczynę. W tle widniał Manhattan.

— To kopia jednej z twoich prac. Tyle tylko wiem.

— Zupełnie ich nie pamiętasz?

— Rany boskie, nie! Gdybym pamiętał wszystkich klientów, już za dnia męczyłyby mnie koszmary. A co takiego, gliny ich szukają?

— Niedawno była u mnie dziewczyna z tego właśnie zdjęcia i dała mi je — wyjaśnił Porkel. — Przypomniałem ją sobie, a ściślej: jej oczy. Przyszła tu z marynarzem w lecie, z samego rana.

— Aha? — ziewnął Hosie.

— I teraz przychodzi, śmiertelnie poważna, przejęta. Zachowuje się jakoś dziwnie. Mówi, że chce odnaleźć tego marynarza, zostawia nawet zdjęcie i adres na wypadek, gdyby tu wrócił.

— Tysiące dziewczyn poszukuje marynarzy — odparł Hosie, zdejmując palto i starannie wygładzając kołnierz. — W całym kraju aż roi się od dziewczyn, z których każda szuka jakiegoś marynarza. A gdyby kiedyś jednej z drugą udało się odnaleźć swojego ukochanego, mieliby chłopaki więcej kłopotów niż czasami na Pacyfiku.

Fotograf potrząsnął głową.

— Ta dziewczyna jest inna. Kiedy tu była, miałem śmieszne wrażenie, jakby naprawdę znajdowała się gdzie indziej, jakby rozmawiając ze mną, jednocześnie szukała tego swojego faceta. Jak duch ściągający drugiego ducha.

— Ostatnio pijesz za dużo kawy — odrzekł Hosie, wieszając palto w szafie nad stłoczonymi tam sukniemi ślubnymi. — W zimie powinniśmy zamykać wcześniej, Porkel. Nie zarabiamy dość forsy na opłacenie elektryczności, nie mówiąc już o twojej kawie. Poważnie.

* * *

Pani O'Geoghan kończyła ścieranie podłogi w hallu przy głównym wejściu do Waldorfa. Wykręciła szmatę z takim rozmachem, że prawie przewróciła wiadro.

Pani Dolan, która odkurzała meble, zwróciła swoją drobną twarz w stronę koleżanki.

— Jesteś dziś jakaś nieswoja.

— Owszem, swoja, całkiem swoja, jak zawsze — odparowała pani O'Geoghan.

Pani Dolan ze zdziwienia uniosła brwi.

— Prawdę mówiąc, czuję się bardzo nieswojo — przyznała po chwili tamta, wycierając podłogę na sucho. — Pamiętasz Katie Morrison, tę, co pracowała tu ze mną niecałe dwa lata temu? Opowiadałam ci o niej. Spotkałam ją wczoraj wieczorem i nie mogę zapomnieć wyrazu jej twarzy.

Pani Dolan ze zrozumieniem pokiwała głową.

— Czasem, jak jakaś myśl utkwi człowiekowi w głowie, to jakby wrosła korzeniami i te korzenie wciskają się wszędzie, w oczy, nos, uszy, usta i łaskoczą jak nie wiem co.

— Martwię się o nią — wyznała pani O'Geoghan. — Martwię się nawet bardziej niż o moich pięciu

chłopaków, co walczą na Pacyfiku. Ona jest dla mnie jak ktoś bliski, jak rodzina.

— Człowiek martwi się o córkę bardziej niż o syna — zgodziła się pani Dolan, strzepując ściereczkę.

— W końcu mężczyzna jest od tego, żeby wpadać w tarapaty, a potem się z nich wyłgiwać. Ale jak na dziewczynę zwał się kłopoty, to jakby dźwigała na plecach górę kamieni.

— A na dodatek to nie jest jakieś zwykłe zmartwienie, co samo przejdzie. Nic z tych rzeczy. — Pani O'Geoghan potrząsnęła głową. — To dziwny i niebezpieczny kłopot. — Zniżyła głos, choć w pobliżu nie było nikogo: — Ona kocha zmarłego człowieka!

— O Przenajświętsza Panienko! — zawołała pani Dolan z przestrawieniem.

— A ściślej mówiąc — ciągnęła pani O'Geoghan

— kocha człowieka, w którego śmierć nie wierzy. W jego statek trafiła mina morska i chłopak został uznany za zaginionego. Tak jej napisał jakiś oficer, dokładnie tymi słowami. Oficer nazywał się O'Reilly. I naprawdę niezbyt mądrze postąpił ten O'Reilly, że obudził w niej nadzieję. Bo Katie uwierzyła, że jej ukochany gdzieś żyje i nie dopuszcza do siebie żadnej innej myśli, chociaż stawałam na głowie, żeby przemówić jej do rozsądku.

— Kiedy człowiek jest młody, trudniej mu pogodzić się ze śmiercią — rzekła pani Dolan. — Choć z drugiej strony łatwiej. Gdy człowiek jest młody, to całe życie przed nim, a kiedy się starzeje, zaczyna rozumieć, że czeka go tylko samotność — aż do samej śmierci.

Pani O'Geoghan słuchała w roztargnieniu.

— A Katie bez przerwy szuka, chociaż wciąż jej radzę, żeby zmieniła otoczenie, wyjechała z Nowego

Jorku, zaczęła nowe życie. Wtedy zapomni o tym, co było, i skończą się zmartwienia... — W ciężkiej rozterce potrząsnęła głową. — Trudno teraz ją poznać: schudła, twarz ma bladą, mizerną — zupełnie jak duch Michaela Forane, co nocą schodził ze wzgórz za Galway! — Potrząsnęła głową jeszcze energiczniej, jakby chciała odegnać od siebie to wspomnienie. — Powiadam pani, pani Dolan, taki wyraz twarzy dostrzec można tylko u kogoś, kto ciągle tylko szuka, szuka, szuka — bez cienia nadziei, że kiedyś znajdzie.

— Tak — zgodziła się tamta, po czym wróciła do odkurzania mebli.

Pracowała w milczeniu.

— Wciąż myślę o Katie — powiedziała pani O'Geoghan w zadumie — o jej cierpieniu i tęsknocie, które nigdy się nie skończą. We wszystkich miastach świata, pani Dolan, czy to zimą, czy latem, widzi się na ulicach nieszczęśliwe kobiety. Można by powiedzieć, że wszystkie te kobiety są siostrami w cierpieniu. Jak tu o tym nie myśleć, pani Dolan.

* * *

Czy to latem, czy zimą każdy, kto wychodzi z portu, podąża brudną, zaniedbaną Sands Street. Zimą ulica się zmienia. Na wystawach sklepów z odzieżą widać przeważnie niebieskie mundury i nie sprzedaną biżuterię, zmatowiałą i pokrytą kurzem. Wzory tatuaży w oknach gabinetów zabiegowych są jeszcze bardziej wyblakłe niż latem. Kelnerzy filipińskich restauracji

już dawno przestali wystawiać na zewnątrz krzesła dla swoich przyjaciół, stewardów ze statków. Od przystani wieje ostry, przenikliwy wiatr, ale nawet on nie jest w stanie wywiać z ulicy wiecznego brudu i odoru. Wciąż unosi się ten sam zapach: ciężki, wilgotny, stęchły, jakby wydobywał się z dna spleśniałej beczki, a zimą miesza się z nim jeszcze cierpka woń pyłu węglowego. Poranna mgła napływa gęstymi falami i spowija szerniałe domy, niczym przesycona brudem wata. Zimą mgła opada później.

Niektórzy marynarze przechodzący ulicą w zimowe poranki widzieli dziewczynę wyłaniającą się z mgły, tak nagle i niespodziewanie, jak zarys łądu na bezkresnych wodach oceanu. Wełniany płaszcz otulał jej szczupłą postać. Szła rażnym krokiem, jakby dokądś się spieszyła. Tym większe więc ogarniało marynarza zdziwienie, gdy nagle przystawała przed nim, prawie zagradzając drogę. Każdy, komu ukazała się w taki sposób, mógłby przysiąc, że spojrzenie dziewczyny przenikało mgłę, by dotrzeć do jego twarzy i przebiegało po niej badawczo. Potem zaś, we mgle rozbrzmiewał dziwny, matowy głos:

— Czy zna pan Johnny'ego Smitha, marynarza z Południowej Dakoty?

Zwykle wszyscy odpowiadali: „nie”, ale zanim w ogóle otworzyli usta, dziewczyny już nie było. Z oddali dochodziło tylko stukanie obcasów na bruku. Lecz wnet wszelkie odgłosy milkły, a marynarz zostawał sam w gęstej mgle, nie wierząc własnym oczom i uszom; i albo lękał się, że postradał zmysły, albo wątpił w swą trzeźwość.

Bywało też inaczej. Pewnego ciemnego zimowego poranka kucharz okrętowy Yeoman Martin, który

przesłużył trzydzieści pięć lat w marynarce, szedł śpiesznie od strony portu w kierunku Seaside Park do żony i czworga dzieci. Wiał lodowaty wiatr, a porywy śnieżycy smagały ciemność. Martinowi zamajaczyła w mroku postać samotnej dziewczyny nadchodzącej z przeciwka szybkim krokiem; zastanawiał się, co młoda kobieta może robić na ulicy

o tak wczesnej porze.

Pytanie, które usłyszał, tak go zaskoczyło, że papieros wypadł mu z ręki.

— Owszem, jest u mnie na statku Johnny Smith

— przypomniał sobie — ale nie sądzę, żeby pochodził z Południowej Dakoty. — Poczul się nieswojo i chciał iść dalej, lecz w głosie dziewczyny było coś, co kazało mu się zatrzymać.

— Czy jest młody i ma ciemne włosy? — spytała.

— Smittie? Ma około czterdziestki, a jego łysina świeci jak przedni pokład.

Kobieta powiedziała bezbarwnym głosem:

— Może mój Johnny już nie żyje, ale muszę wiedzieć. Muszę wiedzieć!

Martin zakrył dłonią twarz, jakby chciał osłonić ją przed gwałtownym podmuchem wiatru, a jednocześnie obronić się przed nieprzyjemną myślą, która nagle zaświtała mu w głowie.

— Napisali mi, że mój Johnny został uznany za zaginionego — mówiła dalej dziewczyna.

To musi być ludzka istota, pomyślał kucharz, bo tylko ludzki głos może mieć w sobie tyle bólu; myśl ta uspokoiła Martina.

— Jeśli tak sądzą, panienko — odrzekł łagodnie

— to najprawdopodobniej zginął. Tamci są bardzo ostrożni w tego rodzaju raportach. To przykre, ale...

208

Przerwała mu:

— Ale czy jest możliwe, że on gdzieś żyje?

— Zawsze jest szansa — przyznał Martin — lecz tak nikła...

Nieznajoma oddaliła się szybko. Wiatr wzmagął się, śnieżycą smagała lodowatym biczem; Martin uświadomił sobie nagle, jak bardzo pragnie w tej chwili światła, ciepła, poczucia bezpieczeństwa, domu, żony, dzieci. Zaczął prawie biec ulicą.

Kiedy indziej znów w ciemnościach zimowego poranka szedł ulicą młody, wysoki marynarz. Trzymając ręce w kieszeniach krótkiej kurtki, lekko kołysał się w biodrach. Zagwizdał na widok nadchodzącej z przeciwka dziewczyny. Już miał ją zagadnąć, gdy nagle usłyszał pytanie.

— Johnny Smith z Południowej Dakoty? — powtórzył po chwili wahania wesołym głosem. — Jasne, że znam. To jeden z moich najlepszych kumpli. Sól ziemi, Johnny.

Drgnęła, podniosła głowę i powoli, patrząc mu w oczy, spytała:

— Jak się miewa? — Jej głos załamywał się ze wzruszenia.

— Świetnie, ale jeszcze ze dwa dni nie dostanie przepustki na ląd.

— Uznali go za zaginionego. — Głos dziewczyny wciąż drżał.

— To było głupstwo — odparł młodzieniec drwiąco. — Ot, mały unik, zdarza się czasem w marynarce.

Chciała mu zadać następne pytanie, ale po tym, co usłyszała, głos uwiązł jej w gardle.

— Powiedz mi skarbie, jak ci na imię?

— Katie. — Jej głos był niski, głęboki, **jak u starej** kobiety.

— No proszę, co za zbieg okoliczności — odparł kordialnie marynarz. — Johnny opowiadał mi, że ma tu dobrą znajomą Katie. Chciał nawet dać mi twój adres, ale nie zdążył, bo już zszedłem ze statku...

W tym momencie przygryzła wargi.

— On nie znał mojego adresu. Jesteś podły, podły, podły! — krzyknęła głosem zdławionym przez łzy.

Oddaliła się biegiem. Marynarz chciał ją zatrzymać, ale zniknęła.

Wzruszył ramionami i poszedł dalej. Lecz kiedy wrócił na statek, ciągle opowiadał tylko tę jedną historię, kończąc ją słowami: „Jak Boga kocham, ta kobieta była niczym duch!”

Tak więc przez wszystkie te ranki, wszystkie dni i godziny, Katie żyła w swoim smutnym, szarym świecie, w którego najdalszych zakątkach tlił się jeszcze słabo płomyk nadziei. On jeden kazał jej żyć.

„Zdarza się, że ten, który szuka na próżno — powiedziała kiedyś pani O'Geoghan — po pewnym czasie już nigdy nie wraca całkiem do siebie”. Właśnie kimś takim była teraz Katie...

Błądząc wśród smutnej szarości, nie rozjaśnionej nawet promykiem światła, czuła się tak samo jak wtedy, gdy zjawiała się na statkach: jak cień oderwany od własnego ciała. Zawsze na widok wysokiego, smukłego marynarza serce zaczynało jej bić jak szalone; każde kolejne rozczarowanie przeszywało ją coraz ostrzejszym bólem. I ta nikła iskierka nadziei, która jeszcze w niej się tliła, z każdym

dniem przygasła i nic już — ani człowiek, ani czar, ani cud — nie było w stanie jej pomóc. Na tym moglibyśmy zakończyć tę smutną historię. Do wielu, wielu opowieści o dziewczynie z oczami jak dwa żywe płomienie, która nagle pojawiała się na statkach, dodaliśmy jeszcze parę opowieści o dziewczynie wyłaniającej się szarym świtem z mgieł na Sands Street. I tak by już pozostało.

* * *

Był dżdżysty poranek i wszystko spowijała gęsta mgła. Wiatr od przystani próbował ją rozpędzić, lecz tylko rwał na strzępy i rozwłóczył po pustej ulicy, jak lipcowy podmuch od morza rozsnuwa na niebie białe obłoki.

Tego ranka Katie obudziła się z uczuciem, że zasnęła. Ubrała się szybko, otuliła szczelnie wełnianym płaszczem i po trzeszczących schodach zbiegła na opustoszałą ulicę. Mgła przyłgnęła do niej jak mokre prześcieradło; miejscami była tak gęsta, że dziewczyna nie widziała nawet własnej drżącej dłoni, którą trzymała nad oczami. Przeszła pospiesznie przez Gold Street, po czym skręciła w Sands Street, a stukanie jej obcasów po chodniku niesło się echem.

Z różnych stron dochodziły ją stłumione odgłosy szybkich kroków.

Zbliżała się do miejsca, gdzie kiedyś spotkała się z Johnnym. Za każdym razem, gdy tędy przechodziła, wspomnienia przyprawiały ją o drżenie. Bywało, że dostrzegała w pobliżu postać czekającego mężczyzny; kiedy jednak odzywała się do niego, nie

odpowiadał, a jej oczy napotykały pustkę. **Złuda** rozwiewała się w nicość.

Tego ranka miejsce spotkania tonęło we mgle, lecz Katie skręciła tam, czując jak zwykle pulsowanie w skroniach. We mgle ujrzała, jak wiele razy przedtem, słaby zarys postaci człowieka opartego o ścianę budynku. Była pewna, że to marynarz i że jest on jedynie wytworem jej wyobraźni. Jak zwykle zniknie, kiedy Katie wyciągnie doń rękę.

A jednak jak zawsze zatrzymała się, by zapytać:

— Przepraszam, czy nie zna pan Johnny'ego Smitha, marynarza z Południowej Dakoty?

Nie usłyszawszy odpowiedzi, zamrugła powiekami i przetarła dłonią oczy, po czym ruszyła dalej.

Wówczas we mgle rozległo się głośnie westchnienie. Zatrzymała się. Usłyszała za plecami głos, tak samo zmęczony i bezbarwny jak jej własny:

— Johnny Smith, marynarz z Południowej Dakoty? Przez moment stała bez ruchu, cała rozdygotana: zjawy wydawała się tak prawdziwa, że Katie zaczęła się lękać, czy nie postradała zmysłów. Poznała ten głos, choć był zniekształcony bólem i cierpieniem. Odwróciła się w jego kierunku i biegnąc z otwartymi ramionami zawołała:

— Johnny, Johnny, Johnny!

Wszystko w niej wyrywało się ku niemu; kiedy wyciągnęła rękę i wyczuła dotykiem żywe ciało, wiedziała, że to nie złudzenie.

— Och, Johnny! Johnny Smith!

Potknęła się i wpadła na mężczyznę, lecz on stał sztywno i nieruchomo jak słup.

— Skąd wiesz, jak się nazywam? — spytał grzecznym, lecz obojętnym tonem.

— Johnny! — Głos Katie rwał się od śmiechu. Wreszcie skończyły się długie poszukiwania. — Johnny, to ja, Katie!

Stał z niezdarnie opuszczonymi rękami.

— Nie pamiętam żadnej Katie.

— Katie, ta, która była z tobą w Brooklynie, dokładnie na tej samej ulicy, w tym samym miejscu.

— Nie pamiętam — powtórzył beznamiętnie.

Z radości mąciło się jej w głowie. Zastanawiała się, czy zmysły nie płatają jej kolejnego okrutnego figla. Położyła ręce na mocnych, szerokich ramionach mężczyzny. Spojrzała na niego. Był smukły, wysoki, spod czapki wymykały mu się ciemne włosy; twarz nad kołnierzem kurtki — to właśnie ta twarz, twarz jej Johnny'ego.

— W takim stanie mnie znaleźli. — Jego głos był monotony i bezbarwny. — Pamiętam tylko to, co mi powiedzieli w szpitalu.

— Ale przypomnisz sobie, przypomnisz, Johnny — zapewniała go, teraz już przekonana, że to nie zjawą, że to rzeczywiście on, że naprawdę stoją obok siebie.

— Po odciskach palców doszli do tego, że nazywam się Johnny Smith.

— Oczywiście, że tak się nazywasz.

— Tak mnie nazywają, ale czy jesteś tego pewna?

— Pewna? — Katie aż się roześmiała. — Poznałabym cię na końcu świata. Przecież nawet rozpoznałam twój głos we mgle. Och, Johnny, szukałam cię wszędzie, wszędzie.

— Czy dobrze mnie znałaś?

— Bardzo dobrze, Johnny.

— A jak długo? Kiedy to było?

— W lecie. To nie było długo, ale nie zapomniałam ani minuty.

— A może ci się pomyliłem z kimś podobnym? Może źle odczytali odciski palców i tak naprawdę jestem kim innym? Bo nie przypominam sobie nic związanego z Johnnym Smithem.

Katie cofnęła się o krok, speszona; czuła, jak na chwilę zamarło w niej serce.

— Wiem o sobie tylko to, co mówią mi inni; skąd mam wiedzieć, że się nie mylą? — spytał głosem zdławionym bezsilnością i rozpaczą. — I nic się nie zmieni, dopóki sam sobie wszystkiego nie przypomnę.

— Och, Johnny, pomogę ci w tym. — Katie poczuła, że jest mu potrzebna. — Na pewno ci pomogę.

— Nie wiem — odpowiedział bezradnie. — Po prostu nie wiem.

Wydawał się zagubiony w gęstniejącej wciąż mgłę. Katie dobrze знаła ta-uczucie.

Nagle mocno pochwycił ją za ramię, jakby wdzięczny za wsparcie, i zapytał:

— Naprawdę mnie znałaś? Czy się zmieniłem? Dlaczego ja ciebie nie pamiętam?

— Czy w ogóle nie pamiętasz dziewczyny imieniem Katie?

Pokręcił głową.

— Nie pamiętam żadnych kobiet.

W pobliżu przedzierały się przez mgłę słabe światła espresso, tego samego, do którego wstąpili, ledwie się poznali tamtego lipcowego poranka.

— Podejdźmy razem do światła. Może jeśli mi się dobrze przyjrzysz, to mnie rozpoznasz.

Ruszył za nią jak grzeczny chłopczyk, który boi się zostać sam. Kiedy stanęli w świetle latarni, otu-

15 — W pogoni za miłością

lonym obwódka mgły, Johnny odwrócił Katie ku sobie i przyglądał się jej twarzy. Widać było, że jej nie poznaje.

— Może wstąpimy na kawę? — powiedziała cicho. — Zimno mi.

Wprowadziła go do kafejki, z nadzieją, że zastanie w niej tego samego barmana, co wtedy, i w ten sposób pomoże pamięci Johnny'ego. Ale za ladą siedział kto inny — kościsty, chudy, starszy mężczyzna.

Katie zamówiła kawę i czekała, aż Johnny zacznie mówić. On zaś, mrużąc oczy w jaskrawym świetle, przypatrywał się jej przez chwilę, w końcu zaś potrząsnął głową.

— Jestem pewien, że nie mogłem widzieć takich oczu i włosów jak twoje. Jak mógłbym je zapamiętać?

— Dokładnie to samo mówiłeś, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz.

— Skąd mam wiedzieć, że w ogóle był jakiś pierwszy raz?

Katie otworzyła pospiesznie torebkę i wyjęła z niej fotografię.

— Kazaliśmy zrobić sobie zdjęcie, kiedy byliśmy razem.

— Zdjęcie? Moje? — Johnny długo wpatrywał się w fotografię; nawet nie zauważył, kiedy barman postawił przed nim kawę. Katie dobrze знаła ów wyraz znużenia, które wyżłobiło na twarzy chłopca głębokie bruzdy; sama dostrzegła u siebie podobne. Obserwowała go, kiedy oglądał własną podobiznę. Schudł, postarzał się, utracił chłopięcy wygląd. Zmarszczki, które pocięły mu czoło, były jak ślady fal na piasku. Patrzył na zdjęcie w głębokim sku-

pieniu. Katie zamarała w bezruchu, czekając w napięciu, aż coś rozpozna. Wreszcie odłożył fotografię. — To mógłbym być ja — przyznał — ale równie dobrze może to być ktoś, kto wygląda tak samo jak ja.

— Och, Johnny!

Przejęta chłodem Katie nagle uświadomiła sobie, że Johnny wciąż jest daleko, daleko od niej, że wciąż dzieli ich wysoki mur i nie wiadomo, jak go przebić. Poczowała się tak, jak gdyby spadała w przepaść.

— Nawet nie pamiętam, jak nam robili to zdjęcie — odezwał się. — A to właśnie próbowałem sobie przypomnieć. Nie sądzę, żeby można było zapomnieć coś takiego. — Potrząsnął głową. — Jest jedna, jedyna rzecz, którą pamiętam, mimo że nikt mi o niej nie powiedział: pamiętam, że kiedyś byłem na tej ulicy, w pobliżu portu, z samego rana — i coś się wydarzyło. ^

— Co takiego?

— Dziś rano dostałem przepustkę ze szpitala specjalnie po to, żeby przekonać się, czy sobie przypominę. Ale nie mogę. Nie wiem nawet, czy to było coś złego, czy dobrego.

To mogła być wskazówka, Katie natychmiast przyszła mu z pomocą.

— Właśnie tu się spotkaliśmy, Johnny. Może to próbowałeś sobie przypomnieć? A potem poszliśmy na Manhattan i spędziliśmy razem całe przedpołudnie.

— Tylko przedpołudnie?

— Tak — odparła Katie. — Chodziliśmy w różne miejsca i robiliśmy to, co chciałeś zrobić.

Już otwierała usta, by opowiedzieć resztę historii, gdy Johnny zapytał znowu:

— Dlaczego tylko przedpołudnie?

— Nagle rozstaliśmy się, to wszystko.

Johnny wzruszył ramionami. Do jego duszy, nękaną niepewnością, wkradła się teraz podejrzliwość.

— Nagle? Tak ni stąd, ni zowąd? To zupełnie bez sensu. I nigdy potem nie zobaczyliśmy się, ani nie dostałaś ode mnie listu?

— Nie, ale...

— Z tego by wynikało, że ten twój Johnny to niezły kawał chama, jeśli chcesz znać moje zdanie. Jezu, co za typ! Oczywiście, przy założeniu, że mówisz prawdę.

Jego nieufność zmroziła Katie. To był ten sam brak zaufania, co wtedy, w ów lipcowy dzień. Szukając rozpaczliwie w pamięci, natrafiła na inne wspomnienie.

— Pamiętasz Lardlipsa z twojego statku? Zaprzeczył ruchem głowy.

— W szpitalu wymieniali mi najróżniejsze nazwiska, ale dla mnie to tylko nazwiska, nic więcej.

Najprościej byłoby wrócić na statek, ale powiedzieli mi, że jest daleko, na Pacyfiku. — Opadły mu ramiona; jeszcze głębsza troska rzuciła cień na jego twarz. — Sam muszę sobie wszystko przypomnieć.

— Ja mogłabym ci w tym pomóc — powiedziała cicho Katie — gdybyś tylko chciał mi uwierzyć.

— Wiara nie ma tu nic do rzeczy. — Podniósł na chwilę głos. — Ja chcę, żeby tak było... to znaczy chcę do wszystkiego dojść sam. Muszę dojść sam.

Katie poddała się. W milczeniu wypili kawę. Słyszeć było tylko brzęk talerzy: to barman wymieniał ciastka wystawione w gablocie. Johnny postawił na stole filiżankę i poruszył się na krześle.

— Doktor w szpitalu powiedział jedną śmieszna rzecz — zaczął powoli. — Powiedział, że może boję się rozpoznać sam siebie, bo tak naprawdę to tego nie chcę. Powiedział, że może boję się powrócić do świata, do prawdziwego świata, jak się wyraził. Strasznie mu było głupio, kiedy to mówił. — Johnny'emu opadły kąciki ust; był coraz bardziej niespokojny.

— Guzik mi to da, że o tym wiem. — Spojrzał na zegar ścienny i sprawdził czas na zegarku. Katie czuła pustkę. Zamiast Johnny'ego znalazła tylko jego cząstkę. Wszystko wskazywało na to, że szedł się do wyjścia.

Zapalił papierosa — wzrok biegał mu niespokojnie po sali: z zegara na drzwi, z drzwi na barmana, potem znów na zegar, wreszcie za okno, na ulicę.

— Doktor powiedział, że jestem rzadkim przypadkiem — oznajmił z wyraźną dumą w głosie — i że może dopiero jakiś cud przywróci mi pamięć.

Katie w milczeniu sięgnęła do torebki, gdzie zawsze nosiła monetę. Może na jej widok Johnny przypomni sobie pobyt w Belfaście. Mówił o cudzie

— a cud był przecież w zasięgu ręki. Bez słowa podała mu pieniążek.

Wziął go prawie bezwoliwie, pytając:

— Co to takiego?

— Tego ranka dałeś mi ją w prezencie. Johnny obejrzał monetę z obu stron i rozczarowany pokręcił głową.

— Raczej kiepski prezent.

— Mówiłeś, że kupiłeś to w Belfaście. Nie pamiętasz w ogóle Belfastu?

— Nie, nie pamiętam żadnych miejsc, gdzie byłem — odparł po chwili głębokiego namysłu.

Uśmiechając się do siebie, Katie odezwała się jakby od niechcienia:

— Chciałabym, aby spełniło się wszystko, czego pragniesz, Johnny.

Wpatrywała się w jego twarz, oczy, usta, z zapartym tchem czekając na odpowiedź. On zaś, wciąż patrząc na monetę, spytał:

— Co takiego powiedziałaś?

— Powiedziałam, że chciałabym, aby spełniło się wszystko, czego pragniesz.

Zapadła cisza. Długie sekundy szarpiącego nerwy oczekiwania zdawały się trwać w nieskończoność.

— Najpierw muszę się dowiedzieć, czego chcę — odezwał się wreszcie i oddał jej monetę. — Bo nic nie pamiętam.

Ściskając ją w dłoni, Katie powiedziała wolno:

— Pragnę, byś sam znalazł prawdziwego Johnny'ego Smitha.

Johnny potrząsnął głową.

— Najpierw muszę więcej się o nim dowiedzieć. Bo z tego, co wiem od ciebie, wcale mi się nie spodobał.

Katie tak mocno ścisnęła w ręce monetę, że brzegi wpiły się jej w dłoń, a metal stał się gorący i wilgotny. Jeszcze raz, prawie z rozpaczą, spróbowała nakłonić go, by powtórzył za nią jakieś życzenie.

— Pragnę, żebyś przypomniał sobie wszystko, co chciałbyś pamiętać.

Milczał.

— Nie chcesz tego? — W jej głosie, w całym ciele było straszliwe napięcie.

— Czego nie chcę?

— Czy naprawdę nie chcesz odzyskać pamięci, właśnie tu, w tej chwili?

— Doktor powiedział — Johnny mówił jak automat — że pewnie gdzieś głęboko, głęboko siedzi we mnie coś, co mnie powstrzymuje.

Czując jednocześnie wściekłość, rozpacz i otepienie, Katie spytała:

— Czy naprawdę o niczym nie marzysz?

— A co to da? — rozzłościł się. — Tego też próbowałem. W co my się bawimy, w jakąś grę dla dzieci, czy co?

— Nie — odparła Katie z powagą. — Ale czy ty naprawdę o niczym nie marzysz?

— Czasami — przyznał.

— O czym? — Katie wstrzymała oddech.

— Czasem marzę, żeby znaleźć się z powrotem na moim statku. Słyszałem, że marynarze zawsze czują się bezpieczniej, kiedy są na swoim statku.

Katie otworzyła ze zdumienia usta.

— I to wszystko, o czym marzysz?

— Czasem, kiedy jestem zmęczony — dodał, zerkając na zegar nad drzwiami — marzę, żebym nie musiał wychodzić ze szpitala.

Katie wrzuciła monetę do torebki. Czowała, że ma czerwoną twarz i ściśnięte gardło. Głos jej drżał.

— I pewnie czasem marzysz o tym, żeby inni zostawili cię w spokoju i nie starali się pomóc?

— Tak, czasami — przyznał Johnny.

Słyszając te słowa zrozumiała wszystko. Energicznie odsunęła krzesło, aż jego drewniane nogi zaszurały po terakocie.

— Nie potrzebujesz żadnego cudu, żeby wrócić do normalnego życia, Johnny. Musisz po prostu tylko chcieć, chcieć wrócić, to wszystko. Jesteś właśnie taki, bo boisz się być prawdziwym człowiekiem, bo-

isz się świata. — Wstała, nie wzruszona wyrazem rozpacz, który nagle pojawił się na jego twarzy. — Odchodzę, ponieważ wszystko, co masz do zrobienia, zamierzasz zrobić sam. — Założyła płaszcz. — Możesz teraz wracać do szpitala albo na swój statek. Jesteś tak samo uparty jak wtedy, gdy się poznaliśmy, i tak samo przestraszony.

— Czy naprawdę byłem uparty i przestraszony? — spytał, wyraźnie uradowany, że poznaje jakąś swoją charakterystyczną cechę.

— Dokładnie taki — odparła Katie. — Nic się nie zmieniłeś.

Chyba dopiero ta jej wściekłość coś w nim poruszyła. Katie zerknęła na barmana: zaciekawiony, przysłuchiwał się ich rozmowie, lecz dziewczyna nie dbała o to. Mówiła dalej do Johnny'ego:

— Jestem jedyną osobą, która coś o tobie wie o Południowej Dakocie, Lardlipsie, kaczkach i ... — Łzy ścisnęły ją za gardło, jednak przewyciężyła w sobie chęć płaczu. — Gdybyś tak się nie bał, mógłbym ci pomóc, ale w tej chwili wychodzę i zostawiam cię samego. — Mocno ścisnęła się paskiem. — Spotkałam cię, zakochałam się w tobie, a potem się rozstaliśmy, i teraz znów się rozstajemy, tylko tym razem ja chcę tego. A ty możesz sobie iść sam i ja też pójdę sama, i nigdy się nie dowiemy, dokąd w zyciu moglibyśmy dojść razem.

To rzekłszy, ruszyła ku drzwiom. Barman stał i gapił się za odchodzącą szeroko otwartymi oczami. Gdy była już przy drzwiach, usłyszała szuranie krzesła, lecz się nie odwróciła. Johnny podbiegł do niej paroma susami.

— Katie! — chwycił ją za ramię. — Nie chcę być sam. Poważnie!

Katie obróciła się na pięcie. Policzki wciąż jej płonęły.

— A czemuż to nie? Gdybyś był sam, może nawet czułbyś się szczęśliwszy. — I dodała: — Przecież i tak wszystko, co musisz zrobić dla siebie, musisz zrobić sam.

— No dobrze, ale nie chcę b y ć sam, kiedy będę to robił.

Jednak ona nadal była nieprzejednana.

— Powiedz mi, że naprawdę chcesz odnaleźć samego siebie. Powiedz mi tu, w tej chwili.

— Oczywiście, że chcę, Katie.

— Powiedz mi, że nie przestraszysz się niczego, o czym sobie przypomnisz.

Zawahał się przez moment. Napotkał wzrokiem jej stanowcze spojrzenie, spuścił oczy, lecz po chwili podniósł je znowu.

— Niczego się nie przestraszę. — Położył dłoń na jej ramieniu. — Mówiłaś, że zaczęliśmy właśnie tu, w Nowym Jorku, z samego rana. Może i teraz zacznijmy tak samo, razem, to może odnajdziemy wiele wspomnień.

Katie uśmiechnęła się promiennie. Jej oczy rozbłysły radością. Wzięła go za rękę.

— Już w tej chwili mam dość wspomnień dla nas obojga

Drzwi zamknęły się za nimi. Poszli ramię przy ramieniu i znikli w białej mgle, która nadpływała znad rzeki i oceanu.